



Rosemary Rogers

*Duma i miłość*

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Plantacja Elmwood*

*Jackson, Missisipi*

*Kwiecień 1861 roku*

Cameron Campbell ściągnęła wodze arabskiej klaczy i pogłaskała ją po łbie. Uwielbiała jeździć na silnym i rączym koniu, zwłaszcza wówczas, kiedy gorący wiatr smagał ją po twarzy.

Szybko oceniła odległość dzielącą ją od furtki. Skuliła się w męskim siodle i przejechała palcami po grzywie konia. Jej spódnica trzepotała na wietrze, a stalowe podkowy klaczy stukały o ziemię.

Cameron wstrzymała oddech, mocno szarpnęła cugle i skoczyła nad furtką, niemal szybując w powietrzu. Zanim znalazła się po drugiej stronie, zerknęła w jasne niebo. Wiosenne słońce ozłacało pola bawełny, mętne wody rzeki i bujną roślinność. Na krótką chwilę Cameron i jej klacz Roxy stały się częścią krajobrazu. W tym momencie dziewczyna poczuła się naprawdę wolna od niewygodnych spódnic, ciasnych halek, lecz przede wszystkim od świata, w którym rządzą dumni mężczyźni. Wkrótce znalazła się przed domem.

- Matko Boska! - zawołała Taye, przedzierając się przez wysoką trawę.

- Wszystko w porządku! - odkrzyknęła Cameron.

Popuściła wodze. Roxy z podniesionym łbem potruchtała przed siebie.

- Patrz! Bez trzymanki... - Cameron rzuciła skórzane wodze na łęk siodła i pomachała ręką.

- Cameron, błagam... Złap za wodze i wreszcie przestań się wygłupiać. - Taye zakryła dłonią oczy. - Przecież wiesz, że tego się boję.

Cameron roześmiała się i wstrzymała klacz.

- Co w takim razie powiesz na to? - zapytała z przekorą, wyjmując nogi ze strzemion. - Spójrz, Taye. Boisz się?

Cameron nieraz bez większego szwanku spadała z konia, więc nie czuła strachu. Zwinnie podciągnęła pod siebie jedną nogę, potem drugą i na koniec stanęła w siodle. Rozpostarła ręce, żeby utrzymać równowagę.

Taye niechętnie uniosła wzrok i zbladła przerażona.

- Przestań! Natychmiast przestań! Wygłupiasz się jedynie po to, żeby mnie nastraszyć.

- Nieprawda. Cameron zachwiała się, kiedy klacz pochyliła łeb, żeby poskubać świeżej trawy.

- Robię to, co lubię.

Zeskoczyła na ziemię i stanęła u boku przyjaciółki.

Siedemnastoletnia Taye była od niej sześć lat młodsza. Chwyliła

ją za ramię.

- Nie rozumiesz, że to wariactwo? Mogłaś się zabić!

- Ależ skąd! - Cameron popatrzyła prosto w błękitne oczy Taye. - Spójrz, głuptasie. Jestem cała i zdrowa.

- Sama na siebie popatrz! - zawołała z uśmiechem Taye i podała jej cienki słomkowy kapelusz z szerokim rondem. - Zaraz dostaniesz piegów. Dzisiaj wyjątkowo mocno świeci słońce. Ach, prawda... Zanim zaczęłaś popisy, przysłałam tu, aby ci powiedzieć, że pan senator chce się z tobą widzieć. Już nie pamiętasz, że mamy gościa? - Wskazała na nią szerokim gestem. - Wyglądasz jak wieśniaczka. Jesteś potargana i uwalana błotem. Godzinę potrwa, zanim cię uczeszę!

Cameron poprowadziła klacz w stronę Elmwood. Duży biały dwór stał nad rzeką Pearl, wśród plantacji bawełny i trzciny cukrowej.

- Znów mam być śliczna? Miejże litość, Taye! Nie chcę być wielką damą, co chwila zmieniać sukni, zależnie od okoliczności, prawić gładkich słówek i uśmiechać się zza wachlarza. Zupełnie nie mam na to ochoty. To ty powinnaś być córką senatora Davida Campbella. Wszak jesteś damą w każdym calu.

- Nie mów tak! - Taye zrobiła wielkie oczy.

- Kto tym razem u nas gości? - Cameron palcami zaczesła długie włosy. - Zresztą... nieważne. Cieszę się, że tata znów jest w domu.

Od czasu, kiedy Missisipi wystąpiło z Unii, senator David Campbell przebywał w Waszyngtonie. W obawie przed tym, że mógłby stracić pozycję w senacie, desperacko próbował połączyć interesy polityków Północy i Południa. Mimo secesji Karoliny Południowej,

Missisipi, Florydy, Alabamy, Georgii, Luizjany i Teksasu nadal miał nadzieję, że zdoła zapobiec wojnie.

Dzień wcześniej przyznał, że nie jest dobrze. W zeszłym miesiącu w Montgomery siedem zbuntowanych stanów powołało konfederację. Senator właśnie zaczął z grubsza wyjaśniać skutki nowego podziału państwa, gdy wszedł brat Cameron, Grant. Ojciec natychmiast zmienił temat. Grant nie lubił, kiedy senator dyskutował o polityce w obecności kobiet. Starszy pan Campbell zaczął więc mówić o nadchodzących zbiorach bawełny. Nie chciał wprowadzać nerwowej atmosfery. Ostatnimi czasy w domu i tak rzadko panował spokój.

Cameron niecierpliwie machnęła ręką.

- Powiesz mi czy nie? Kto gości u mojego ojca? - Zmarszczyła piegowaty nosek. - To nasz nowy prezydent Lincoln! Przecież wygrał wybory zaledwie miesiąc temu. Może odwiedza senatorów?

- To nie prezydent, głuptasie. - Taye odwróciła wzrok i wygładziła nową, brzoskwiniową suknię z suto marszczoną koronką. - Obiecuj, że nie będziesz się na mnie gniewać - poprosiła.

Cameron uśmiechnęła się. Taye była córką ich czarnej gospodyni, której kiedyś zwrócono wolność. Mimo to Cameron kochała ją jak siostrę. Zaprzyjaźniły się, gdy Taye była dzieckiem. Miała białego ojca, więc jej skóra mieniła się nieco ciemniejszą, jakby oliwkową barwą. Błękitne oczy i ciemne włosy nadawały jej egzotyczny wygląd.

- Powiedz... Przecież wiesz, kotku, że nie będę się na ciebie gniewać.

- Sama zobaczysz.

- Kto to? - nieco groźniej spytała Cameron. Taye pochyliła piękną głowę.

- Kapitan Logan.

- Jackson Logan! Ten skurczybyk...

- Cameron! - Taye spojrzała na nią ze zdumieniem. - Kobięcie nie wypada tak się odzywać. Cicho, bo jeszcze ktoś usłyszy i...

- Niech mnie diabli! - wykrzyknęła Cameron. Szła długim krokiem, stukając obcasami wysokich butów do konnej jazdy.

Masztalerz przejął od niej klacz i odprowadził ją do stajni.

- Jackson Logan! - ciskała się Cameron. - A już myślałam, że jego statek zatopili piraci... albo że zginął w pojedynku! Najlepiej o kobietę... Przeklęty Jackson... - dokończyła szeptem.

Był arogancki i pewny siebie. Nie lubiła jego czarującego uśmiechu i zachowania pełnego kokieterii. Nienawidziła go, choć kiedyś równie mocno go kochała. Poznali się, gdy miała zaledwie siedemnaście lat. Przystojny kupiec przybył do Elmwood w interesach. Od początku zrobił na niej ogromne wrażenie. Dwanaście lat starszy, doświadczony, jeździł na czarnym ogierze. Skradł jej serce, zanim zdążyli się lepiej poznać.

Ich romans rozkwitał w ukryciu. Spotykali się we wszystkie lipcowe wieczory. Razem jeździli konno i polowali. Jackson do tej pory nie spotkał kobiety, która siedziałaby po męsku w siodle i strzelała nie gorzej od żołnierza. Był zachwycony. Prawił jej słodkie słówka, a Cameron naiwnie wzięła je za dobrą monetę. Kiedyś wyznał,

że ją kocha. Była gotowa nawet pójść z nim do łóżka, jednak na szczęście odmówiła. Po pewnym czasie starszy pan Logan wezwał Jacksona do Baltimore. Zaślepią miłością Cameron postanowiła z nim wyjechać. zaproponowała więc, żeby się pobrali, ale Jackson roześmiał się jej prosto w twarz...

Śmiał się z niej!

- Ślub? - Poprawił rondo kapelusza. Wręcz obsesyjnie dbał o wygląd. - Nie zamierzam się żenić. Na co mi rozpieszczona panna? Nie, moja mała złośnico. Zostaniesz w Elmwood. Tu, gdzie są twój tata i cała armia posłusznych służących.

- Przecież mówiłeś, że mnie kochasz, że tak będzie zawsze...

- Mówiłem wiele rzeczy, słodziutka. Ty zresztą też... Przecież oboje wiedzieliśmy, że nic z tego nie wyjdzie, prawda? - Popatrzył na nią spod oka. - Daj buziaka, bo ruszam w drogę.

Zwymyślała go od najgorszych. Nie zostawiła na nim suchej nitki. Przy okazji dostało się też jego rodzinie. Używała słów, które kiedyś przypadkiem słyszała od brata, chociaż nie rozumiała w pełni ich znaczenia. Zdarła z głowy jedwabny czepek i rzuciła mu go pod nogi. Jackson odszedł.

Na myśl o tamtym dniu łzy napłynęły do oczu Cameron. Wzięła głęboki oddech. Nie chciała płakać. Co prawda, łzy przynosiły ulgę, ale broniła się przed nimi. Jedynie złość mogła zagłuszyć jej cierpienie.

- Czego on tu znów szuka? - zapytała, ukradkiem ocierając oczy.

- Nie wiem. Senator prosił tylko, żebyś przyszła - odparła Taya. - Nie chcesz tam iść? Nie szkodzi. Powiem, że masz migrenę.

Taye wiedziała, co zaszło między dwójgim młodych. Pamiętała ich wspólne noce i po cichu marzyła, że kiedyś zazna szczęścia w ramionach mężczyzny. Cameron wyzbyła się takich nedorzecznych mrzonek.

- Nie - odparła stanowczo.

Uchyliła wielkie frontowe drzwi i weszła do domu. Minęła obszerny, obwieszony licznymi portretami hol i skierowała się prosto do biblioteki. Po drodze rzuciła kapelusz w ręce służącej.

- Po tylu długich latach... Co on sobie myśli? - wymamrotała pod nosem pod adresem Logana.

- Można pomyśleć, że twój ojciec i kapitan Logan są w całkiem dobrej komitywie - powiedziała Taye.

- Kapitan? A kiedy to Logan stał się kapitanem?!

- Podejrzewam, że odziedziczył statki po zmarłym ojcu - odrzekła Taye. - W Waszyngtonie na pewno widywał senatora.

Cameron zatrzymała się przed mahoniowymi drzwiami biblioteki.

- Z kim tak naprawdę trzymasz? Taye spuściła wzrok.

- Z tobą. - Skrzywiła usta w podkówkę. - Zawsze jestem po twojej stronie. Pamiętaj o tym...

Cameron po przyjacielsku szturchnęła Mulatkę.

- Nie płacz - powiedziała. Czowała się trochę winna. - Nie chciałam na ciebie krzyczeć. Chodzi mi tylko o to, że po tylu latach...

Mimo wszystko przez te wszystkie lata tęskniła za Loganem. Tyle chciała mu powiedzieć i... wreszcie mogła to zrobić. Zamierzała



wypomnieć mu okrutne potraktowanie, to jednak okazało się trudniejsze, niż kiedyś przypuszczała. Nagle nie potrafiła ubrać myśli w słowa. Zaschło jej w gardle i poczuła, że dłonie poca jej się ze strachu.

- Już dobrze... - szepnęła Taye. - Spotkasz jeszcze wielu wspaniałych mężczyzn. - Spojrzała na Cameron i odgarnęła jej włosy z twarzy. - Może trochę się ogarniesz? Tak czy owak pan Logan dawno cię nie widział...

- Mam to zrobić dla niego?! Nigdy w życiu!

Taye ścisnęła przyjaciółkę za rękę. Ściszyła głos, jak przystało na prawdziwą damę.

- Moim zdaniem, powinnaś zrobić się na bóstwo. Niech zobaczy, co stracił. - Zawahała się lekko, ale zobaczyła, że Cameron poważnie rozważa jej słowa, więc odetchnęła z ulgą. - Chodź. Umyjesz twarz i ręce, a ja się zajmę twoimi włosami. Ojciec przywiózł ci nową suknię. Idealnie pasuje do twoich oczu.

Cameron rzuciła okiem na zamknięte drzwi. Słyszała stłumione głosy. Nie rozróżniała poszczególnych słów, ale wciąż potrafiła rozpoznać ostry jak brzytwa głos Logana.

- Jackson... - syknęła.

- Chodź. To zajmie tylko chwilę. Zobaczysz, że utrzesz mu nosa. Nie oprze się twoim wdziękom. Natychmiast padnie na kolana i będzie cię błagał o rękę.

- Rękę?! - warknęła Cameron.

- Już dobrze... - Taye objęła przyjaciółkę i poprowadziła w stronę schodów. Obie poszły na górę.

Jackson jednym uchem słuchał wywodów Davida Campbella. Co chwila zerkał na drzwi. Gdzie ona się podziewa? Senator posłał po córkę przeszło godzinę temu. Jackson nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy, a zarazem bał się tego spotkania. A jeśli się zmieniła i stała damą o sztywnych manierach trzepoczącą długimi rzęsami? Tęsknił za szaloną dziewczyną o kasztanowych włosach

Cameron... Niewiele brakowało, żeby właśnie przez nią zrezygnował z wizyty w Elmwood. Po tylu latach wciąż czuł delikatną woń jej skóry - pachniała magnolią. Pamiętał smak jej gorących ust - były miękkie i słodkie. Nie potrafił o niej zapomnieć. Nie pomagała obecność innych kobiet, którym zwykł łamać serca.

Słodka, niewinna Cameron Campbell... Gdy się poznali, miała zaledwie siedemnaście lat, lecz nie ustępowała mu w niczym. Była doskonałym jeźdźcem, świetnym strzelcem i umiała grać w karty. Tamtego lata w Missisipi towarzyszyła mu na każdym kroku. Stała się jego pierwszą prawdziwą miłością. Nawet po latach, gdy zamykał oczy i całował inne usta, imię „Cameron” jak dawniej dźwięczało echem w jego głowie. Pluł sobie w brodę, że dopuścił do tego, aby sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Przecież on także, mimo swego wieku, nie był gotów do głębszych uczuć. Nawet teraz był przekonany, że wtedy postąpił słusznie, odchodząc.

Jackson nie bał się kobiet. Wręcz przeciwnie - uwielbiał je i chętnie gościł w swoim łóżku. Na szczęście nie popełnił tego błędu z Cameron. Oczywiście próbował, ale jej rozsądek wziął górę nad emocjami. Od tamtej pory minęły lata; dziś miał ją znów zobaczyć.

Jackson z trudem skupiał uwagę na słowach senatora. David Campbell pochodził z Południa, lecz sympatyzował z Północą. Wskutek secesji znalazł się między młotem a kowadłem. Ze wszystkich sił próbował pomóc swoim wyborcom odnaleźć się w nowym położeniu. Mieszkańcom północnych stanów usiłował przybliżyć racje leżące po stronie Południa i na odwrót. Bezsenne noce na ogół spędzał w zadymionych pokojach hotelowych i bezskutecznie klócił się z politykami. Wiedział, że wojna wisi w powietrzu, że lada chwila brat stanie do walki z bratem...

Senator Campbell chodził po pokoju i energicznie wymachiwał ręką, jakby znajdował się w senacie.

- A niech to licho! Mamy za swoje! Po co to całe niewolnictwo?!  
- wołał zapalczywie. Nagle zatrzymał się przed otwartym oknem. - Mimo to cieszę się, że jestem w domu. - Wskazał na rozpościerający się przed nim krajobraz. - Kiedyś na tych terenach osiadł mój ojciec, Szkot. Stąd czerpię siłę, z ziemi, którą w młodości uprawiałem własnymi rękami. A nawet później, w lepszych czasach, gdy już mieliśmy niewolników, osobiście nadzorowałem każdą pracę.

Jackson słuchał uważnie i kiwał głową. Przez otwarte okno wpadał charakterystyczny zapach uprawnej ziemi. Jackson słyszał śpiew wracających z plantacji bawełny niewolników i wdychał ciężką woń zgniłego mułu, zalegającego na dnie rzeki Pearl.

W pokoju było gorąco i parno. Jackson po trochu już zapominał, jak to zazwyczaj bywa na Południu. A to przecież dopiero kwiecień! Czuł się zmęczony. Na dobre przywykł do północnego klimatu Mary-

landu i wiatrów znad Atlantyku. Ukradkowym ruchem nieco poluźnił wykrochmalony biały fular. Miał nadzieję, że go niedługo zdejmie. Gdzie ta Cameron? Jackson nalał sobie kieliszek brandy i znów zmusił się do słuchania słów senatora.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Papo, to ja. - Cameron zapukała do drzwi biblioteki. Czuła, jak krople potu spływają jej po plecach. Pchnęła drzwi i weszła do środka.

- Jesteś! - zawołał senator, witając ją z otwartymi ramionami. -  
Moja najdroższa...

Cameron pocałowała go w policzek. Uwielbiała zapach ojca zmieszany z wonią tytoniu i mydła do kąpieli. Chwilę trwało, zanim odwróciła głowę i napotkała przenikliwy wzrok Jacksona Logana.

- Kapitanie - odezwał się senator - pamiętasz moją córkę?  
Na przystojnej twarzy Logana pojawił się szeroki uśmiech.  
- Nie byłem w Elmwood ładnych parę lat - odpowiedział Jackson, nie odrywając oczu od Cameron - ale twoją śliczną córkę doskonale pamiętam.

Jackson był dobrze wychowany i jego ciepłe usta ledwie musnęły jej dłoń. Mimo to Cameron odsunęła się szybko, jakby chciała uciec przed ukąszeniem węża.

- Kiedy ostatni raz ją widziałem, była jeszcze dzieckiem - ciągnął

Jackson. Zmrużył oczy i z premedytacją obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

A niech cię diabli! - Cameron zawrzała z wściekłości. Nie utracił nic z dawnej arogancji. Jak mogłam pokochać tego impertynenta!

- Widzę, że wyrosła na wspaniałą damę - dokończył Jackson.

Tylko Cameron wychwyciła uszczypliwość w jego głosie.

- Miło znów pana widzieć, kapitanie Logan - powiedziała oziębło. Odwróciła się, ale ostrożnie, aby przypadkiem nie urazić ojca, jednak Jackson w lot pojął jej intencje.

- Och, Thomasie, wspaniale, że jesteś z nami! - zawołała ciepło, witając się z sekretarzem ojca.

- Dziękuję, panno Campbell. - Thomas Burl skinął głową i zakołysał się lekko na chudych i długich jak szczudła nogach. - Cieszę się, że znów jestem w domu. Lubię widok krętych dróg Missisipi, wijących się przez plantacje.

Burl miał jasne, starannie zaczesane włosy, dość pospolitą twarz, głęboko osadzone oczy i długi arystokratyczny nos. Na pozór brzydki, zwracał na siebie uwagę kobiet, zwłaszcza tych z Południa. Nawet Cameron podobały się jego piwne oczy.

- Nalać ci brandy, papo? - zapytała. Butelki stały na małym stoliku przy oknie.

- Naturalnie, najdroższa.

- Panie Burl? - zaproponowała, kiedy napełniła kieliszek ulubionym trunkiem ojca.

- Dla mnie? Nie, nie... Dziękuję - wyjąkał Thomas.

Cameron niechętnie spojrzała na Jacksona.

- A pan, kapitanie?

Jackson był wysokim i gibkim mężczyzną o szerokich ramionach i wąskich biodrach. Zgrabny żółty surdut i brązowe bryczesy podkreślały umięśnioną sylwetkę. Długie czarne włosy zwykle cesał do tyłu i wiązał w niewielki kucyk. Cameron przypomniała sobie, że dłonie Jacksona były duże i twarde, zniszczone pracą na statku i w wielkich magazynach portu Baltimore. Starła się nie myśleć, jakie dziwne wrażenie wywoływał ich szorstki dotyk na jej gładkiej skórze.

- Brandy? Mnie nigdy nie musisz o to pytać.

Ta leniwa, cedzona przez zęby odpowiedź sprawiła, że Cameron spłonęła rumieńcem. Niech to szlag! Przez sześć długich lat robiła wszystko, żeby zdusić w sobie ów głód namiętności, który odczuwała na widok Jacksona. Całkowicie oddała się ulubionym zajęciom: plantacji, polityce, no i ukochanej stajni z arabami. Chciała na zawsze zapomnieć Jacksona, ale teraz, kiedy go zobaczyła, gdy był tak blisko, dawne uczucia dały o sobie znać.

A ten zuchwały łajdak nawet się nie poruszył! Stał oparty o mahoniowy regał z książkami i czekał. Cameron musiała zrobić zaledwie parę kroków, ale miała wrażenie, że idzie bez końca. Trzymała wysoko uniesioną głowę. Nakrochmalone halki szeleściły głośno przy każdym ruchu.

Jackson chyba umyślnie dotknął palcami jej dłoni, kiedy mu nalewała brandy. Cameron drgnęła i kilka kropel trunku pociekło na jego rękę.

- Och, przepraszam - wyjąkała - tak mi przykro. Na jej policzkach znów pojawił się ciemny rumieniec.

- Nic się nie stało. - Jackson podniósł do ust kieliszek.

Przez króciutką chwilę z zafascynowaniem obserwowała jego ruchy. Odsunęła się, zawstydzona. Nagle uświadomiła sobie, że powinna zaprosić mężczyzn na posiłek, więc powiedziała:

- Jeśli jesteście głodni, zaraz dam znać do kuchni.

- Masz rację. Co ze mnie za gospodarz? Zupełnie o tym zapomniałem. - Senator przejechał dłonią po siwych włosach. - Zjesz coś, Jacksonie? Przebyłeś kawał drogi.

- Nie, dziękuję, ale napiłbym się jeszcze brandy. - Logan uniósł kieliszek i z udawaną uprzejmością popatrzył na Cameron.

Wyraźnie z niej drwił. Spojrzała na niego z niechęcią, ale skrzywiła usta w fałszywym uśmiechu i dołąła mu brandy, tym razem uważając, żeby go nie dotknąć.

- A teraz - ciągnął Jackson, przenosząc leniwy wzrok z Cameron na senatora - chciałbym przez chwilę porozmawiać na osobności, jeśli można...

Senator zmarszczył brwi i popatrzył na Logana.

- Możemy czuć się w pełni swobodnie - powiedział. - Ufam mojej córce i dyskrecji pana Burla.

- Nie przeczę, ale to sprawa wyłącznie między nami. Proszę mnie wysłuchać; zresztą dla ich dobra - podkreślił Jackson.

- Doprawdy, papo - powiedziała nieco afektowanym tonem Cameron. - Myślę, że kapitan trochę przesadza. Pewnie za dużo czasu

spędził na otwartym morzu i teraz dostrzega problemy tam, gdzie ich nie ma.

Jackson milczał. To jeszcze bardziej ją rozzłościło. Uparcie spoglądała na ojca. Jak ten łajdak, myślała o Loganie, ośmiela się przychodzić do mojego domu i rozkazywać mi, jakbym była dzieckiem?

Senator położył jej dłoń na ramieniu.

- Możemy cię przeprosić, moja droga? Jestem pewien, że pan kapitan ma swoje powody. Chodzi głównie o nowe szlaki żeglugowe, których stan Missisipi nadal nie uznaje. Zanudzisz się z nami.

- Ależ, papo, wychowałam się na polityce. Z przyjemnością zostanę.

Senator spojrział na córkę. Wiedziała, że nic tu po niej. Uśmiechem potrafiła nakłonić go, aby kupił nowego konia albo siodło. Natomiast gdy chodziło o jej bezpieczeństwo, nie pomagały namowy ani tłumaczenia. Ojciec był nieugięty. Jednak nauczył ją zarówno jak walczyć, jak i ustępować z honorem.

- Panie Burl - odezwała się pospiesznie - chciałby pan zobaczyć moją nową arabską klacz? Tata sprowadził ją z Irlandii. Jest naprawdę piękna.

- Oczywiście. - Burl zrobił się czerwony jak burak.

Cameron wsunęła mu rękę pod ramię i przesunęła palcami po brązowym rękawie.

- Doprawdy śliczny surdut, panie Burl. Zapewne kupiony we Francji?



Wyszli. Cameron sprawiała wrażenie zafascynowanej młodym prawnikiem.

- Muszę przyznać, że ma pan znakomity gust.

Senator David Campbell zamknął drzwi za córką. Nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Jak ja ją kocham! Nieba bym jej przychylił, żeby była szczęśliwa. - Odwrócił się do Logana. - Gdybym tylko mógł powstrzymać wojnę... Niestety, po ostatniej wizycie w Waszyngtonie straciłem wszelką nadzieję. To tylko kwestia czasu. Niedługo padną pierwsze strzały. Skończą się czasy dobrobytu dla mojej młodej i radosnej córki. Taki los czeka wszystkich mieszkańców Południa.

- Jest bardzo piękna - zauważył Jackson - i mądra. Poradzi sobie. Senator pokiwał głową.

- Owszem, ma głowę nie od parady - przyznał. - Sęk w tym, że jednocześnie jest bardzo niesforna. Dorównuje mężczyznom. Nie chciałbym ścigać się z nią na jednym z jej arabów. - Odchrząknął. - Och, wybacz. Nie przyjechałeś tu przecież, żeby słuchać o Cameron. O czym to chciałeś pilnie porozmawiać? To jakaś delikatna sprawa?

- Lepiej będzie, jeśli teraz pójdziemy na spacer. - Jackson spojrzał wymownie na zamknięte drzwi.

- Ściany mają uszy, a to, co ci powiem, musi pozostać między nami.

Senator jednym haustem wypił resztkę brandy i odstawił kieliszek.

- Proszę bardzo. Pokażę ci nasz sad brzoskwiniowy. Posadziliśmy go na wiosnę.

Przechylony przez poręcz balustrady Grant Campbell przyglądał się z pierwszego piętra, jak jego ojciec i Jackson wychodzą na dziedziniec. Byli pochłonięci rozmową. Szybko przyłgnał plecami do kwiecistej tapety, żeby go nie zauważyli.

- Kapitan Jackson Logan - wycedził przez zęby.

- Dupek, a nie kapitan. Zwykły pirat, do tego w szkaradnych bryczesach. - Stał jeszcze przez chwilę, zanim wyszedł z ukrycia. - Ciekawe, czego tu szuka?

Uwagę Granta przykuł odgłos kroków, dobiegający z dołu, z korytarza.

- Zaraz, maleńka...

Grant zbiegł na dół tak szybko, jak tylko pozwalała na to jego niedołączna noga. Dogonił Taye i lekko szturchnął ją palcem w plecy. Dziewczyna nawet na niego nie spojrzała.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał z przewlekłym południowym akcentem.

- Cameron zapomniała czepka, kiedy wychodziła z panem Burlem do stajni - odpowiedziała oschle Taye, nadal nie odwracając głowy w jego stronę. - Prosiła, żebym go przyniosła.

Grant złapał ją za nadgarstek i odwrócił twarzą do siebie. Zajrzał w jej błękitne oczy, niespotykane wśród czarnuchów. Matka dziewczyny, Sukey, była dla niego zwykłą dziwką. Ojciec? Prawdopodobnie któryś z gości senatora.

- Jak to? Pozwalasz sobą rządzić?

Chwytał ją mocniej i próbował pocałować w rękę. Taye szarpnęła się.

- Proszę... Ugryzł ją.

- Och! - zawołała z bólu.

Grant zobaczył łzy w jej pięknych błękitnych oczach.

- Puść mnie. Cameron czeka.

- A niech czeka. - Tym razem i tak był wyjątkowo miły.

Przycisnął usta do zranionej dłoni dziewczyny i zlizął krew. - Och, Taye, słodka Taye... - Wziął głębszy oddech i zamknął oczy. - Jesteś istotą doskonałą. Gdybyś tylko chciała, pokazałbym ci księżyc i migoczące gwiazdy...

Taye wrywała się, ale Grant trzymał ją mocno.

Nagle usłyszał, że ktoś nadchodzi, więc puścił dziewczynę. Nie chciał, żeby ktoś ich zauważył. Służba była lojalna wobec jego złośliwej siostry i - co najgorsze - wobec ojca. Cóż, pomyślał, przecież mogę wyprowadzić się do Baton Rouge, gdzie ojciec kupił dom. Baton Rouge to wspaniałe miasto. Tyle domów schadzek, tyle chętnych dziewczyn...

Zza węgła wyszła jedna z niewolnic, Naomi. Niosła stertę czystego prania. Grant znał ją aż za dobrze. Znał każdy fragment jej czarnego ciała.

Lubił, kiedy spełniała jego najskrytsze fantazje - chociaż z drugiej strony trochę się jej obawiał. Naomi była kimś w rodzaju kapłanki wudu. Każdy głupiec by to zauważył. Gdyby ojciec nie

siedział ciągle w Waszyngtonie wśród parszywych Jankeesów, też by wiedział, co się tutaj dzieje.

Grant zmarkotniał. Ojciec był senatorem ze stanu Missisipi. Przed secesją reprezentował swoich wyborców w senacie. Ale co robił teraz? Ciągłe stwarzał problemy, próbował dyskutować z tępakami z Północy. Chciał im przybliżyć poglądy uczciwych ludzi Południa.

Wolność dla czarnuchów? Przecież to absurd! Bez niewolnictwa nie będzie Południa. Trzcina cukrowa zgnije, a kto zbierze bawełnę? Plantacje mogą przetrwać tylko dzięki ciężkiej pracy tysięcy niewolników. Po co im ta cała wolność? Nie będą wiedzieli, co z nią zrobić. Potrafią tylko zarzynać kurczaki i wbijać szpilki w brudne szmaciane lalki. Grant lekko zadrżał, gdy o tym pomyślał.

- Co to za mina, panie Grant? Nie rób pan tak, bo na zawsze panu zostanie - powiedziała ostrzegawczo Naomi.

Grant wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię. Murzynka rzuciła pranie na podłogę i spojrzała na niego ciemnymi oczami. W przeciwieństwie do Taye niczego się nie bała.

- Milcz, paskudo - warknął Grant. - Nie wolno ci tak się odzywać.

- A jak nie posłucham? - zapytała z drwiną w głosie.

- Poniesiesz srogą karę - powiedział i lubieżnie oblizał usta.

Nie próbowała uciec. Popatrzyła na niego diabelskimi oczami.

- Nie może się pan doczekać, co?

Puścił ją. Naomi spokojnie pozbierała pranie.

- Przyjdź do mnie dziś wieczorem, zanim pójde spać - polecił

Grant. Odszedł, poprawiając krawat. - Zobaczymy, co jeszcze potrafisz, mądralo.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Zaraz, zaraz... Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć, Jacksonie? - zapytał senator, idąc z Loganem nad rzekę. - Prezydent chce, żebym został doradcą wojennym? Ale ja przecież jestem z Missisipi! Mój stan jako drugi odłączył się od Unii!

- Nikt w Waszyngtonie nie chce wojny. Wszyscy wolą załatwić to w inny sposób, lecz...

- Nie wierzą, że się uda?

- Prezydent Lincoln dobrze wie, na kogo może liczyć.

Oczywiście czeka cię pilna rezygnacja z roli reprezentanta stanu Missisipi - dodał. - Na dobrą sprawę musisz przeciąć pępowinę, łączącą cię z rodzinnym stanem.

David Campbell oparł się o stary płot postawiony jeszcze przez jego ojca. Po drugiej stronie, na bujnej zielonej łące, zobaczył córkę. Wyprowadzała nową klacz. Pan Burl na wszelki wypadek stał po drugiej stronie ogrodzenia. Cameron zebrała suknię w jedną dłoń, a w drugiej trzymała wodze. Senator powiódł wzrokiem po grubo ciosanym płocie.

- Chyba masz rację. Najwyższa pora, żebym nareszcie

opowiedział się po właściwej stronie. Serce mi pęka, że porzucę najbliższych przyjaciół, lecz nie ma innego wyjścia. - Wziął głęboki oddech. W tej chwili poczuł się naprawdę stary. - Muszę wziąć rozbrat z Konfederacją. - Spojrzał na przyjaciela. - Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem, nawet moim dzieciom.

Jackson pokiwał głową.

- Rozumiem - odparł. - Wszystko zostanie między nami. Wybacz, że zmusiłem cię do takich wyznań, ale sekretarz stanu William Seward słyszał, że będę w Baton Rouge, i poprosił mnie, abym z tobą porozmawiał.

Campbell westchnął, przesuwając dłonią po starym drewnianym płocie.

- Zamierzam zamknąć plantację Elmwood i puścić wolno moich niewolników. Cameron jeszcze o niczym nie wie. Wyślę ją do przyjaciół, do Nowego Jorku. Nie chcę jej narażać.

- Wojna wisi na włosku - powiedział Jackson.

- Powiadasz zatem, że zostanę doradcą wojennym? - zapytał senator, chociaż znał odpowiedź. Ojciec byłby z niego naprawdę dumny.

- Będziesz podlegał bezpośrednio panu Sewardowi. Biały Dom ma do ciebie niemałe zaufanie.

Senator roześmiał się z goryczą.

- Północ chce ze mną współpracować. Nie byłem tego pewny. Tu, na Południu, wiele się zmieniło. Przed secesją o wiele rzadziej bywałem w Waszyngtonie. - Uniósł rękę. - Moi współnicy są ostrożni.

Nie komentują mych poglądów, ale wyczuwam ich głęboką niechęć. - Uderzył pięścią w płot. - Nie pozwolę, żeby Cameron stała się obiektem nienawiści. Sam stawię czoło wszelkim konsekwencjom moich dalszych czynów.

Jackson zdjął surdut, przewiesił go przez płot i podciągnął rękawy koszuli.

- Mam rozumieć, że przyjmiesz propozycję rządu?

Lekki uśmiech przemknął przez twarz senatora.

- Wezmę ją pod uwagę - odparł. - Najpierw muszę zadbać o dom i rodzinę. Kiedy wrócę do Waszyngtonu, przedyskutuję to z panem Sewardem.

- Wiesz, że Robert E. Lee zrezygnował z dowództwa armii Stanów Zjednoczonych?

- To dobry człowiek - cicho powiedział senator. - Tak, słyszałem o tym.

- Zaproponowano mu objęcie sił zbrojnych Wirginii. Podobno już się zgodził. Ma być głównym dowódcą wojsk konfederatów.

Senator kiwnął głową i znów spojrzał na Cameron. Prowadziła klacz przez zielone pastwisko. Mówiła coś, ale słowa ginęły w oddali.

- Nie wiem tylko, co będzie z Grantem - głośno rozmyślał Campbell. - To jedyne, czego zupełnie nie jestem pewien.

Jackson popatrzył na łąkę.

- Zdaje się, że nie podziela twoich poglądów politycznych.

- Obawiam się, że w każdej sprawie ma odmienne zdanie. Nie potrafimy się dogadać. Kilka lat temu zdarzył się wypadek, spadł z

konia. Od tamtej pory bardzo się zmienił. Stał się zgorzkniały i pełen złości do całego świata. Myśli jedynie o własnych przyjemnościach, a zwłaszcza o kobietach. - Senator Campbell wzruszył ramionami. - Dla Granta, jak dla wielu mieszkańców Południa, niewolnictwo to kwestia gospodarki. Nie obchodzą go ludzie. Rzeczywiście bez niewolników smutny koniec czeka nawet naszą plantację. Owszem, można zatrudnić robotników rolnych, ale wtedy wydatki są wyższe od dochodów.

- Chłopak zna się na rzeczy. - Jackson nie krył pogardy dla syna senatora. Nigdy się nie lubili.

Campbell pokiwał głową. Tak bardzo pragnął szczęścia dla syna, jednak Grant nigdy nie był zadowolony.

- To prawie pewne, że Grant nie wyjedzie z nami na Północ, a Elmwood to też dla niego jedynie puste słowo. Łatwe pieniądze i nic więcej. Co innego Cameron. - Wskazał na córkę, która wracała z kłaczą do stajni. - Jej serce należy do Elmwood. Prawdziwa potomkini Campbellów. Kocha Missisipi tak mocno jak swoje ręce konie. Dobrze, że jest kobietą.

Obaj zaśmiali się cicho.

- Myślisz, że twój syn dołączy do wojsk konfederatów? - zapytał Jackson.

Senator przecząco pokręcił głową.

- Nie. Jest prawie kaleką. Weźmie z domu pieniądze i wyjedzie do Baton Rouge. Będzie łajdaczył się i pił do końca wojny.

- No cóż, przemyśl ofertę Lincolna. - Jackson sięgnął po surdut.

Po krótkiej chwili senator zaproponował:



- Może zostaniesz chociaż tydzień? Będziesz mile widzianym gościem.

- Mój statek stoi w Baton Rouge. Montują na nim nowe działa. Powinienem pilnować robót.

Senator położył mu dłoń na ramieniu.

- Wspomniałeś, że to może potrwać nawet miesiąc. Urządzę bal z okazji twojego przyjazdu.

Jackson rzucił okiem na łąkę.

- Zrób to dla mnie - poprosił Campbell. Po raz ostatni chciał wystąpić w roli plantatora, zanim dawny porządek świata legnie w gruzach. - To ostatnia szansa, żeby pogadać z sąsiadami. Kiedy rozpuszczę niewolników, nikt mnie nie przyjmie w swoim domu, od Mason aż do Dixon.

- Wiesz, że to szantaż? - zapytał Jackson, spoglądając na niego spod oka.

- Jak najbardziej. - Campbell z uśmiechem zwycięzcy wyciągnął do niego rękę. - Dziękuję.

- To ja dziękuję - powiedział Jackson. - A teraz, jeśli mi pozwolisz, chciałbym rzucić okiem na nową klacz twojej córki. Wspaniałe stworzenie.

- Widzę, że pan Burl zmierza w stronę domu. Ja też pójdę. Mamy sporo do omówienia. - Senator westchnął. - Widzimy się na kolacji. Jeżeli jednak masz ochotę, wpadnij wcześniej na kieliszek brandy.

- Z przyjemnością. - Jackson uklonił się z szacunkiem.

Popatrzył za odchodzącym senatorem, a potem ruszył w kierunku

stajni. Wiedział, że igra z ogniem. Czuł, że powinien iść do gościnnego pokoju, zrzucić ciężkie buty i zdrzemnąć się chwilę. Jednak lubił wyzwania.

- Dobra dziewczynka - powiedziała Cameron, głaszcząc Roxy po długiej szyi.

Po myciu i szczotkowaniu klacz znów była kremowobiała.. Stajnia była jedynym miejscem, w którym Cameron czuła się naprawdę sobą. To był jej azyl. Zamknęła bramę i rozejrzała się po mrocznym wnętrzu. Może zaczekam tu, dopóki kapitan Logan nie odjedzie? - zadała sobie w duchu pytanie. Nie chciała, żeby Logan dłużej został w Elmwood. To wykluczone. Wolała pobyc tylko z ojcem. Przecież mieli sobie tyle do powiedzenia.

Weszła do szopy po obcegi. Co prawda, służba bez zarzutu dbała o konie, ale były też pewne prace, które lubiła wykonywać sama. Przemawiając łagodnie do klaczy, schyliła się, żeby wyczyścić jej podkowy.

- Moja mała - szepnęła, głaszcząc klacz po pęcinie. Lekkim klepinięciem dała znak, żeby zwierzę podniosło nogę. - O, tak, dobrze, grzeczna dziewczynka. Pozwolisz mi wyciągnąć kamień? - mówiła.

- Piękny koń.

Zaskoczona Cameron puściła nogę klaczy i odwróciła głowę.

- Nie bój się. - Jackson podwinął rękawy koszuli, a surdut zarzucił na ramiona.

- Wcale się ciebie nie boję - burknęła Cameron.

- Senator mówił, że masz własną hodowlę arabów.  
- A co cię to obchodzi? Jackson zmarszczył brwi.  
- Skąd tyle smutku na tak pięknej twarzy?..  
- Zejdź mi z oczu - rzuciła. - Wynoś się z mojej stajni i z mojego domu!

- Słucham? Senator Campbell właśnie poprosił, żebym dużej posiedział w Elmwood. Mogę tu zostać nawet miesiąc, do czasu, aż nie odbiorę statku.

- Mam nadzieję, że odmówiłeś?  
- Niby dlaczego? - wycedził Jackson, opierając się o framugę.  
- Jeszcze pytasz?! Omijam ziemię, po której stąpasz! -  
Zamachnęła się obcęgami. - Chętnie wyrwałabym ci serce.

- No już, wystarczy. - Roześmiał się. - Zrozumiałem. - Przybrał surową minę. - Właściwie za co mnie tak nienawidzisz?

Cameron poczuła, że krople potu spływają jej po karku. Przebiegł ją dreszcz, kiedy Jackson z wolna przyglądał się jej ustom, szyi i piersiom.

- Za co? - Zaśmiała się z goryczą. - Tylko mi nie mów, że już zapomniałeś o tym, co kiedyś nas łączyło. - Podeszła bliżej. Nie była szarą myszką z prowincji. Nie pozwalała sobą pomiatać. - Nie żartuję. Zejdź mi z drogi.

Jackson odsunął się pół kroku, żeby zrobić przejście. Mimo to Cameron nadal czuła się jak schwytna w pułapkę. Z trudem łapała oddech. Drżącą ręką zawiesiła obcęgi na wbitym w ścianę haku. Zastanawiała się, czy nie odejść, ale uznała, że nie ustąpi. Przecież to

była jej stajnia.

- Ach, to nieszczęsne lato - powiedział ironicznie Jackson. -  
Gorące słońce, zielona trawa i piękna dziewczyna. Bawiłem się  
całkiem dobrze. A ty, Cameron?

Co za bezczelność! Tak zachowuje się dżentelmen? Cameron  
odruchowo chwyciła widły i zaczęła przerzucać siano do zagrody.  
Dałam się złapać w sidła, myślała gorączkowo. Jeśli mu teraz wyjawię,  
dlaczego się złościę, to jednocześnie przyznam, że coś nadal do niego  
czuję, a tego nie mogę zrobić. Prędzej pójdę do piekła, niż wyznam mu  
prawdę.

- Rozstanie było raczej chłodne. Jackson spoglądał na nią spod  
oka.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłem - powiedział w końcu.

- Jak to „jeśli”?! - Ze złością machnęła widłami. Jackson zrzucił  
surdut z ramion i obronnym ruchem wyciągnął ręce przed siebie.

- Tylko spokojnie!

- Jestem spokojna! - wrzasnęła Cameron.

Jackson skoczył w jej stronę, złapał trzonek i z łatwością wyrwał  
widły z jej ręki. Teraz Cameron musiała się bronić. Czowała, że serce wali  
jej jak młotem, a krew pulsuje w żyłach. Wyczuła świeży zapach wody  
kolońskiej, bijący od Jacksona.

- Oddawaj widły! - warknęła.

- Żebyś mnie nadziała? - Postąpił krok do przodu.

Cameron nadal była skora do bójki. Nagle z całej siły uderzyła go  
pięścią w szczękę.

- Au, to boli... - mruknął zaskoczony Jackson.  
- I bardzo dobrze! - zawołała Cameron, próbując go kopnąć.  
Jackson złapał ją za ręce i przyparł do ściany.  
- Dosyć tego! Zrobisz sobie krzywdę. Zamknęła oczy; nie chciała na niego patrzeć.

Rozbolała ją głowa i piekło całe ciało.  
- Cameron - szepnął Jackson.  
Chciała mu się wyrwać, lecz w tej samej chwili poczuła jego usta na szyi.

- Nie - zaprotestowała.  
Jackson jakby w ogóle jej nie słyszał.  
- Nie! - zawołała, ale wbrew sobie zapragnęła pocałunków, pieścizot i miłości.

Jackson całym ciałem przyparł ją do ściany. Przywarł ustami do jej miękkich warg i wplótł palce we włosy.

Świat zawirował przed oczami Cameron. Na krótką chwilę przestała się opierać, ale zaraz potem znów próbowała odepchnąć Jacksona. Brakowało jej tchu. Obawiała się, że zemdleje w jego ramionach. Cichy jęk protestu uwiązał jej w gardle.

Jackson odsunął się.  
- Przestań ze mną walczyć - zażądał. - Chcę ci coś powiedzieć.  
Była słaba i zła na siebie, że nie potrafi zapanować nad emocjami. Chciała zawołać o pomoc, lecz nie zdołała wydusić z siebie ani słowa.

- Otwórz oczy, do diabła! Przepraszam. - Jackson nie spuszczał z

niej wzroku. - Słyszysz? Jest mi przykro. Przepraszam za to, co zrobiłem. Dzisiaj wiem, że to był błąd.

Cameron z trudem powstrzymała się od płaczu. Za nic w świecie nie chciała okazać słabości. Jest mi przykro, wołało jej serce, powtarzając słowa Jacksona. Nie ufaj mu, podpowiadał rozum. Chciała splunąć w twarz Jacksonowi, ale nagle poczuła, że to dla niej za trudne. Zmęczonym ruchem wtuliła się w jego ramiona. W stajni zrobiło się gorąco. Cameron odruchowo rozchyliła usta. Opamiętaj się, przywoływała się do porządku, lecz już było za późno.

Przerywając długi pocałunek, Jackson wyszeptał:

- Powiedz, że mi wybaczysz...

Cameron nagle oprzytomniała, słysząc przeprosiny. Wiem, co chcesz zrobić, łotrze, powiedziała sobie w duchu. Zaczniemy od nowa, a potem mnie porzucisz. Odepchnęła go z całej siły.

- Zostaw mnie! - wrzasnęła. Przez kilka sekund przypatrywała mu się z przerażeniem. - Dotknij mnie jeszcze raz, a skończysz z widłami w bebechach! - Łzy napłynęły jej do oczu. Zebrała w rękę fałdy sukni i wybiegła ze stajni. Uciekała przed Jacksonem Loganem... i przed sobą.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie mogę iść na kolację - oświadczyła Cameron, leżąc na obszernym mahoniowym łożu.

Ojciec kupił je, kiedy skończyła trzy latka i wyrosła z kołyski. Ze wszystkich czterech stron było ozdobione rzeźbionymi liśćmi i lodygami ryżu, a od góry było nakryte białym baldachimem. Leżała na brzuchu, twarzą do poduszki. Jedwabna poszewka była ciepła i miła w dotyku. Irlandzki haft wgniatał się jej w policzek, ale nie zwracała na to uwagi. Była w fatalnym nastroju. Jak to się stało, że Jackson Logan nakłonił ją do pocałunku? Wciąż czuła dotyk jego ust i zapach wody kolońskiej.

- Nie bądź śmieszna - powiedziała Taye, zbierając ubrania rozrzucone w beładzie po całym pokoju. - Ojciec na ciebie czeka. - Podniosła buty i doprowadziła do porządku poplamiony czepek. - Nie możesz mu tego zrobić. Cameron przewróciła się na plecy. Zirytowana odgarnęła włosy z twarzy i wbiła wzrok w wiszący nad nią baldachim.

- Niczego nie rozumiesz - oznajmiła z przejęciem. - Nie udawaj, że słuchasz. Jackson mnie pocałował! - Wzdrygnęła się, zamknęła oczy i wyznała: - Zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje, Taye. Najpierw byłam wściekła, a potem... - Ciarki przebiegły jej po plecach.

- Źle do tego podchodzisz. - Taye obstawała przy swoim. Podniosła z podłogi zieloną jedwabną suknię. - Wprawdzie z początku popełniłaś błąd, lecz później wyraźnie wskazałaś Jacksonowi, gdzie

jest jego miejsce. Nie masz się czego wstydzić. Nie musisz się ukrywać.

- Wcale się nie ukrywam! - zawołała Cameron. Usiadła na krawędzi łóżka. Było jej duszno.

- Ja tylko... Och, Taye! - krzyknęła i z powrotem rzuciła się na plecy. - Jesteś taka niewinna. Jak mam ci wytłumaczyć to, co się stało? - To nie był skromny całus w policzek. To był prawdziwy pocałunek w usta. - Niczego nie rozumiesz - mruknęła pod nosem Cameron i wsunęła rękę pod głowę.

- W takim razie wytłumacz mi. - Taye położyła suknię na krześle i kucnęła przy łóżku przyjaciółki. Wzięła ją za rękę. - Pomóż mi zrozumieć.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? - Cameron pogładziła Mulatkę po policzku i spojrzała w jej jasnoniebieskie oczy. - Jesteś taka kochana. Nie całowałaś się z mężczyzną. Naprawdę nie wiem, jak ci to wyjaśnić. To coś jak... - szukała odpowiedniego słowa - jak... przestępstwo.

- Wszystko zależy od tego, kim jest mężczyzna. Cameron nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Ścisnęła przyjaciółkę za rękę.

- Co ty powiesz? Czyżby pan Burl wziął sprawy w swoje ręce? Dlatego jesteś taka tajemnicza, moja droga?

Taye próbowała śmiechem pokryć zmieszanie.

- Głupstwa pleciesz. Nigdy bym nie pocałowała pana Burla. To twój narzeczony.

- Nic podobnego. - Cameron zeskoczyła z łóżka. - Wiem, że poprosił ojca o moją rękę, ale zrobił to tylko z dobrego serca. Chciał mi



zapewnić bezpieczeństwo. - Serdecznym ruchem objęła Mulatkę. - Ty i Burl jesteście dla siebie stworzeni. Macie w sobie wrodzoną dobroć.

Nie to co ja. - Albo Jackson, pomyślała mimo woli.

- Przestań, Cameron. - Czerwona jak piwonia Taye odwróciła się w stronę okna. - Wiesz, że ja i pan Burl nigdy... - Długie czarne rzęsy zatrzepotały niczym skrzydła motyla. - Taki mężczyzna jak pan Burl nie zechce mnie za żonę - dokończyła nieśmiało.

- Niby dlaczego? - Cameron wzięła się pod boki. - Jesteś wykształcona, znasz cztery języki. Założę się, że francuskim władasz lepiej od niego. I dużo lepiej ode mnie - dodała ze śmiechem.

- Zmieńmy temat. - Taye ścisnęła w rękę blaszane pudełko z przyborami do szycia.

- Nie. Chcę wiedzieć, dlaczego nie możesz zostać żoną pana Burla?

Taye powoli uniosła wzrok. W pięknych jasnoniebieskich oczach malowała się złość i przygnębienie.

- Bo jestem czarna! - wykrzyknęła. - Nie mam ojca, a matka była niewolnicą. Przecież dobrze o tym wiesz.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Cameron dostrzegła łzy w oczach przyjaciółki. Nie spodziewała się, że jest w niej tyle gorzkości i smutku. W tym momencie o wiele lepiej zrozumiała postępowanie swojego ojca.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Naprawdę mi przykro. - Stała za Taye i położyła jej dłonie na ramionach. - Nie chciałam cię zdenerwować. - Umilkła, po czym dodała: - Masz rację, ale to

niesprawiedliwe. Nikt nie powinien cię oceniać ze względu na kolor skóry albo pochodzenie. Najważniejsze jest to, co masz w sercu.

- Proszę cię... - Taye otarła dłonią łzy. - Dobrze wiesz, że żyjemy w Elmwood jak pod szklanym kloszem. Taki świat nie istnieje i nie będzie istniał. Nigdy nie poślubię człowieka pokroju pana Burla. Daj już spokój, nic tego nie zmieni.

- Kiedyś będzie inaczej. Bóg jest sprawiedliwy.

- Jesteś okropnie uparta. - Taye zmusiła się do uśmiechu. -

Wielka szkoda, że nie wybrali cię na prezydenta.

Roześmiały się. Cameron doszła do wniosku, że lepiej zmienić temat.

- Myślisz, że powinnam zejść na kolację? Ten drań wciąż tam siedzi.

- Jeśli dziś nie zdobędziesz się na odwagę, jutro będzie ci jeszcze trudniej.

Taye usiadła na łóżku i rozłożyła przed sobą podartą sukienkę przyjaciółki.

- Masz rację.

Cameron podeszła do okna i odciągnęła zasłony, żeby spojrzeć na wieczorne niebo. Niewolnicy wracali z pola, śpiewając religijne pieśni. Przez otwarte okno słyszała ich głębokie kojące głosy. Tak rozpoczynali i kończyli każdy dzień pracy w Elmwood.

- Tak długo czekałam na spotkanie z ojcem i zamierzam dobrze wykorzystać każdą chwilę. Kapitan Logan mi w tym nie przeszkodzi - oznajmiła stanowczym tonem.

Igła migotała w zwinnych palcach Taye.

- To mi się podoba, dzielna z ciebie dziewczyna! - zawołała.

Cameron wzięła szczotkę i zaczęła rozczesywać splecione warkocze.

- Dasz radę ją naprawić? Taka piękna suknia...

Taye przegryzła nitkę.

- Proszę. Całkiem jak nowa. - Uniosła suknię, żeby ją jeszcze lepiej pokazać przyjaciółce. - Zacerowałam dziurę i naszyłam koronkę. Pan senator na pewno nic nie zauważy. - Wstała z łóżka. Energicznym ruchem strząsnęła suknię, żeby ją rozprostować. - Mimo wszystko nie powinnaś w niej chodzić do stajni. Mogłaś ją całkiem zniszczyć.

Cameron rzuciła szczotkę na łóżko i zaczęła się przebierać. Była zadowolona z wyniku rozmowy. Taye zawsze służyła jej dobrą radą. Rozumiała ją lepiej niż ktokolwiek inny.

- Pomożesz mi? Mogłabyś coś zrobić z moimi włosami? -

Cameron nagle zaczęła się spieszyć. - Chyba nie powinnam spóźnić się na kolację.

Pół godziny później panna Cameron Campbell z wysoko uniesioną głową wkroczyła do holu. Jej suknia lekko szeleściła, a pantofle lśniły. Miała gładko zaczesane włosy i biały czepek, przyozdobiony drobnymi jedwabnymi różyczkami. Taye szła tuż za nią.

- Mam pomysł - szepnęła Cameron. - Zajmijmy się panem Burlem. W ogóle nie zwracaj uwagi na Logana. Niech wie, że ze mną nie można zadzierać.

Wcześniej na szczycie schodów niespodziewanie spotkały matkę Taye. Czterdziestoletnia Sukey uśmiechnęła się na ich widok. Urodziła się i wychowała w Missisipi. Parę ładnych lat temu senator zwrócił jej wolność w nagrodę za wierną służbę w rodzinie Campbellów. Była dość drobnej postury, w okrągłej twarzy uwagę zwracały duże czarne oczy okolone długimi rzęsami. Jej skóra miała kolor kakao. Cameron uważała, że z wiekiem gospodyni pięknieje.

- Och, tutaj jesteście - powiedziała Sukey. - Senator i jego goście już poszli do jadalni. Szybciutko, panno Cameron.

Podawała dziewczynie rękę. Cameron mocno ścisnęła dłoń Murzynki. Jej własna matka zmarła już tak dawno, że Cameron niczego nie pamiętała. Wychowywała ją Sukey. Senator Campbell nigdy nie zatrudnił innej opiekunki. Cameron dorastała zatem razem z Taye. To jeszcze bardziej je zbliżyło.

- Pięknie wyglądasz - orzekła szczerze gospodyni. - Twój ojciec będzie z ciebie dumny, jak zwykle.

- Tak uważasz? - Cameron zmrużyła bursztynowe oczy. - Chcemy dać małą nauczkę kapitanowi Jacksonowi. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo do Taye. - Zapłaci za to, co dzisiaj zrobił. Będzie uciekał, gdzie pieprz rośnie.

Sukey zmarszczyła brwi.

- Czy coś się stało? Może twój ojciec powinien o tym wiedzieć?

- Nie, to nic ważnego. Trochę mnie zezłościł, i tyle. Poniesie za to karę. - Wzięła Taye za rękę. - Prawda, kotku? - Kątem oka dojrzała ostrzegawcze spojrzenie Sukey. - Nie pójdziesz ze mną na kolację? -

Ściszyła głos. - Zostawisz mnie na pastwę losu?

- Panienko Cameron - grzecznie odezwała się Sukey - nie wypada.

- Jak to? Przecież wczoraj też byłaś z nami na kolacji!

Sukey przymknęła oczy. Mimo wrodzonej dumy zawsze przestrzegała ustalonych zasad.

- Prywatnie pan senator może jadać, z kim zechce - wyjaśniła. - Teraz ma gości. Taye nie powinna nikomu się narzucać.

Mulatka odsunęła się od przyjaciółki i stanęła u boku matki.

Cameron poczuła się zdradzona.

- Papa nie uznaje tych idiotycznych reguł. Ona jest dla mnie jak siostra.

- Nic nie szkodzi - słodko powiedziała Taye.

- Szczerze mówiąc, nie bawią mnie męskie dyskusje. - Wzięła matkę pod rękę. - Pójdę z mamą. Siostra Naomi jest chora. Zaniesiemy jej zupe.

- Idźcie - z westchnieniem odparła Cameron. Zdawała sobie sprawę, że nic więcej nie wskóra.

- Weźcie ze sobą świece. Robi się ciemno.

Taye i Sukey ruszyły w stronę tylnych drzwi. Na odchodnym Mulatka cmoknęła przyjaciółkę w policzek.

- Powodzenia.

Cameron została sama. Wzięła głęboki oddech, wygładziła jedwabną suknię i z dumnie uniesioną głową weszła do jadalni.

Ojciec, Grant, pan Burl i Jackson jak na komendę odwrócili się w

jej stronę.

- Przepraszam za spóźnienie, panowie - powiedziała z wdziękiem. - Rozdarłam suknię. - Przeniosła wzrok na Jacksona. - Niezdara ze mnie, ale dzięki Taye wygląda jak nowa.

- To piękna suknia - przyznał senator i podszedł, żeby pocałować córkę w czoło - a ty jesteś jeszcze piękniejsza.

Cameron uśmiechnęła się do ojca. Był w znakomitej formie. Miał wyraziste rysy, wydatny nos i wysokie czoło. Z wyglądu nieco przypominał Lincolna. Ponoć prezydent był typem domatora, a senator należał do tych ludzi, którzy nie potrafią usiedzieć w miejscu.

- Zapraszam do stołu, panowie - odezwał się do gości.

Jackson wyzywająco spojrzął na Cameron, a ona wprost nie mogła uwierzyć, że tak na nią patrzył w obecności ojca. Pan Burl odsunął dla niej krzesło, więc odwdzieczyła mu się czarującym uśmiechem.

- Dziękuję, panie Burl, prawdziwy z pana dżentelmen - wyraźnie akcentowała każde słowo.

Kiedy wszyscy zasiedli do ogromnego stołu, mężczyźni podjęli przerwana rozmowę.

- Chyba nie wierzy pan w te bzdury, panie Burl? - zapytał Grant, zajmując miejsce po prawicy ojca, naprzeciwko siostry.

- Wierzę z całego serca, że nasi przodkowie, pisząc konstytucję, mieli na myśli wolność wszystkich ludzi, bez żadnego wyjątku - odparł nieśmiało Thomas, siadając obok Cameron

- Co pan na to, kapitanie Logan? - dopytywał się Grant z

szyderczym uśmiechem na twarzy.

Cameron usłyszała, że Thomas westchnął z ulgą. Było mu lżej na sercu, że Grant znalazł inną ofiarę.

- Dlaczego mnie o to pytasz? - Jackson zwrócił się do Granta, ale nie spuszczał wzroku z Cameron.

- Moja odpowiedź nikogo nie interesuje.

Cameron odsunęła się lekko od stołu, bo Naomi właśnie nalewała zupę.

- To nieprawda - zaprotestowała, zerkając na Jacksona. - Śmiało, kapitanie. W tym domu nikt nie stroni od otwartej dyskusji, prawda, braciszku?

Jackson zrobił dobrą minę do złej gry.

- Rozmawialiśmy o ewentualnej podróży Granta do Waszyngtonu, panno Cameron. Ja sam pochodzę z Maryland. Nie jestem stroną w tym konflikcie.

- Jeśli wybuchnie wojna, czeka cię trudny wybór - nie ustępowała Cameron.

Wiedziała od ojca, że Jackson próbował zachować neutralność. Uważała to za najgorsze wyjście z obecnej sytuacji. Naomi naląła zupy na talerz Jacksona. Spojrzał na nią spod oka, jakby dobrze się znali. Cameron popatrzyła na niego z niechęcią. Chociaż nikt głośno o tym nie mówił, wszyscy wiedzieli, że Naomi gościła u siebie różnych mężczyzn. Cameron uważała to za haniebne, ale - jak powiadała Sukey - był to zwyczaj o wiele starszy niż picie lemoniady w gorące popołudnie. Czyżby Jackson też kiedyś „gościł” u Naomi? Nawet

dzisiaj słyszała od jednej ze służących, że kapitan Logan zdrzemnął się w gościnnym. Ciekawe, czy był tam sam. Poczowała ukłucie zazdrości.

- Już o tym kiedyś wspomniałem - ciągnął Jackson - ale może powtórzę: nie jestem politykiem i nigdy nim nie będę. Żyję z handlu. Działam na własną rękę. - Obdarzył ją niemal chłopięcym uśmiechem i sięgnął po łyżkę.

- W razie wojny sprzedasz także towary na Południe? - zezłościła się Cameron. - Prześlizgniesz się przez blokadę i patrole Jankesów?

- Moja droga, jeśli ktoś poda mi dobrą cenę, to jestem gotów popłynąć nawet do Hadesu.

Cameron ze zgrozą spojrzała na ojca. Przecież to świętokradztwo! Senator nie zareagował i z widoczną przyjemnością zajadał się zupą. Przeniosła wzrok na Jacksona.

- To niesłychane, kapitanie! Nie masz skrupułów?

- Nawet taki drań jak ja ma swoje zasady, ale tę kwestię wolałbym teraz pominąć.

Na pozór był uprzejmy, lecz zachowaniem wzbudzał coraz większą wrogość pięknej gospodyni.

- Może moje poczucie moralności różni się od twojego?

Cameron zrobiła wielkie oczy. Czyżby Jackson w ten sposób chciał jej coś powiedzieć? Odsunąć od siebie? Podły drań! Ostrożnie zamieszała łyżką w talerzu. Wzięła sobie do serca jego słowa.

Po kolacji Cameron z lubością rozsiadła się w skórzanym fotelu w gabinecie ojca. Senator siedział naprzeciwko niej, za wielkim



biurkiem. Palił cygaro, a dym unosił się nad jego głową i ulatywał przez otwarte okno. Na zewnątrz szumiały drzewa. Większość kobiet stroniła od towarzystwa palaczy, ale Cameron lubiła intensywny zapach kubańskich cygar. Zawsze czekała na wieczorną rozmowę z ojcem. Czowała, że są sobie bardzo bliscy.

Tylko obecność Granta mogła zepsuć tak miły wieczór. Młodzieniec wszedł do gabinetu tuż za siostrą. Ciężko szurał chora nogą. Cameron spojrzała na brata. Ojciec delikatnie próbował go wyprosić, ale Grant udawał, że nic nie rozumie. Kilka lat temu spadł z konia i złamał nogę w kilku miejscach. Operację przeprowadzili lekarze w Baton Rouge. Z czasem rana się zagoiła i znowu mógł chodzić, lecz wyraźnie utykał. Cameron nigdy nie lubiła kłótniowego brata, ale teraz traktowali się niemal z nienawiścią.

W oczach siostry Grant był łajdakiem. Nieraz słyszała, jak niewolnicy ochoczo plotkowali na jego temat. Brat miał swoje sposoby na młode służące. Jeśli nie chciały żyć z nim po dobroci, brał je siłą. Co gorsza, od dawna miał oko na Taye. Urodziwa Mulatka była jeszcze dziewczyną, ale wystarczyła odrobina słońca, żeby w pełni rozkwitła. Cameron aż wzdrygnęła się na samą myśl o tym, że Grant mógłby położyć brudne łapska na jej przyjaciółce. Niestety, bez dowodów nie mogła go oskarżyć nawet przed własnym ojcem. Poprzestała na obserwacji.

- Nie pojmuję, dlaczego zaprosiłeś tu tego łotra!
- Grant podniósł głos, krząc po pokoju. - Nic go nie obchodzi!

Widzi tylko czubek własnego nosa. To zwykły pirat! Rano ma

wyjechać!

- Przecież wiesz, synu, że Campbellowie od wieków przyjaźnią się z Loganami.

- Tak, wiem, górale - cierpko oznajmił Grant.

- Razem przybyli tu ze Szkocji, razem cierpieli głód i nędzę, i tak dalej, i dalej. - Oparł się o fotel, na którym siedziała Cameron, jakby jej w ogóle nie było w pokoju. - Sęk w tym, że to nie Szkocja. Nie obchodzi mnie, kim byli jego dziadkowie. Niech się wynosi z Missisipi!

Cameron także by wolała, żeby Jackson jak najszybciej opuścił Elmwood, ale przemowa Granta sprawiła, że chciała stanąć w obronie kapitana. W głosie brata pobrzmiwała nienawiść.

- Nic z tego - oznajmił stanowczo senator. - Kapitan Logan zostanie w Elmwood tak długo, jak sobie tego będzie życzył. Jest moim gościem. W przyszłą sobotę wydaję bal na jego cześć.

Cameron nie mogła powstrzymać się od uśmiechu zadowolenia. Uwielbiała bale. Wszyscy w okolicy zgodnie uważali, że senator Campbell urządza najlepsze zabawy w całym Missisipi. Lubiła atmosferę panującą w trakcie przygotowań. Cieszył ją widok gości nadjeżdżających konno, powozem lub łodzią. Lubiła piękne stroje, olśniewające suknie i radosną muzykę płynącą z sali balowej.

Z rozrzewnieniem myślała o poprzednich przyjęciach wydawanych w majątku Elmwood. Domyśliła się, że ojciec chce pożegnać się z sąsiadami. Wiedziała, co zamierza zrobić po wybuchu wojny, i szczerze żałowała, że nie może mu pomóc.

- Grant - ciągnął senator Campbell - nie musisz lubić kapitana Logana. Już ci to mówiłem. Oczekuję tylko, że będziesz go traktował tak jak innych gości.

Grant parsknął z odrazą.

- Dobrze - mruknął, idąc do drzwi. - Tak naprawdę nie wiem, po co tu przyszedłem. I tak nikt mnie nie słucha.

Senator podniósł się z fotela.

- Synu...

Grant wyszedł, trzaskając drzwiami. Campbell opadł z powrotem na fotel i spojrzał na córkę. Na jego twarzy malowały się sprzeczne uczucia. Cameron patrzyła, jak ojciec zgasił cygaro w popielniczce. Ostatnio trochę się postarzał. Miał głębsze zmarszczki wokół ust i oczu. Było jej przykro, po części pewnie też dlatego, że Grant zupełnie tym się nie przejmował.

- Nie wiem, co go ugryzło - powiedział senator, bagatelizując zachowanie syna.

- Jak to co? - Cameron podniosła się z fotela i podeszła do okna. Musiała zaczerpnąć tchu. Na dworze było teraz znacznie chłodniej. Poczowała słodki zapach jaśminu. - Zawsze tak się zachowuje - dodała z niechęcią.

- Ma swoje powody. Boi się o Elmwood.

- Papo - Cameron odwróciła się od okna - może boi się wojny, ale o nas i Elmwood na pewno się nie martwi. Trzęsie portkami przed tym, że wredni Jankesi odetną mu dopływ whisky.

- Jesteś niesprawiedliwa. - Ojciec przemawiał do niej jak do

dziecka. - Życie go nie pieściło. Miał ciężki wypadek...

- Znowu go tłumaczysz! - Rozgniewana Cameron chwyciła się pod boki. - Daj spokój, nie warto!

- Energicznie machnęła ręką. - On się nie zmieni.

W oczach Davida Campbella malował się nieklamany smutek.

Cameron poczuła się winna.

- Papo - powiedziała cicho - nie . chciałam zrobić ci przykrości. - Stanęła za plecami ojca i przytuliła go z całej siły. - Niepotrzebnie to powiedziałam. To wcale nie było miłe.

- Owszem - przyznał senator. Był wyraźnie zmęczony. - Masz rację. Pamiętaj jednak, że to mój syn. Też go kocham. - Pokiwał głową i pogłaskał ją po ręce. - Inny nie będzie. Twoja matka mówiła, że z błota nie da się zrobić złota. - Rzadko wspominał o żonie. - Ostatnio dużo myślę o was wszystkich - wyznał.

Ciągle trzymając ojca za rękę, Cameron kucnęła u jego boku.

- Co się z wami stanie, jeśli wybuchnie wojna? Cameron popatrzyła mu prosto w oczy.

- Co masz na myśli? Co będzie z Elmwood? Senator wstał zza biurka.

- Dostyc na dzisiaj poważnych rozmów. Rozbolała mnie głowa. - Pocałował córkę w czoło.

- Pędź do łóżka. W przyszłym tygodniu czeka nas sporo pracy. Cameron bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej, ale postanowiła nie nalegać.

- Dobrze, papo - odparła, z trudem ukrywając niepokój. - Obiecuj,

że ty też zaraz się położysz. Wyglądasz na zmęczonego.

Pocałował ją w rękę.

- Dobranoc, kochanie. Słodkich snów.

Skinęła głową i wyszła z gabinetu. Owszem, sny będą słodkie, jeżeli przypadkiem nie nawiedzi mnie w nich Jackson Logan.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie włożę tej sukni - powiedziała zasapana Taye. Przytknęła obie dłonie do czerwonych policzków. - Nie pasuje do mnie.

Cameron stała na środku pokoju wśród sterty kolorowych jedwabi i koronek. Szukała czegoś odpowiedniego na sobotnią zabawę.

- Tylko ją przymierz - poprosiła, wskazując na leżącą na krześle suknię. - Chcę zobaczyć, jak w niej wyglądasz.

Taye zachichotała nerwowo.

- Nie ma mowy. Mama będzie zła, jak się dowie.

- Och, proszę cię - nalegała Cameron, wachlując się ręką. W pokoju było okropnie gorąco. - Nie udawaj, że nie chcesz jej przymierzyć - dodała. - Idealnie harmonizuje z twoją karnacją.

Taye uśmiechnęła się niepewnie.

Cameron doskonale wyczuwała rozterkę przyjaciółki. Wpadł jej do głowy pewien pomysł. Zmrużyła bursztynowe oczy i rozłożyła jedną z sukienek na podłodze.

- Myślisz, że w zielonej będzie mi ładnie?  
- Oczywiście. - Taye zaczęła odwieszać suknie do szafy. - Do twarzy ci w zielonym. Wyglądasz w niej olśniewająco, jak prawdziwa dama. Nikt nie rozpozna w tobie łobuziaka, skaczącego konno przez płoty.

Cameron oparła dłoń na biodrze.

- Dobijmy targu. Owszem, włożę tę sukienkę, jeżeli ty przymierzysz różową.

Taye zrobiła wielkie oczy.

- To szantaż!

Cameron w dwóch palcach uniosła różową suknię.

- Tylko raz - powiedziała zachęcającym tonem. - Proszę, zrób to dla mnie. Chyba nie odmówisz najlepszej przyjaciółce?

Taye z rezygnacją rozpięła haftki swojej zwykłej bawełnianej sukni.

- Nie wiem, dlaczego dałam się namówić - powiedziała z westchnieniem. - Powinnam być bardziej stanowcza.

- Robisz to dla mnie - zwycięsko odparła Cameron. - Poza tym w duchu przyznajesz mi rację.

Różowa suknia miała tyle halek, sznurówek i koronek, że początkowo Taye w nich się zaplątała. W końcu jednak znalazła wycięcie na głowę, a Cameron wygładziła tkaninę na jej wąskiej tali i kragłych biodrach.

- Och - zawołała, gdy przyjaciółka spojrzała w jej stronę - jesteś piękna! Naprawdę!

- Nie zawstydzaj mnie - szepnęła Taye.

Cameron mocniej ścisnęła gorset sukni, żeby uwydatnić jędrne piersi.

- Idealnie. - Klasnęła w dłonie. - Poczekaj, o czymś zapomniałam. - Rozejrzała się po pokoju. - Gdzieś tu były kokardy do rękawów. Już wiem, są w kufrze, w gościnnym pokoju. - Pogroziła przyjaciółce palcem. - Nie ruszaj się stąd i nawet nie próbuj zdjąć sukienki. Przez ten czas poszukaj białej krynoliny. Zaraz wracam.

Wybiegła na korytarz. Nie miała zbyt wiele czasu na długie poszukiwania. Lada chwila mogli przyjść pierwsi goście. Sukey już dwa razy z niepokojem pytała, dlaczego panienka wciąż jest niegotowa.

Cameron żałowała, że Taye nie będzie na balu. A jeśli to ostatni w Elmwood? Nie wiadomo, co się wydarzy, kiedy wybuchnie wojna, pomyślała ze smutkiem. Taye w pełni zasługiwała na to, żeby choć jeden raz wziąć udział w zabawie. Cameron nie dbała o konwenanse. To przecież był jej bal i ona była gospodynią. Mogła zaprosić każdego, kogo tylko chciała.

Poszła dalej, nie zwracając uwagi na przytłumione głosy, dochodzące ze wschodniego skrzydła domu. Pokoje dla gości ciągnęły się po drugiej stronie korytarza. Była pewna, że w żółtym znajdzie kokardy, starannie schowane w kufrze. Wyszła z za rogu i nagle stanęła w osłupieniu.

Zobaczyła Logana. Stał tyłem do drzwi i obejmował Naomi. Służąca uwiesiła mu się na szyi i pieściła jego ramiona. Uwodzicielsko szeptała mu coś do ucha. Cameron mogła się tylko domyślić, czego

dotyczyła namiętna rozmowa. Oboje byli tak pochłonięci nieprzyzwoitym tete-a-tete, że nawet jej nie zauważyli.

Cameron widziała, jak czarna ręka Naomi powoli sunie po udzie Jacksona. Chciała uciec, lecz nie była w stanie. Była wprost przerażona tym, co zobaczyła, ale nie potrafiła oderwać wzroku od tej pary. Poczula, że ogarnia ją fala gorąca. Jak to w ogóle możliwe? Pod jej własnym dachem...

Jackson schrypniętym głosem powiedział coś do Murzynki. Cameron nie rozumiała z tego ani słowa. Próbowwała zapanować nad rosnącym zdenerwowaniem. Choć niewiele wiedziała o sprawach damsko-męskich, domyślała się, do czego prowadzi ta „zabawa” między Jacksonem a służącą. Była zde gustowana takim zachowaniem. Co gorsza, Naomi wcale nie sprawiała wrażenia pokrzywdzonej. Miłosne igraszki z gośćmi senatora najwyraźniej sprawiały jej przyjemność. Ciekawe, czy Jackson ją tutaj zaprosił? A może przyszła z własnej woli? Cameron oddychała szybko. Nadal nie odwracała oczu od nieprzyzwoitej sceny.

Piękna Naomi odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się na całe gardło. Jackson pochylił się i przybliżył usta do ciemnej szyi. Cameron oblała się rumieńcem. Oblizwała zaschnięte usta i odwróciła się, po czym pobiegła do swojego pokoju. Zapomniała o wstążkach. Usiłowała przezwyciężyć dręczącą ją zazdrość. Zaraz, zaraz... Naprawdę jest zazdrosna o Naomi? Przecież Jackson budził jej nienawiść. Roztrzęsiona, pchnęła drzwi sypialni, bez słowa podeszła do łóżka i rzuciła się na poduszkę. Było jej słabo.



- Co ci jest? - zapytała Taye, wyraźnie zaniepokojona takim zachowaniem. - Co się stało?

Cameron na chwilę przymknęła oczy. Wstydziła się swoich uczuć i bała się powiedzieć prawdę.

- Przepraszam - wyjąkała - nie znalazłam wstążek.

- Nic nie szkodzi, kochanie. - Taye przyłożyła dłoń do jej policzka. - Och, jesteś rozpalona. Zrobię ci zimny okład. - Podeszła do miski z wodą. - Robisz za dużo naraz, uprzedzałam, że zmęczysz się przed przybyciem gości - upomniała ją, jak matka upomina krnąbrne dziecko.

Cameron zamknęła oczy. Próbowwała zapomnieć o tym, co widziała.

- Już mi lepiej. - Usiadła, zanim Taye wróciła z okładem. - Nic mi nie jest... Naprawdę. Nie musisz się o mnie martwić. To pewnie od upału - skłamała pospiesznie i podniosła się z łóżka. - Poszukam ci pantofelków.

- Panie kapitanie - powiedziała przymilnie Naomi - widzę, że cieszy się pan ze spotkania z Naomi...

Mówiła z wyraźnym wyspiarskim akcentem, który kojarzył się Jacksonowi z jego ostatnim rejssem po Karaibach. Pachniała mieszaniną ziół i dzikich kwiatów, przywodzących mu na myśl rośliny z Haiti.

Roześmiał się cicho.

- Skąd jesteś, moja droga? Z Haiti?

Naomi z niedowierzaniem zamrugnęła oczami. Na ogół niełatwo

było ją zaskoczyć. Miała najwyżej siedemnaście lub osiemnaście lat, ale patrzyła na świat oczami dużo starszej i bardziej doświadczonej kobiety.

- Skąd pan wie, panie kapitanie? - zapytała. - Moja matka urodziła się właśnie na Haiti.

Jackson pogładził ją po policzku. Naomi była bardzo ładna, a jej ciemna skóra miała zdrowy wygląd. Na pewno dobrze znała tajniki miłości. Jednak nie zdołał zapomnieć o Cameron. Wprawdzie przez cały tydzień omijał ją z daleka, lecz i tak nie potrafił uwolnić się od wspomnień. Nawet teraz, gdy kokietowała go śliczna Naomi, wciąż wracał pamięcią do wydarzeń w stajni. Nadal miał przed oczami roziskrzone spojrzenie Cameron. Była taka urocza, że chciałby ją bez przerwy całować.

Na chwilę wrócił myślami do uległej dziewczyny, którą trzymał w ramionach. Naomi uśmiechała się, a w jej oczach błyskały tajemnicze ogniki kobiecej mądrości. Wilgotne usta delikatnie muskały skórę jego szyi. Jackson popatrzył na Murzynkę i nagle zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy pragnie czegoś całkiem innego. Łagodnym, ale zdecydowanym ruchem złapał ją za biodra i uwolnił się z jej objęć.

- Bardzo ci dziękuję za spotkanie - powiedział uprzejmie. - Muszę iść do senatora. Za nic w świecie nie mogę przegapić dzisiejszego balu, choć przyznaję, że z chęcią poznałbym cię bliżej. - Pocałował ją w czoło, a do ciepłej dłoni włożył złotą monetę. - To dla ciebie. Nie dziel się tym z nikim.

- Dziękuję, panie kapitanie - odparła. Odszedł do swego pokoju, żeby poprawić fular i wziąć surdut.

- Może następnym razem, panie kapitanie? - zawołała za nim Naomi.

Jackson odwrócił się i mrugnął do niej. Kochał wszystkie kobiety bez względu na kolor skóry.

- Może...

Odpowiedziała mu szerokim uśmiechem i po chwili zniknęła w głębi korytarza.

- Ten czy ten? Jak myślisz, moja droga? - zapytał senator, trzymając przed sobą dwa zgrabnie skrojone surduty, zielony i brązowy.

Sukey usiadła na krawędzi łóżka. Zazwyczaj nie wchodziła do tej sypialni, ale tym razem senator potrzebował pomocy. Cały dom i tak był pochłonięty bale. Nikt nawet nie zapytał, gdzie ona się podziwia. Uśmiechnęła się uroczo.

- Wolę cię w brązowym, ale jestem przekonana, że panna Cameron założy zieloną suknię. - Wzięła od niego surdut i delikatnym ruchem wygładziła kosztowną tkaninę. - Będziecie wspaniałą parą.

Senator uśmiechnął się, zamyślony.

- Myślisz, że dobrze zrobiłem, zapraszając Logana?

- Co ci nagle przyszło do głowy?

- Lubię Jacksona. Jest świetnym biznesmenem, nawet lepszym od ojca, i znakomicie gra w pokera.

- David Campbell zachichotał. - Jednak ma też swoje wady: jest butny, arogancki i ciągle ugania się za spódniczkami. To kobieciarz. - Naburmuszył się lekko. - Śmiało można powiedzieć, że zgodnie z porzekadłem nasz pan kapitan Jackson w każdym porcie ma dziewczynę.

- Boisz się o Cameron?

- Powinnaś zobaczyć, jak on na nią patrzy.

- Senator położył dłoń na ramieniu Sukey. - Zdawało mi się, że dawniej Cameron była nim zachwycona, lecz nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Wtedy była jeszcze dzieckiem, ale teraz...

- Urwał. - On wręcz pożera ją wzrokiem. Nie chcę, żeby zrobił jej krzywdę.

- Cameron potrafi o siebie zadbać. W razie czego da mu nauczkę.

David westchnął głośno i z uwielbieniem spojrzał w ciemne oczy Sukey.

- Jak zawsze masz rację. - Rzucił surdut na łóżko. - Znasz się na modzie. Choćby dlatego jesteś mi potrzebna - dodał z humorem. - Nie lubię cię zostawiać, kiedy wyjeżdżam do Waszyngtonu. Nie umiem o sobie zadbać. Ostatnio Thomas wracał do hotelu po mój fular. Zupełnie o nim zapomniałem.

Sukey pomogła mu się ubrać.

- Ja też nie lubię, kiedy cię nie ma – odparła. Pocałował ją prosto w usta. Sukey przymknęła oczy, ciesząc się tą chwilą. Byli kochankami od tak dawna, że oboje znali się na wylot. Prawdę mówiąc, niejedna biała dama bezskutecznie marzyła o tak trwałym związku. Nie było

dnia, żeby Sukey nie dziękowała Bogu za to, że w swoim,życiu spotkała Davida.

- Już niedługo moje podróże przestaną być problemem.

Sukey zrobiła krok do tyłu i zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy? Poprawiła mu fular.

- Tylko to, że po opuszczeniu Elmwood zabiorę cię do

Waszyngtonu. Oczywiście, jeżeli chcesz, możesz jechać z dziewczętami do Nowego Jorku. Państwo Stuart przyjmą cię z otwartymi ramionami. Przyznaję, że w najbliższym czasie wolałbym mieć cię przy sobie. Nadchodzą trudne dni. Będziesz mi potrzebna.

Sukey pokręciła głową.

- Nie mów tak, bo jeszcze ściągniesz na nas jakieś nieszczęście. -

Nakreśliła dłonią w powietrzu tajemny znak, żeby odpędzić złe duchy. Był to zwyczaj przekazywany z pokolenia na pokolenie w afrykańskim plemieniu jej matki.

- Idzie wojna, najdroższa. Nikt z nas jej nie powstrzyma. Całkiem

poważnie myślę o tym, czy jednak nie przyjąć propozycji Sewarda.

Jeżeli wezwą mnie do Waszyngtonu, to na pewno pojedziesz ze mną. -

Zmarszczył brwi. - Chyba że tego nie chcesz...Sukey wzięła jego silną rękę w swoje delikatne dłonie i spojrzała mu prosto w oczy. Widziała w nich jedynie miłość. David Campbell był od niej zaledwie trzy lata starszy, ale, niestety, ostatnio mocno się postarzał. Źle sypiał z powodu niedawnych wydarzeń. Sukey i tak była z niego dumna. Podziwiała go za to, że uparcie walczył w imię swoich racji. Przycisnęła jego dłoń do swojego policzka.

- Pojadę tam, gdzie tylko zechcesz. Moje serce od dawna należy do ciebie. Zresztą wiesz o tym. Taye jest już prawie dorosła i może rozpocząć własne życie. Zostanę z tobą, najdroższy.

Campbell ujął ją pod brodę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Wszystko się zmieni. Ani tobie, ani Taye nie będzie łatwo.

Wojna zbierze straszliwe żniwo, ale pamiętaj, że w gruncie rzeczy gra idzie o waszą wolność.

- Dzięki tobie jesteśmy wolne - odpowiedziała, uśmiechając się ze smutkiem. - Już zapomniałeś?

- Dobrze wiesz, że nie o to chodzi. Chciałbym, żebyś mogła iść ze mną pod rękę po ulicy w każdym zakątku tego kraju, aby Taye mogła poślubić tego, kogo pragnie.

- To nie takie proste. - Sukey potrząsnęła głową.

- Czasami odnoszę wrażenie, że jesteś równie naiwny jak moja Taye. - Stała na palcach, zbliżając wargi do jego ust. - Ale za to cię kocham - wyszeptała.

- Co ja bym bez ciebie zrobił?

Sukey odsunęła się i poprawiła Davidowi surdut.

- Pewnie zapomniałbyś fularu. - Uśmiechnęła się. - Idź już.

Chyba ktoś przyjechał.

Objął ją w pasie i podniósł. Często to robił, kiedy byli młodzi.

- Puść mnie, bo złamiesz kręgosłup.

- Nie chcę tam iść - oznajmił z przekorą w głosie. - Wiesz co?

Chwilę pogadam z sąsiadami, może wypalę ze dwa cygara i wrócę tutaj, żeby zaciągnąć cię do łóżka - szepnął jej do ucha.

Sukey roześmiała się. Policzki płonęły jej ze wstydu.

- Puść mnie w tej chwili - zgaśniła go. David pocałował ją na pożegnanie.

- Idź już! - ponagliła go Sukey. - Jeszcze mam dużo do zrobienia. Będę czekała, aż wrócisz.

Przesłał jej całusa i wyszedł z pokoju. Sukey wyciągnęła chustkę z rękawa, żeby otrzeć łzy szczęścia.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie! Przecież tak nie można! - sprzeczała się Taye, kiedy Cameron ciągnęła ją przez korytarz. - To naprawdę nie dla mnie...

Panna Campbell miała na sobie piękną żółtozieloną suknię z mocno wciętą talią, głębokim dekoltem i bufiastymi rękawami. Włosy lekko podpięła do góry i ozdobiła maleńkimi zielonymi kokardkami.

- Proszę cię, Taye... Chodź ze mną na bal. Nie chcę być zupełnie sama. Przecież to nie do pomyślenia, że ja będę tańczyć, a ty w tym samym czasie siądziesz do cerowania.

Na powabnej twarzy Mulatki malowały się sprzeczne odczucia. Siedemnastoletnia Taye - tak jak każda dziewczyna w jej wieku - marzyła o balu. Chciała zobaczyć damy w pięknych sukniach i przystojnych mężczyzn, słyszeć muzykę, zatańczyć. W Elmwood, u senatora, zawsze panowała wspaniała atmosfera, grali najlepsi muzycy,

a służba serwowała wykwintne potrawy.

Jednak Taye bała się matki. Sukey nie pochwałała takich pomysłów. Wprawdzie, wraz z Taye, od dawna należała do rodziny Campbellów, ale wciąż przestrzegała ustalonych reguł.

- Proszę cię - błagalnie powtórzyła Cameron.

- Przecież wcale nie musisz wchodzić ze mną na salę. Posłuchasz muzyki z holu lub z biblioteki.

- Popatrzyła na przyjaciółkę. - W tej sukni jesteś naprawdę piękna. Nie chcesz się w niej pokazać?

- Zmrużyła swoje kocie oczy. - Pan Burl bez wątpienia też będzie na balu. Niewykluczone, że cię zobaczy.

Taye ścisnęła ją za rękę i spojrzała na duże kamienne schody lśniące w świetle lichtarzy.

- Proszę - nalegała Cameron.

Taye nabrała powietrza w płuca i rzuciła okiem na przyjaciółkę.

- Nie będę witać się z gośćmi.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Cameron.

- Przecież nikt od ciebie tego nie wymaga. Będę ich witać sama, może z papą i Grantem. Idź do biblioteki i napij się ponczu, a przede wszystkim coś zjedz. Stoły uginają się od smakołyków.

- Dopilnuję, żeby wszystko przebiegało zgodnie z życzeniem senatora - powiedziała Taye i posłusznie poszła za przyjaciółką.

- Zachowuj się jak pani domu - ośmielała ją Cameron - a nie jak służąca. Taye westchnęła ciężko. Nie była przekonana, czy przyjaciółka ma rację.



- Mama będzie zła. - Uśmiechnęła się smutno.

- Obu nam się dostanie.

Cameron mocniej chwyciła ją za rękę.

- Na pewno cię zrozumie, a jeśli będzie trzeba, zwał całą winę na mnie. Przecież wszyscy wiedzą, że jestem nieznośna.

- Nie zostanę zbyt długo - oświadczyła Taye.

- Chwilę postoję z boku i tylko popatrzę.

Cameron usłyszała, że muzycy stroją instrumenty. Służba biegała wkoło z tacami słodyczy. Gdzieś z dołu dobiegało wołanie senatora:

- Cameron? Gdzie jesteś, młoda damo? Goście przyjechali!

- Muszę iść - szepnęła. - Obiecuj mi, że przyjdiesz.

Taye uśmiechnęła się czarująco i zebrała w dłoń fałdy sukni.

- Przyjść, przyjść. - Zatrzymała się z niepokojem. - Jesteś pewna, że dobrze się prezentuję? Nie za dużo różu? - Dotknęła palcem policzka. - Za nic nie chcę wyglądać jak malowana lala. Mama by mnie skrzyczała.

- Wyglądasz przepięknie.

- Ty też. - Taye poprawiła przyjaciółce włosy nad uchem. -

Kapitan będzie zachwycony.

- Kapitan? Wcale nie dbam o to, co on o mnie myśli. - Cameron zebrała suknię i zbiegła ze schodów, wołając przez ramię: - Nie zamierzam nim się przejmować!

Senator popijał szkocką whisky, którą dostał w prezencie od Jacksona. Nie szczędząc córce komplementów, wziął ją pod ramię i poprowadził w kierunku drzwi. Przez następną godzinę Cameron stała

tuż obok ojca i szerokim uśmiechem uprzejmie witała przyjaciół i sąsiadów. Ukradkiem raz po raz szukała wzrokiem brata. Grant także powinien przywitać się z gośćmi. W końcu to on był głównym spadkobiercą. Kiedyś miał przejąć Elmwood. Niestety, dziś wieczorem nie przyszedł. Jak zwykle wszystkich zawiódł. Cameron czasami wprost nie mogła uwierzyć, że mieli tych samych rodziców.

Zaskoczyła ją liczba gości. Wyglądało na to, że ojciec zaprosił do Elmwood całe Missisipi. Z trudem rozpoznała kilkoro znajomych w tłumie obcych twarzy. Przeróżne nazwiska wirowały jej w głowie. W końcu za zgodą ojca poszła do biblioteki, żeby napić się zimnego ponczu.

Kiedy mijiała salę balową, zauważyła kapitana Logana. Miał na sobie wąskie białe bryczesy, nienaganną koszulę, fular i ciemnozielony surdut - chyba najpiękniejszy, jaki Cameron kiedykolwiek widziała. Doskonale podkreślał umięśnioną sylwetkę, domyśliła się więc, że był szyty na miarę, i to nie u przeciętnego krawca. Jackson stał w cieniu arkady, tuż obok wejścia na salę balową. Wokół niego zebrały się młode damy w pastelowych sukniach. Głośno szczebiotały. Kobiety były wszędzie: blondynki, brunetki, młode i nawet takie, których uroda powoli zaczynała więdnąć.

Jackson rozprawiał o silnych wiatrach wokół jakiegoś przylądka. Pyszałek! - pomyślała Cameron. Pewnie opowiadał wyssaną z palca historyjkę o swoich bohaterskich czynach. Próbowwała prześlizgnąć się niezauważona, ale zobaczył ją w ostatniej chwili, kiedy sądziła, że jest już bezpieczna. Uniósł brwi i lekko skinął głową, jakby zapraszał ją do

swojego grona.

Odpowiedziała mu uśmiechem, lecz poszła dalej. Mogła przysiąc, że za plecami usłyszała wybuch drwiącego śmiechu. Jackson się z niej podśmiewał? Co za tupet! Była tak roztargniona, że nie zauważyła brata i wpadła na niego.

- Och, Grant! Przepraszam. - Wyciągnęła rękę w jego stronę i odsunęła się krok do tyłu.

Grant nie miał wycucia stylu i smaku. Tego wieczoru nosił za duży jasnoszary surdut. Wiecznie tłuste włosy zaczesał w taki sposób, że wyglądał nieomal złowieszczo. Ze swoimi nieustającymi pretensjami do całego świata roztaczał wokół siebie groźną aurę.

Spojrzał nad jej ramieniem w stronę sali balowej.

- Widzę, że pirat już poznał sąsiadów.

- Wątpię, żeby Jackson był piratem - ostro odpowiedziała Cameron. - To prawda: jest nieznośny, ale raczej nie szuka łatwego zarobku. Dobrze zna się na handlu i umie inwestować.

Grant spojrzał na nią gniewnie.

Czuć było od niego whisky. Wprawdzie David Campbell także pozwolił sobie na drinka przed balem, ale Grant najwyraźniej nie poprzestał na jednym.

- Myślę, że pora przerwać mu dobrą zabawę - mruknął Grant. - Powiem muzykom, żeby zagrali.

Cameron poszła dalej. Ugasiła pragnienie szklaneczką owocowego ponczu i przypadkiem spotkała dawną znajomą z sąsiedniej plantacji, Marie Dubois. Okazało się, że niedawno urodziła

dziecko. Po krótkiej rozmowie Cameron ruszyła na poszukiwanie Taye.

Przez chwilę wodziła wzrokiem po wielkiej bibliotece. Ogromne regały ugięły się pod ciężarem książek. Cameron mimo woli stanęła przed portretem zrobionym na zamówienie, kiedy miała trzynaście lat. Namalował go pewien wędrowny artysta, który zgodził się wziąć pieniądze tylko wtedy, jeśli obraz spodoba się senatorowi. Malarz był niezwykle utalentowany i wiernie odtworzył na płótnie psotny uśmiech Cameron. Jeszcze lepiej uchwycił charakter Granta. Najbardziej na portrecie rodziny Campbellów fascynowała, ukryta w tle niewielka postać, którą można było zobaczyć wyłącznie z bliska. To Taye.

Gdy obraz zawisł nad kominkiem w bibliotece, Cameron pierwszy raz w życiu usłyszała ostrą wymianę zdań między ojcem a Sukey. Z jakiegoś powodu Murzynka nie chciała, żeby ów portret wisiał na tak eksponowanym miejscu, lecz David Campbell pozostał nieugięty. W końcu Sukey z niechęcią przyznała, że w Elmwood może wieszać obrazy tam, gdzie mu się podoba.

- Tutaj jesteś - powiedział senator, wrywając Cameron z zadumy. - Zapraszam do walca. - Ukłonił się przepisowo i podał jej ramię. - Chciałbym zatańczyć z najpiękniejszą kobietą w całym Missisipi. Uczynisz mi ten zaszczyt, najdroższa? Cameron dygnęła niemal do samej ziemi.

- Z wielką przyjemnością, papo.

W rytm muzyki przeszli do sali balowej na parkiet. Po pierwszych kilku taktach, przeznaczonych wyłącznie dla gospodarzy, dołączyła do nich część gości. Po kilku minutach Cameron zupełnie

zatraciła się w cudownych dźwiękach wiolonczeli. Łzy napłynęły jej do oczu. Przez otwarte drzwi tarasowe na salę wpadało chłodne wiosenne powietrze. Poczowała zapach jaśminu. Kiedy ucichły takty walca, Cameron zamknęła oczy, żeby na zawsze zachować tę chwilę w pamięci.

- Pozwolisz, że porwę twojego ojca do tańca? - spytała pani Fitzhugh, wdowa, która od kilku lat miała oko na Davida Campbella.

Na głowie nosiła olbrzymi kapelusz z pawimi piórami. Cameron przygryzła wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Należy do pani - powiedziała z westchnieniem, mrugając do ojca.

Zeszła z parkietu i niemal w tej samej chwili dostrzegła samotną Taye. Mulatka czekała w holu. Cameron westchnęła z nieukrywaną ulgą. Teraz musiała już tylko namówić przyjaciółkę, żeby weszła na salę.

- Zaraz, zaraz...

Czyjaś dłoń spoczęła na jej ramieniu.

- Myślę, że drugi taniec należy do mnie. A może w Missisipi są inne zwyczaje? - z wolna wycedził Jackson.

- Nie chcę z tobą tańczyć! - obruszyła się Cameron. W bursztynowych oczach malowała się nieskrywana niechęć.

Stojąca w pobliżu grupka gości z nagłym zainteresowaniem spojrziała w ich stronę.

- Puść mnie - zażądała Cameron, ścisząc głos. W odpowiedzi Jackson mocniej zacisnął palce na jej ramieniu. Poczowała nagły dreszcz,

przebiegający jej wzdłuż kręgosłupa.

- Chyba nie zamierzasz sprzeciwić się tradycji? Chcesz być obiektem plotek? Rozpieszczona panna, Cameron Campbell, nie docenia niczego, co robi jej ojciec. Wszyscy cię potępiają.

- Będą mniej zdumieni, jak dostaniesz w gębę - syknęła.

Ku jej zaskoczeniu Jackson wybuchnął śmiechem.

- Tyle w tobie jadu co namiętności, prawda, panno Cameron?

Taką cię właśnie lubię.

Próbowała uwolnić się z jego uścisku, jednocześnie nie budząc powszechnej uwagi. Przecież nie tak dawno widziała go z Naomi.

- Puszczaj - warknęła.

- Zatańcz ze mną raz, a dam ci spokój. - Pochylił się, żeby tylko ona słyszała, co mówi: - Boisz się mnie? Aż tak na ciebie działałam?

Cameron głęboko nabrała powietrza w płuca.

- Tylko jeden taniec, a potem zejdz mi z drogi. Jackson uśmiechnął się uroczo i cofnął rękę.

- Chodź, moja droga. Słyszysz? Grają naszą melodię.

Przeszli na parkiet. Cameron miała nogi jak z waty. Czowała na sobie spojrzenia gości. Wiedziała, o czym rozmawiali. Na pewno o tym, jaki przystojny jest kapitan Logan i jak pięknie córka senatora wygląda w jego ramionach: Rozdawała uśmiechy, ale jej umysł pracował w przyspieszonym tempie. Niepotrzebnie przyjęła propozycję Jacksona. Do diabła z etykietą! - pomyślała. Szkoda, że nie umiałam wycofać się w porę.

Stanęli na środku sali. Cameron pozwoliła Jacksonowi wziąć się

za rękę. Poczula, jak ciasno przytrzymał ją w pasie, i sama położyła dłoń na jego ramieniu. Podczas tańca patrzyła wyłącznie przed siebie. Poruszała się sztywno, żeby nie dotykać go bardziej niż to konieczne.

Jednak nawet z tej odległości muskała rąbkiem sukni jego błyszczące buty, czuła zapach męskiego ciała. Ten sam zapach, który latami prześladował ją we śnie. Jackson wygiął usta w lekkim uśmiechu. Szydził z niej, łajdak! Grant miał rację. Bez wątplenia mógł być piratem.

- Wspaniały bal - szepnął jej do ucha. Ciepły oddech przyprawiał ją o zawrót głowy.

- Tańczmy dalej - odpowiedziała, bojąc się na niego spojrzeć. - Nic do mnie nie mów. - Kątem oka spostrzegła, że trochę stracił humor.

- Nie pamiętasz, co powiedziałem w stajni? Co mam zrobić, aby cię przekonać, że jest mi naprawdę przykro? Do diaska, przecież pokłóciliśmy się sześć lat temu!

Cameron popatrzyła na migoczącą ćmę, która właśnie wleciała przez otwarte okno. Ćma trzepotała skrzydłami w pobliżu oliwnej lampy, rzucając z sufitu cień na tancerzy.

- Nie chciałem cię skrzywdzić. - Jackson mówił dalej. - Musisz mi uwierzyć. - Zamilkł na chwilę. - Nie mogłem o tobie zapomnieć - dodał.

Cameron pomyślała o nim i Naomi. Nie mógł o niej zapomnieć? Ale usilnie się starał.

- Proszę cię, Cameron. Odezwij się do mnie. Powiedz mi, co myślisz. Zawsze mi się zdawało, że dobrze znam kobiety, ale nie mam

pojęcia, co siedzi w tej pięknej główce.

Nie odpowiedziała. Jackson uniósł rękę, chwycił ją za podbródek i odwrócił jej głowę tak, żeby na niego spojrzała.

Cameron zamrugała gwałtownie powiekami, żeby odpędzić łzy, cisnące się jej do oczu. Dlaczego mi to robisz? - zapytała w myślach.

- Przestań - szepnęła. - Ktoś to może zobaczyć. W gruncie rzeczy jej słowa znaczyły co innego: nie waż się więcej do mnie zbliżyć.

Jackson posłusznie opuścił rękę. Jeszcze jedna zagadka, a kiedyś mi się zdawało, że znam go aż za dobrze, pomyślała Cameron.

- Przyjechałem do Elmwood, żeby cię przeprosić - oznajmił Jackson. - Kilka lat nosiłem się z tym zamiarem.

W ciągu ostatnich sześciu lat miał wiele okazji, żeby przyjechać do Elmwood z przeprosinami. Cameron raz była w Waszyngtonie, niedaleko jego rodzinnego domu w Baltimore.

- Przestań, Jackson - odezwała się z drwiną w głosie. - Miałeś wiadomość dla mojego ojca. Nie przyjechałeś z własnej woli.

Skinął głową.

- To prawda, że chciałam coś przekazać senatorowi, ale zawsze mogłem odmówić moim mocodawcom. Idzie wojna, a ja... - Urwał.

Cameron była zafascynowana brzmieniem jego głosu. Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

- Chciałem cię przeprosić - ciągnął Jackson. - Może wkrótce zginę. Robiłem różne rzeczy, z których nie jestem dumny, ale najbardziej żałuję tego, co stało się między nami. To było niewybaczalne.



- Porządkujesz swoje sprawy? Tracisz czas, mój drogi. Nie wierzę, że zginiesz. Chyba że złapią cię na próbie przemytu przez blokadę Jankesów i zawiśniesz na stryczku.

W tym momencie muzyka przestała grać. Cameron opuściła ramiona i odeszła bez słowa. W duchu modliła się, żeby Jackson przypadkiem nie poszedł za nią.

Chociaż w skrytości serca tego właśnie chciała...

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Taye kręciła się w holu, w zamyśleniu spoglądając na salę. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek na balu w Elmwood grano równie pięknie. Zazwyczaj słuchała muzyki przez ścianę, siedząc w swojej sypialni. Walc brzmiał tak wspaniale, że nogi Taye same rwały się do tańca. Czuła, że zna kroki lepiej niż niejedna dama na parkiecie. Godzinami ćwiczyła niektóre układy pod czujnym okiem Cameron. Znała też kilka tańców ludowych.

Taye spróbowała ponczu i zjadła kanapkę. Słuchała niezwykłych melodii i przyglądała się eleganckim tancerzom. Będę miała piękne wspomnienia na resztę życia, pomyślała. Powinna wracać do siebie, zanim matka przyłapie ją na gorącym uczynku.

- A ty co, napuszona panno?

Taye aż podskoczyła. Odwróciła się i w głębi korytarza

zobaczyła Naomi. Piękna służąca miała na sobie zwykłą bawełnianą sukienkę i biało-niebieski turban. W ręku trzymała srebrną tacę.

- Lepiej ściągnij ten kostium. Stroisz się w cudze piórka? - Lekko wzruszyła ramionami. - Jesteś, kim jesteś, mała. Nic tego nie zmieni.

Do oczu Taye napłynęły łzy. Była zła, że pozwoliła się zdenerwować.

- Daj mi spokój - wyszeptała. Serce waliło jej jak młotem. - Nie twoja sprawa. A właściwie, co tu robisz? Nie powinnaś przypadkiem skorzystać z korytarza wyłącznie dla służby?

- Chcesz tu zostać? To proszę! - odcięła się Naomi. - Pamiętaj, skąd przyszedłaś, mała niewolnico.

- Cicho! Idź stąd, zanim ktoś cię zobaczy i będziesz miała kłopoty.

Zaskoczona jej zachowaniem Naomi zrobiła krok do tyłu. Najwyraźniej Mulatka przejęła więcej nawyków od panny Cameron, niż mogłoby się zdawać.

- Czas nie będzie dla ciebie łaskawy. Wspomnisz moje słowa.

Taye odwróciła się i przez łzy spojrzała na salę. Zdawało jej się, że wszystkie lampy nie błyszczą już tak niedawno. Muzyka także straciła rytm, chociaż orkiestra grała walca. Goście ze śmiechem wirowali po parkiecie, ale nawet najpiękniejsze suknie w oczach Taye stały się jakieś szare. Odwróciła się szybko, żeby uciec.

- Chwileczkę, moja mała. Poczula, że ktoś chwycił ją za rękę. Przez cały wieczór nikt się do niej nie odezwał.

- Czy mógłbym prosić o kolejny taniec? - spytał kapitan Logan.

Uśmiechał się ciepło.

Taye zatrzepotała rzęsami. Była mile zaskoczona.

- Nie mogę - szepnęła.

Dotyk jego dłoni był ciepły i kojący.

- Tylko jeden taniec. Przecież nie proszę cię o rękę.

Taye nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- To najbardziej niedorzeczny pomysł, o jakim słyszałam!

- Możliwe, ale moja prośba jest jak najbardziej szczerą. Twój

widok dosłownie zapiera dech w piersi, moja droga. Zgódź się na jeden taniec. Będę miał przyjemność asystować najpiękniejszej damie na tej sali.

Taye nieśmiało spojrzała mu w oczy.

- A Cameron? Nie powiedział pan kiedyś, że to ona jest najpiękniejsza?

Jackson odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Jesteś bystra.

- To nie jest odpowiedź.

- Tylko jeden taniec - namawiał - a potem będziesz wolna.

Taye przez dłuższą chwilę spoglądała na salę. Tak bardzo chciała zatańczyć. Pierwszy i zarazem ostatni walc w Elmwood!

- Wie pan, że nie powinnam.

- To zależy tylko od ciebie.

- Moja mama będzie oburzona. Mocniej ścisnął jej dłoń.

- Jestem honorowym gościem senatora. Twoja mama wie, że mnie się nie odmawia.

Taye uśmiechnęła się. Jackson był przystojny i pełen elegancji. Przy nim każda dziewczyna czuła się wyjątkowa.

- Dobrze - poddała się. - Skoro pan tak twierdzi...

Zanim zdążyła dokończyć, Jackson wprowadził ją na salę balową. Taye wzięła głęboki oddech i znalazła się w silnych ramionach kapitana Logana. Po raz pierwszy tańczyła walca.

Grant stał w pobliżu otwartego okna i popijał whisky ze srebrnej piersiówki, którą chował w wewnętrznej kieszeni surduta. Kątem oka zobaczył na parkiecie Logana i jakąś młodą kobietę w pięknej różowej sukni.

- A to sukinsyn! - Grant aż zeszczywniał ze złości. Jego Taye! Taka słodka i niewinna. Tańczyła, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Targnął nim nagły gniew. Jak mogła? Co ten pirat sobie wyobraża?!

Grant niemal od dziecka znał śliczną Mulatkę. Pokochał ją, kiedy dorósł. W jego oczach była zadziwiająca i urocza. Całkiem różna od groźnej i krzykliwej Cameron. Pragnął Taye. Chciał porwać ją w ramiona i poczuć jej nagie ciało tuż przy swoim ciele. Naburmuszył się i pociągnął kolejny łyk whisky. Zobaczył, że Taye uśmiecha się do Logana, i szpetnie zaklął pod nosem.

Chciwa jędza Cameron miała wszystko. Miłość ojca i Taye, sympatię niewolników. On zawsze żył w jej cieniu. Służba udawała, że go nie dostrzega. Wszyscy wykonywali jego polecenia jedynie dlatego, że nie mieli innego wyjścia. Słuchali go ze strachu. Zresztą Grant często używał przemocy. Natomiast Cameron... Wciąż tylko: „Tak,

panno Cameron", „Oczywiście, panno Cameron". Murzyni byli gotowi spełnić każdą jej prośbę. Szczerzyli do niej białe zęby od ucha do ucha. Grant myślał o tym z obrzydzeniem. Na dobrą sprawę nawet Naomi nim pogardzała. Bywały chwile, kiedy wyraźnie widział niechęć w jej czarnych oczach.

Dlaczego tak się działo? Oczywiście to była sprawka Cameron i Taye. Za ich namową ojciec przy wszystkich nazwał go tchórzem. Grant miał wtedy czternaście lat. Nic gorszego nie mogło go spotkać. Cokolwiek zrobił, w pamięci ludzi wciąż pozostawał nieudacznikiem. Nie umiał w pełni udowodnić, że jest prawdziwym mężczyzną. Jeszcze raz sięgnął po piersiówkę i pociągnął ostatni haust whisky. Ten przeklęty Logan nie może tańczyć z Taye! Przecież, na litość boską, to prawie Murzynka! Rozejrzał się. Goście zaczęli ukradkiem plotkować. Ktoś musiał jak najprędzej zakończyć tę farsę.

Taye oddychała z trudem. Kapitan Logan to świetny tancerz, pomyślała. Poruszał się z lekkością i miał niebywałe wycucie rytmu. Czowała się jak we śnie. Niczym kolorowa smuga wirowała dookoła parkietu. Nagle zorientowała się, że zebrani na sali goście na nich patrzą. Zerknęła Loganowi przez ramię i zobaczyła wyraz dezaprobaty na twarzach. Kobiety chowały się za wachlarzami i podśmiewały się z niej cicho.

- Panie kapitanie - szepnęła Taye. Serce waliło jej jak oszałałe. -  
Dajmy już spokój. Wszyscy się na nas gapią.

- Tylko ci się zdaje.

Taye wykrzywiła usta w podkówkę jak do płaczu.

- Głowa do góry, nie rób tego. Nie dawaj im powodu do zadowolenia.

- Naprawdę nic pan nie rozumie. To nie jest miejsce dla mnie.

- Możesz brać udział w balu jak wszystkie kobiety - odpowiedział z naciskiem. - Nikt nie ma prawa mówić, że jest inaczej.

Uniosła głowę i spojrzała w jego szare oczy.

- Jest pan bardzo uprzejmy - wyszeptała.

- Nieprawda. Jestem samolubnym draniem. - Uważnie jej się przyglądał. - Jednak wierzę w pewne ogólne ideały. Cameron i senator są tego samego zdania. Spróbuj i ty.

Taye zrobiło się lżej na sercu. Podświadomie czuła, że Logan ma rację. Na dobrą sprawę w czym była gorsza od białych? Nagle kątem oka dostrzegła podchodzącego Granta.

- Och, nie! - jęknęła.

Logan też zauważył chłopaka i mocniej ścisnął Taye, żeby mu nie uciekła. Grant krążył za nimi dookoła parkietu. Muzyka wciąż grała.

- Proszę wybaczyć, panie kapitanie, ale tańczy pan z jedną z moich służących - odezwał się Grant.

- Odsuń się, chłopcze - rozkazał mu kapitan.

- Lepiej ze mną nie zadzieraj.

- To ma być groźba?

- Raczej obietnica.

Grant nie odpowiedział, odwrócił się i zszedł z parkietu tak

szybko, jak mu na to pozwoliła chroma noga.

- Och, kapitanie Logan. - Taye zaczerpnęła tchu. - Grant będzie wściekły.

- Trudno - padła spokojna odpowiedź. - Nie interesują mnie jego humory. Ten tchórz hańbi dobre imię Campbellów.

- To nie tak - odparła Taye. - Jest chory, ale to syn senatora. W niewłaściwy sposób wykorzystuje swoją pozycję. - Przerazona opuściła wzrok.

- Wciąż krzywdzi słabszych - wyszeptała, zbyt zawstydzona, żeby mówić dalej.

Muzyka przestała grać. Taye chciała zejść z parkietu.

- Zaczekaj. - Kapitan przytrzymał ją za rękę.

- Posłuchaj, jeśli ten drań spróbuje cię skrzywdzić, możesz liczyć na moją pomoc. Wystarczy jedno twoje słowo, a zaraz zrobię z nim porządek. Przyrzekam.

Taye odpowiedziała mu lekko wymuszonym uśmiechem.

- Dziękuję, panie kapitanie. Za wszystko...

Wyszła z sali balowej z wysoko uniesioną głową i z wdziękiem godnym samej Cameron Campbell. Cameron stała na werandzie. Musiała zaczerpnąć świeżego powietrza. Od razu poczuła się lepiej. Nie spodziewała się, że krótki taniec z Jacksonem wzbudzi w niej takie emocje.

- Och, tutaj jesteś - odezwała się Letty Havingston, nadchodząc od strony salonu. Policzki miała zarumienione, a na jej skroniach lśniły krople potu. W żółtej sukni, ozdobionej nadmierną liczbą fałd i

koronek, wyglądała jak tort cytrynowy. Zdyszana, wachlowała się przez kilka sekund. - Domyśliłam się, że gdzieś wyszłaś, bo inaczej powstrzymałabyś to przedstawienie.

Cameron drgnęła lekko. Nigdy zbytnio nie przepadała za trzy lata młodszą sąsiadką. Letty Havingston dorastała na plantacji w pobliżu Elmwood i wyszła za mąż za młodzieńca z dobrego domu. Na weselu nie omieszkała przypomnieć Cameron, że nie wolno zbyt długo trwać w panińskim stanie.

- O czym mówisz? - Cameron była w tak podłym nastroju, że nawet nie zamierzała silić się na uprzejmość.

- Nic nie słyszałaś? - Letty przesunęła dłonią po policzku.

- Mów, nie mam ochoty na zgadywanki. Oczy Letty zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Kapitan Logan przynosi wstyd twojej rodzinie. - Zatrzepotała rękami. - To całkiem przystojny mężczyzna, ale w wielu domach nie byłby mile widziany.

- Letty! - Cameron szarpnęła ją za rękaw.

- Och!

- Do rzeczy!

- Tańczył z twoją Mulatką. Tą ładną. Jak jej na imię? Chyba Taye, prawda?

Cameron zrobiła zdumioną minę.

- Tańczył z nią? Gdzie?

- Jak to gdzie? W sali balowej, przy wszystkich.

- Letty stuknęła obcasem w podłogę. - Chwilę wcześniej



widziałam ją samą w bibliotece. Wracając do pana Logana - dodała konspiracyjnym szeptem.

- Nie wiem, co go napadło. Twój brat próbował go powstrzymać, ale... - Znow schowała się za wachlarzem. - Byliśmy zdumieni.

Cameron starała się zrobić dobrą minę do złej gry. Co za odwaga, pomyślała. Nie mogła się nadziwić. Odwróciła się i odeszła bez jednego słowa. Chciała czym prędzej odnaleźć Taye i usłyszeć, co tam dokładnie się zdarzyło. Jak Jackson zdołał namówić ją do tańca? Oczywiście Grant nie omieszkał wytknąć mu tego *faux pas*. Musiał być wściekły.

- Dobrze, że jesteś. - Senator wyszedł z pokoju na korytarz.

- Papo, czy to coś pilnego? - Położyła dłoń na ramieniu ojca.

Wyglądał na zmęczonego. Był czymś wyraźnie zmartwiony. - Coś się stało?

- Nie... Tak. - Wziął ją za rękę i zaprowadził do pokoju.

- Możesz z tym trochę poczekać? Muszę znaleźć Taye. Wiem, że tańczyła z Jacksonem i...

David Campbell stanął za biurkiem i wziął do ręki szklaneczkę z whisky. W pokoju paliło się zaledwie kilka świec. Panował półmrok.

- Tak, widziałem, jak tańczy - powiedział cicho.

- Wyglądała pięknie. Oczywiście zorientowała się, że wszyscy o niej mówią, ale zeszła z parkietu z wysoko uniesioną głową. - Spojrzał na Cameron.

- Zachowała się, jak przystało na rodzinę Campbellów.

- Papo, co się dzieje? Dlaczego tak mówisz?

- Cameron zamknęła za sobą drzwi, żeby nikt nie zobaczył ojca w takim stanie. - Dlaczego nie zapalisz więcej światła? Boję się...

Odwrócił się i spojrział przez otwarte okno. Lekki powiew znad rzeki Pearl niósł ze sobą intensywną woń mułu i charakterystyczny zapach nocy.

- Papo... - Cameron westchnęła. Była przerażona. - Odezwij się.

- Niedawno przybył posłaniec. Przyniósł złe wieści. - Senator odwrócił się pomału w stronę córki. Poruszał się niezdarnie, jak ślepiec w ciemnościach. Twarz mu pobladła, a policzki zapadły się głęboko. - Wybuchła wojna, córko. Wczesnym rankiem konfederaci pod dowództwem generała Pierre'a Beauregarda ostrzelali Fort Sumter w Charlestonie w Karolinie Południowej.

Cameron podbiegła do ojca i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, papo - szepnęła - to straszne. David Campbell stał sztywno.

- Już pora, moja droga. Czeka mnie trudny wybór...Cameron odsunęła się krok.

- Opowiesz się po stronie Unii? - zapytała, czując, że drętwieje ze strachu.

Łatwo rozmawiało się o tych sprawach przy stole, ale zderzenie z rzeczywistością było przerażającym przeżyciem. Cameron nagle zdała sobie sprawę, ile ta wojna znaczy dla jej ojca. Nie mógł stanąć po stronie Północy i jednocześnie nadal reprezentować stanu Missisipi.

- Nie możemy zostać w Elmwood - powiedziała łamiącym się głosem.

Senator powoli pokiwał głową i podniósł szklaneczkę do ust.

- Nie. Nasi sąsiedzi i moi wyborcy uznają mnie za zdrajcę. Nikt nie będzie tutaj bezpieczny.

- Uśmiechnął się smutno. - Wiesz, jacy gwałtowni bywają ludzie Południa. Och, córko, modliłem się, żeby ten dzień nigdy nie nadszedł.

Cameron miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. Jak mogła opuścić Elmwood? Spojrzała na ojca, próbując powstrzymać się od płaczu. Będzie jeszcze czas na łzy, pomyślała.

- Co zrobimy z niewolnikami?

- Oczywiście zwrócimy im wolność. Mam pewien plan. Pan Burl dopracuje ostatnie szczegóły.

- Znów odwrócił się w stronę okna i nieruchomo patrzył w jeden punkt. - Trzeba się z tym pogodzić.

- Dokąd pójdziemy, skoro nie możemy tu zostać?

- Właśnie po to cię zwołałem, najdroższa. Ty i Taye musicie spakować swoje rzeczy. Wyjeżdżam do Waszyngtonu, a was zamierzam wysłać do Nowego Jorku. Zamieszkacie ze Stuartami.

Cameron chciała zaprotestować, ale była za bardzo zaskoczona całą sytuacją i tylko pokiwała głową.

- Wyślę ci twoje konie tak szybko, jak tylko się da.

- A Grant i Sukey? - Ściągnęła z dłoni jedwabne rękawiczki i zrezygnowanym ruchem rzuciła je na biurko.

- Nie wiem, co zrobi twój brat. Jeszcze z nim nie rozmawiałem. Najpierw chciałem wszystko uzgodnić z tobą. Jeśli zaś chodzi o Sukey...

Cameron czekała. Wiedziała, że Sukey jest kochanką ojca, ale wolała o tym nie rozmyślać. Prawdopodobnie ich związek jest dużo głębszy, niżby się zdawało, uznała.

- Zgodziła się wyjechać ze mną do Waszyngtonu. Cameron przyglądała mu się w osłupieniu.

- Grant będzie zły - powiedziała, chcąc zmienić temat. Uznała, że to nie jest najważniejszy moment na dalszą rozmowę o Sukey.

Senator spojrzał w głąb szklaneczki.

- To są trudne decyzje. Na razie nie zaprzataj sobie tym głowy. Wracaj do gości. Potem musicie się spakować. Wyruszacie z Taye z samego rana. Pan Burl będzie wam towarzyszył.

- A Stuartowie? - Lubiła Reginę i Roberta, choć nie znała ich dość dobrze. - Trzeba ich uprzedzić.

- Oczekują was. Od kilku miesięcy jesteśmy w stałym kontakcie.

- Och, papo. Ojciec sprawił, że znów poczuła się jak dziecko. W Elmwood działy się rzeczy, o których zupełnie nie miała pojęcia.

- Musisz być dzielna, Cameron. Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Nie odpowiedziała, bo bała się drżenia własnego głosu.

- Idź już. Goście niedługo nas opuszczą. Porozmawiamy później. Muszę jeszcze pomówić z twoim bratem.

Podeszła do drzwi.

- Na pewno nie chcesz, żebym została? Uśmiechnął się markotnie.

- Zmykaj.

- Dobrze, ale wróć. Kocham cię, papo.

- Ja ciebie też, skarbie.

Cameron wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Oparła się o nie i z trudem próbowała się uspokoić. Wielki Boże! Wojna? Powoli weszła na schody. Musiała znaleźć Taye. Niestety, na górze jej nie było. Zaglądała do kolejnych pokoi. Nagle usłyszała z dołu skrzypnięcie drzwi. Może to była Taye? Co, do licha, robiła w holu? Na schodach było dość ciemno, więc Cameron stąpała nadzwyczaj ostrożnie, żeby się nie przewrócić. Była oszołomiona. Miała opuścić Elmwood? Odwróciła głowę, słysząc czyjeś kroki. To był Jackson. Cameron próbowała przed nim czmychnąć, ale natychmiast ją zobaczył.

- Co się stało? Podszedł do niej szybko.

- Wszystko w porządku? - Wyglądało na to, że jest szczerze przejęty.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Słowa same wyrwały jej się z drżących ust.

- Wojna - szepnęła. - Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Wiem - powiedział Jackson, obejmując Cameron ramieniem.

- Wiesz?

Czuła ciepło bijące od jego ciała i tylko dlatego, że ją trzymał, mogła zapanować nad zdenerwowaniem. Przez krótką chwilę odniosła wrażenie, że wszystko wokół się zmieniło i jest jakieś nierzeczywiste: tapety malowane w liście magnolii, podłoga z sosnowych desek, nawet Jackson. To tylko sen, pomyślała Cameron. Sen, z którego zaraz się zbudzimy.

- Byłem z twoim ojcem, kiedy zjawił się posłaniec. - Jackson mówił powoli, jakby chciał przebić się przez mur jej otepienia. - Mam być szczery? Spodziewaliśmy się go od dawna. To była bomba z opóźnionym zapłonem. Jej zegar zaczął tykać już w styczniu, kiedy żołnierze z Karoliny zmusili do odwrotu statek handlowy. A twój ojciec i ja... - Urwał. - Musieliśmy omówić wiele spraw - dodał.

Cameron nie miała pojęcia, co to wszystko znaczy. Przecież Jackson przed chwilą mówił, że nie dba o wojnę. Czym dla niego była napaść na Fort Sumter? Zbyt się zdenerwowała, żeby o to zapytać.

- Papa powiedział, że muszę wyjechać z Elmwood - wyszeptała.

Jackson był bez surduta. Rozwiązany fular niedbale zwisał mu z szyi.

- Jutro rano wyjeżdżam z Taye do Nowego Jorku.

- Wiem. - Jackson odgarnął jej włosy z czoła. Cameron była

spocona. Szorstki materiał sukni drażnił jej skórę. Pomyślała o zimnej pościeli. A może gdybym zdjęła ten okropny strój, byłoby troszeczkę łatwiej pozbierać myśli? - przemknęło jej przez głowę.

- Wiem, co to dla ciebie znaczy - ciągnął Jackson - ale twój ojciec ma rację. Tu nie będziesz bezpieczna. Sąsiedzi szybko zorientują się, że ich senator został doradcą prezydenta. Ogarnie ich żądza zemsty.

- Doradcą? Tym będzie zajmował się w Waszyngtonie? - Zadrzała. - Nic nie wiedziałam. Powiedział tylko, że jedzie tam razem z Sukey.

Zachwiała się lekko.

- Chyba powinnaś się położyć, Cameron. - Jackson przytrzymał ją nieco mocniej. - Odprowadzę cię do sypialni i pójdę po Taye.

Spojrzała na niego ze strachem w oczach. Zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Nie zostawiaj mnie teraz samej. Proszę.

Nie wiedziała, co jej się stało. W gruncie rzeczy nie była tchórzem i nie bała się stanąć twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem. Jednak nagle to wszystko zaczęło ją przerastać.

Wojna, wyjazd z Elmwood, rozstanie z ojcem...

Jackson przytulił ją tak, jakby znów była młodą, niewinną dziewczyną.

- Już dobrze, Cameron. - Pogładził ją po plecach. - Już dobrze. W Nowym Jorku będziesz bezpieczna. Stuartowie to przyzwoici ludzie. Robert nie pozwoli cię nikomu skrzywdzić.

- Nie chodzi o to. Nie martwię się o siebie.

- Spojrzała w jego szare oczy. - Zginie tylu ludzi. Wojna niesie ze sobą śmierć i zniszczenie.

- Jesteś za młoda, żeby się tym przejmować.

- Delikatnie musnął palcami jej policzek. - Młoda i taka piękna...

Cameron nie zorientowała się, że zamierzał ją pocałować, dopóki nie poczuła na twarzy ciepłego oddechu.

- Jacksonie - szepnęła.

Trzymał ją tak mocno, że nie miała siły z nim dłużej walczyć.

Pierwszy pocałunek był delikatny. Potem Jackson mocniej przyciągnął ją do siebie i Cameron poczuła, że kręci się jej w głowie. Kiedy wreszcie udało jej się oderwać usta od jego warg i nabrać powietrza, była w stanie wymówić tylko jego imię.

- Jackson...

Logan spojrzał w bursztynowe oczy, które wyrażały wszystko to, czego Cameron nie była w stanie powiedzieć. Wziął ją na ręce i pospieszył w kierunku swojej sypialni. Kiedy dotarł do drzwi, Cameron pomyślała, że za nic w świecie nie powinna przekroczyć progu tego pokoju. Była świadoma, że są z dala od domowników i gości. W razie czego nikt nie usłyszy jej krzyku. Mimo to nie zaprotestowała. Objęła go za szyję, zamknęła oczy i oparła mu głowę na ramieniu. Nie chciała zostać teraz sama i wyglądało na to, że Jackson doskonale to rozumie.

Nogą otworzył drzwi sypialni i tak samo nogą zamknął je za sobą. Zwinnym ruchem zasunął rygiel. Byli teraz zupełnie sami i nikt nie mógł im przeszkodzić. W pokoju było ciemno. Przez otwarte okno wpadała jedynie poświata księżyca. Z oddali dochodziło rytmiczne



dudnienie bębnów.

- Jackson...

Przyłożył palec do jej ust.

- Cicho - szepnął. - Chociaż raz nic nie mów.

Cameron już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale Jackson posadził ją na łóżku, sam usiadł obok i znów ją pocałował. Jej ciało przeszło dreszcz pożądania.

- Nic nie mów - powtórzył Jackson, obsypując jej policzki i szyję gorącymi pocałunkami. - Nic nie myśl. Posłuchaj swego ciała.

Muszę go powstrzymać, pomyślała Cameron. Muszę powstrzymać siebie...

- Jesteś piękna. - Jackson całował uszy, policzki i usta Cameron, a ona wplotła palce w jego gęste włosy.

- Nie jesteś już dziewczynką. - Jackson położył się na łóżku i pociągnął ją za sobą.

Taye potknęła się na schodach dla służby. Złapała poręcz, żeby się nie przewrócić. Płakała ze złości i strachu. Ledwie widziała, dokąd idzie. Stało się. Wojna. Jedna z niewolnic podsłuchiwała rozmowę senatora z posłańcem. Ostrzelano jakiś fort. Południe wypowiedziało wojnę Północy i już nigdy nie będzie tak, jak dawniej. Taye zanosila się płaczem. Co teraz z nią się stanie? Dokąd pójdzie? Co zrobi? Nie wyobrażała sobie życia bez Cameron. Przełknęła łzy i poszła dalej w górę schodów. Musiała znaleźć przyjaciółkę, ona będzie wiedziała, co robić.

- To ty, panno Taye? - rozległ się męski głos.

Odwróciła się z zakłopotaniem i nieco niżej spostrzegła znajomą postać. To jej ukochany. Nadal miał na sobie ciemny surdut i biały nakrochmalony fular.

- Pan Burl... - Odetchnęła z ulgą. Szybko otarła łzy, żeby nie zobaczył jej w takim stanie.

Burl wszedł na schody. Kiedy się zbliżył, Taye zauważyła, że ma zmiętą i spoconą koszulę, jakby biegł przed chwilą.

- Słyszała panienka? - zapytał głuchym głosem. Taye przytrzymała się poręczy obiema rękami i pokiwała głową.

- Wojna. - Burl westchnął, rozglądając się na boki. - Senator mówił, że to nieuniknione. Och, byłem taki głupi. Wierzyłem, że wszystkiemu można jakoś zaradzić. Myślałem, że uwolnimy tych nieszczęsnych ludzi i pozostaniemy na Południu.

- Pokręcił głową ze wstydem.

Taye miała ochotę pogłodzić go po rękę, ale nie odważyła się tego zrobić.

- To naprawdę nie pana wina - wyszeptała.

- Przykro mi, że tak się stało, panno Taye - powiedział i spojrzał na nią, wyrażając wzrok w ciemnościach. - Nie udało nam się temu zapobiec, ale proszę się nie martwić. Senator zamierza wysłać was z panną Cameron na Północ. Tam będziecie bezpieczne.

Taye z trudem przełknęła łzy. Burl podszedł do niej i podał jej ramię.

- Wszystko w porządku - szepnął jej do ucha.

- Nic wam się nie stanie.

Ugięły się pod nią kolana. Była zmieszana obecnością Burla i przerażona wybuchem wojny. Nie mogła dłużej ustać, więc przycupnęła na schodku. Burl usiadł koło niej, a że schody były wyjątkowo wąskie, siedzieli ramię w ramię. Taye ze wstydem spuściła wzrok.

- Głupio mi. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków.

- Tak, to prawdziwy wstrząs dla nas wszystkich - zapewnił ją Burl. - Nie wolno się panience smucić. Ja... tego nie zniosę.

- Panie Burl...

- Panno Taye, proszę, mamy tylko chwilę. Senator obarczył mnie nowymi obowiązkami. Przepraszam za tę paplaninę. Ja tylko chciałem porozmawiać z panią, zanim stąd wyjadę.

Spuścił głowę, a Taye przyglądała mu się z zakłopotaniem. Co pan Burl - Thomas - próbował jej powiedzieć?

- Panno Taye - wziął ją za rękę - chciałbym, żeby pani wiedziała, jak bardzo panią szanuję. Jak bardzo... Wielkie nieba, zaraz wszystko zepsuję.

Serce Taye zabiło mocniej. Trochę bała się tego, co Thomas chciał jej powiedzieć. Czyżby chodziło o uczucia? To jednak zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Thomasie. - Ośmieliła się spojrzeć mu prosto w twarz. Mimo ciemności widziała, jak bardzo błyszczą mu oczy.

- Może nie powinienem tego mówić, ale chodzi o to, panno Taye,

że już raz nosiłem się z tym zamiarem. Wtedy zmarnowałem szansę, ale teraz postanowiłem oficjalnie prosić cię o rękę. Jeśli uważasz, że może nam się udać, przyjmij moje oświadczenia - dokończył.

Taye była oszołomiona. Na chwilę zamknęła oczy. Co ten Thomas wygaduje? Wojna tak szybko się nie skończy. A jeśli nawet, to pewne sprawy pozostaną niezmiennione. Thomas Burl nadal będzie biały, a biedna Taye wciąż pozostanie murzyńską niewolnicą. Cofnęła rękę.

- Proszę posłuchać, panie Burl, senator liczy raczej na to, że poślubi pan jego córkę. - Odchrząknęła i dodała bardziej stanowczym tonem. - Uważam, że pod tym względem ma całkowitą rację.

- Ale ja jej nie kocham. Ja...

Taye podniosła się. Nie chciała, żeby powiedział za dużo. Wszelkie nadzieje, jakie kiedykolwiek wiązała z przyszłością, obróciły się wniwecz podczas balu, kiedy zatańczyła z kapitanem Loganem.

- Nie kocha jej pan, panie Burl? - zapytała, ruszając w górę schodów. - Jakie to ma znaczenie w świecie, w którym żyjemy?

Zdawało jej się, że jeszcze coś powiedział, ale nie odwróciła głowy. Pobieгла prosto do sypialni Cameron. Rzuciła się na łóżko i schowała głowę pod poduszkę, żeby nikt nie słyszał jej płaczu.

Zawstydzona Cameron ukryła twarz na piersi Jacksona. Kiedy jej oddech się uspokoił, pomału rozejrzała się po pokoju. Znowu usłyszała miarowe bicie w bębny.

- Cameron - Jackson przerwał milczenie - nie pomyśl sobie o

mnie źle, ale muszę już iść. Ktoś... - Urwał, jakby szukał odpowiedniego słowa. - Ktoś na mnie czeka. Muszę z nim porozmawiać.

- Ktoś? - zapytała, patrząc na niego spod rzęs.

- To bez znaczenia.

Cameron usiadła i odepchnęła go, zdziwiona nagłą oziębłością. Próbowwała związać gorset, ale na siedząco nigdy nie dawała sobie z tym rady. Ze złością szarpnęła wstążki. Była wściekła na siebie za to, co się stało, ale łatwiej jej było wyładować gniew na Jacksonie.

- Naprawdę chciałbym teraz zostać... Przerwała mu nagłym ruchem ręki.

- Przestań, bo znów cię znienawidzę.

- Cameron...

- Idź już - rozkazała. - Nie pozwól temu „komuś” dłużej czekać.

Wracam do siebie. Nikt nie powinien zobaczyć mnie w takim stanie.

Co za wstyd!

Jackson wyraźnie chciał coś jeszcze powiedzieć, ale po chwili westchnął i odwrócił głowę. Cameron położyła się na plecach, zamknęła oczy i czekała bez ruchu, aż wyjdzie z pokoju. Kiedy zamknął za sobą drzwi, samotna łza spłynęła po jej policzku. Dlaczego płacze? - pomyślała. Dobrze wiedziała, że coś traci, lecz nie umiała tego nazwać. A może bała się wyjazdu z Elmwood? Może chodziło jej o ojca, pozbawionego domu i majątku? Może płakała nad złamanym sercem, lękając się, że znów straci mężczyznę, którego nieopatrznie kiedyś pokochała?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cameron uchyliła drzwi i ostrożnie rozejrzała się po korytarzu. Chciała mieć pewność, że nikt jej nie zauważy w chwili, gdy wychodzi z sypialni kapitana Logana. To byłby skandal. Plotka o ich romansie mogłaby zniszczyć karierę ojca. Na myśl o tym roześmiała się głośno, ale zaraz potem uprzytomniła sobie, że przecież jej ojciec, były senator ze stanu Missisipi, zamierza rozpuścić wszystkich niewolników i stanąć po stronie Jankesów. Mimo wszystko nie chciała, żeby jej nazwisko w jakikolwiek sposób kojarzono z Loganem.

Prześlizgnęła się pustym korytarzem. Osłaniając piersi, podtrzymywała rozwiązany gorset. Na szczęście piętro wyżej także nikogo nie było. Wciąż słyszała muzykę dochodzącą z sali balowej, ale o tej późnej porze goście zbierali się do wyjścia. Pomyślała, że ktoś z rodziny Campbellów powinien ich pożegnać, lecz w obecnej sytuacji taka drobna gafa była bez znaczenia. Ojciec miał jeszcze sporo do zrobienia, a poza tym nie czuł się najlepiej.

Cameron przylgnęła do ściany, ostrożnie wyjrzała zza rogu i zobaczyła, że dalej korytarz też jest pusty. Musiała tylko dobiec do swojej sypialni. Jeszcze kilka kroków i będzie bezpieczna... Westchnęła i zamknęła oczy, opierając głowę o wzorzystą tapetę. Wciąż nie wierzyła, że pozwoliła się zaciągnąć do pokoju Jacksona. Czyżby zostali kochankami? Co prawda, nadal była dziewicą, ale bez wątpienia poznała niektóre arkana sztuki miłosnej.

Nie chciała dłużej tego rozpamiętywać.

Wzięła głęboki oddech, przeszła do swojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Musiała wziąć się w garść. Była potrzebna ojcu, nie mogła myśleć wyłącznie o sobie. Nagle usłyszała dziwne odgłosy. W pierwszej chwili struchlała. Odruchowo okryła się pogniecioną suknią. Kto to? Głos dochodził od strony łóżka. Ktoś płakał.

- Taye - szepnęła Cameron.

Chociaż było ciemno, dostrzegła drobną postać.

- Cameron?

Sądząc z głosu, Taye była bardzo zaniepokojona. Przez to całe zamieszanie z ojcem i Loganem Cameron zupełnie zapomniała o tym, co wydarzyło się na balu. Poczuli się winna.

- Taye, co się stało?

- Nie słyszałaś?

Cameron usiadła na łóżku i serdecznie przytuliła przyjaciółkę.

- Ostrzelano Fort Sumter. Tak, tata mi powiedział. Nie płacz, proszę. Wszystko będzie dobrze.

- To oznacza wojnę.

- Teoretycznie tak, lecz na pewno nie potrwa zbyt długo. Papa uważa, że Południe się podda. Nie ma fabryk zbrojeniowych. Wkrótce zabraknie broni. Nie będą mieli czym wykarmić żołnierzy. - Wzięła przyjaciółkę za rękę. - Na jakiś czas zamieszkamy u państwa Stuartów. Zobaczysz, że będzie miło.

Mówiła tak, jakby Taye była małą dziewczynką. Zawsze spieszyła jej z pomocą, nawet przeciwko bratu. Ich przyjaźń była

silniejsza niż więzy krwi.

- Zabierzemy kilka moich koni. Pomogę ci naprawić twoje siodło. Powinam...

- Cameron, nie traktuj mnie jak dziecka! - przerwała jej Taye. - Wybuchła wojna, rozumiesz? Pomyśl o mojej mamie, o Naomi, o wujku Jessie, i tak dalej...

- Ta wojna nie dotyczy ciebie i twojej mamy: jesteście wolne. A my walczyliśmy właśnie o całkowite zniesienie niewolnictwa. Chcemy zwrócić wolność wszystkim tym, którzy na to zasługują.

Taye ledwie powstrzymała się od gorzkiego śmiechu.

- Oskarżasz mnie o naiwność, a sama zachowujesz się jak dziecko. - Pocałowała przyjaciółkę w rękę. - Wierzysz w ideały zupełnie oderwane od rzeczywistości. - Potrząsnęła głową. - To nie będzie krótka potyczka. Owszem, Południe nie ma broni, ale tutejszych ludzi cechuje duma i honor. Walka będzie zacięta i długa. Tacy jak Grant - wypowiedziała jego imię, jakby mówiła o chorobie. - Tacy jak Grant łatwo nie zrezygnują ze swoich przywilejów. Na pewno będą woleli zginąć, niż poddać się Jankesom.

Po policzkach Taye spływały łzy. Cameron zrobiło się jeszcze smutniej. Ścisnęła przyjaciółkę za rękę. A może Taye jednak miała rację?

- Przestań, uspokój się - nalegała stanowczym tonem. - Nie chcę tego słuchać. Papa na pewno wie, co robi.

Taye odgarnęła jej z czoła niesforny kosmyk.

- Nie mówię, że to wszystko jest całkiem bez znaczenia.



Przerazają mnie tylko konsekwencje wojny.

Cameron zarzuciła przyjaciółce ręce na szyję i mocno ją objęła.

- Och, skarbie, razem damy sobie radę.

- Może - odparła bez przekonania Taye.

Cameron oparła czoło na jej ramieniu. Postanowiła, że na razie nie wyjawি, co zaszło między nią a Loganem. Taye i tak miała dużo powodów do zmartwień. Cameron nie zamierzała obarczać jej dodatkowym ciężarem.

- Pomóż mi przebrać się w coś wygodniejszego. Chcę porozmawiać z papą. - Wstała i odwróciła się plecami do przyjaciółki. - Już zaczęłam się rozbierać - skłamała z nadzieją, że Taye nie zauważyła jej, kiedy wchodziła do pokoju - ale wciąż potrzebuję twojej pomocy. - Ściągnęła gorset i zaczęła udawać, że rozplątuje kokardy, które wcześniej rozwiązał Jackson. - Było gorąco i wprost się dusiłam. Muszę włożyć coś innego, żeby pomóc papie poprzemnieść cenniejsze przedmioty do piwnicy.

- Przyniosę lampę z korytarza - zaproponowała Taye. - Zaraz wracam.

Cameron odetchnęła z ulgą. Taye niczego się nie domyśliła. Nie miała pojęcia, że niespełna pół godziny temu jej najlepsza przyjaciółka leżała w objęciach kapitana Logana.

- Posłuchaj - senator Campbell zwrócił się do syna - nie zamierzam niczego owijać w bawełnę. Nie rozumiem, co cię tak dziwi. Znasz moje poglądy.

Liczył na to, że zdoła porozmawiać z Grantem przed powrotem Jacksona. Kapitan Logan miał wysłać wiadomość do Baton Rouge. Nie powinno mu to zająć więcej niż pół godziny.

- Dyrzymały przy stole to jedna sprawa - z uporem perorował Grant, dodając sobie animuszu kolejną porcją whisky - ale to, co zamierzasz, jest karygodne! Campbellowie pochodzą z Missisipi, z samego południa Ameryki!

David Campbell potarł skroń. Zastanawiał się, jak dojść do porozumienia z synem. Wiedział, że chłopak będzie zły, rozczarowany, a nawet wystraszony, ale nie miał czasu na wysłuchiwanie jego płomiennej przemowy. Czekало go jeszcze sporo pracy. Najpierw chciał dopilnować, żeby Cameron i Taye opuściły bezpiecznie Elmwood. Potem musiał przygotować dokumenty, zezwalające na wypuszczenie niewolników. Gdyby uwolnił swoich ludzi bez oficjalnych papierów, mogliby ponownie paść ofiarą handlarzy niewolników. .

- Decyzja zapadła - oznajmił. - Nie zamierzam dłużej popierać niewolnictwa.

- Nie zamierzasz popierać niewolnictwa? - Grant upił łyk whisky. W jego głosie pobrzmiwała wyraźna drwina. - Wiosną, kiedy sialiśmy bawełnę, jeszcze nie miałeś nic przeciwko niewolnictwu! Nie przeszkadzało ci to, kiedy zbieraliśmy ogromne profity z plantacji Elmwood!

Grant był tak wściekły, że kiedy mówił, z ust tryskały mu krople śliny zabarwione resztkami whisky.

- Nie podnoś głosu! - obruszył się David. Dobrze wiedział, że syn

nigdy go nie zrozumie.

Jednak kochał go i wierzył, że Grant zaakceptuje jego decyzję. W końcu chłopak wszystko zawdzięczał ojcu. Prawdę mówiąc, nie przepracował ani jednego dnia w swoim życiu. Senator przyjrzał mu się nieco uważniej. W spojrzeniu Granta było coś odrażającego. Jednak Cameron miała rację, pomyślał. Przez długie lata starał się usprawiedliwiać zachowanie syna. Przypisywał mu cechy, których Grant nigdy nie miał. Brutalna prawda okazała się dla Davida wstrząsem.

- Dobrze - pinił się Grant - wyobraźmy sobie, że senator Campbell stanie po stronie Północy. I co potem? - ciągnął, nie dając ojcu dojść do słowa. - Co się z tobą stanie? - Podszedł do stolika i nalał sobie whisky. Pił zbyt szybko i zdecydowanie za dużo. To także martwiło Davida. - Przez całe życie będziesz uciekał - kontynuował Grant tym samym zgorzkniałym tonem. - Trudno uwierzyć, że porzucisz ukochane Elmwood i zostaniesz Jankesem. Zostawisz niewolników na pastwę losu.

- Nie zostawię - stanowczo oznajmił David. Rozwiązał fular i rzucił go na łóżko. W tym trudnym momencie przydałaby mu się siła spokoju jego ukochanej Sukey. Poczul na sobie ponury wzrok syna. Był dla niego za delikatny i choćby przez to stracił mnóstwo czasu. Grant musiał wreszcie usłyszeć całą prawdę.

- Puszczam niewolników wolno. Wszystkich. Na czas trwania wojny zamykam Elmwood i przeprowadzam się na Północ. Zamierzam zostać doradcą rządu.

- Puszczasz ich wolno? - wściekł się Grant. - Oszalałeś?!

Campbell widział już kilka napadów złości u syna. W dzieciństwie Grant rzucał się na ziemię i wymachiwał rękami i nogami. Z wiekiem coraz rzadziej dostawał ataków szału, ale zachował nieprzyjemne usposobienie. W takich chwilach tracił zdolność trzeźwego myślenia.

- Nie możesz wypuścić czarnych. Oni należą do Elmwood.

Należą do mnie! - Grant sięgnął po butelkę szkockiej. Była już prawie pusta, chociaż otworzył ją dopiero w trakcie balu. - Skoro zamierzasz uciec i zostawić wszelkie obowiązki na mojej głowie, to nie możesz mi odebrać niewolników. Bez nich Elmwood popadnie w ruinę.

- Wstrzymamy produkcję - chłodno stwierdził Campbell. Przestał być pobłażliwy dla syna. Dopiero co powiedział mu o wybuchu wojny, a Grant już nerwowo łapał się za portfel. - Będę żył z własnych oszczędności. Ty możesz zamieszkać w Baton Rouge. Na początek dostaniesz ode mnie trochę pieniędzy, ale będziesz musiał poszukać pracy. Nie na darmo płaciłem za twoje wykształcenie.

Otworzył drzwi na balkon i poczuł na twarzy ciepły podmuch wiatru. Powiedział Grantowi wszystko, co miał mu do przekazania, i od razu poczuł się trochę lepiej. Już dawno powinien przeprowadzić z nim taką rozmowę. Teraz zrozumiał, co przez te wszystkie lata usiłowała mu wyjaśnić Cameron. Był zmęczony wiecznym utyskiwaniem syna.

- Nie odwracaj się! - huknął Grant. - Jeszcze nie skończyliśmy.

- Masz rację. Chcę, abyś wiedział, że zamierzam przepisać

Elmwood na Cameron - oświadczył bez zmrużenia oka senator. Zbyt

długo obchodził się z synem jak z jajkiem. - Nigdy nie pokochałeś naszej posiadłości. Nie zasługujesz na nią. Dostaniesz Baton Rouge i część moich pieniędzy.

- Oddasz jej Elmwood? - zapytał Grant. Był oszołomiony tym, co usłyszał. - To śmieszne, przecież jest kobietą!

- I to mądrą. Ta wojna wiele zmieni. Wierzę w Cameron. Jestem pewien, że kiedy mnie zabraknie, ona jedna najlepiej zadba o to, co stworzyłem razem z moim ojcem. Kto wie, może nawet tchnie nowe życie w te stare mury? - Uśmiechnął się niepewnie.

- To czysty obłąd! - Grant chodził w tę i z powrotem, wlokąc za sobą chromą nogę. Pijany, zwykle kuśtykał jeszcze bardziej. Jego nieporadne ruchy wyglądały wręcz groteskowo. - Chyba nie wiesz, co mówisz! Jesteś przerażony wybuchem wojny. Tak! Postradałeś zmysły!

- Owszem - spokojnie przytaknął David. - Przeraża mnie myśl, ile krwi wsiąknie w moją ojczystą ziemię. W duchu modliłem się, aby ten dzień nigdy nie nastąpił, ale nie oszalałem. Dobrze wiem, co robię. - Zaciśnął pięści. - To postanowione. Elmwood przejdzie w ręce Cameron. O drugą córkę też zamierzam zadbać.

Nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Nie zamierzał zwierzać się Grantowi. Zrobił to odruchowo.

Grant stanął jak wryty.

- O drugą córkę? - spytał z pobladłą twarzą. David spojrzał mu prosto w oczy.

- To moje nieślubne dziecko. Urodziła się siedemnaście lat temu. Grant był zażenowany. Wciąż nie miał pojęcia, o kim mowa.

- Bękart? - wyjąkał. - Ty, świętoszkowaty Davidzie, splodziłeś bękartą?

Senator nie pozwolił się sprowokować.

- Chodzi o Taye - powiedział prosto z mostu.

- To moja córka. Owszem, dla zasady wziąłem ślub z twoją matką. Szanowałem ją, ale zawsze kochałem Sukey.

Wyraz twarzy Granta wprowadził go w zakłopotanie. Dostrzegł w oczach syna nienawiść.

- Taye jest twoją córką?!

David stał w drzwiach wiodących na balkon, plecami do wielkiego drzewa, które rosło po wschodniej stronie domu. Pokój był dobrze oświetlony, więc był w stanie odczytać każdą malującą się na twarzy syna emocję. Niepokój. Przerażenie. Nienawiść.

- Twoja córka... - wymamrotał Grant. Jego ściszony głos był bardziej upiorny od krzyku.

- Przepraszam, że tak długo cię okłamywałem. Powinienem był zachować się jak mężczyzna i wyznać wam całą prawdę. Nie wiem, co mnie przed tym powstrzymało. Może martwiłem się o karierę i dalszą pozycję w senacie. - David wzruszył ramionami. - Obydwaj wiemy, że tu, na Południu, często zdarzają się takie rzeczy. Po prostu nikt o tym głośno nie mówi.

Grant złapał się za serce, które jakby chciało mu wyskoczyć z piersi. Taye jest dzieckiem jego ojca? Poczł wstręt zmieszany z niezdrową fascynacją. Siostra? Murzyński bękart? Przeszedł go zimny

dreszcz.

Powoli uniósł wzrok. Był w szoku po tym, co przed chwilą usłyszał, ale nie bał się spojrzeć ojcu prosto w twarz. Przez całe dotychczasowe życie liczył na gest ze strony dumnego rodzica. We własnym mniemaniu nigdy nie był tchórzem, wbrew temu, co David Campbell powiedział przed czternastu laty. Ojciec nigdy nie darzył go szacunkiem. Zrobił krok w jego stronę. Wydawało mu się, że kroczy jak we śnie.

Nie zamierzał przyglądać się wszystkiemu beczynn timer. Ani myślał wypuścić czarnych na tak zwaną wolność i dobrowolnie zrzec się Elmwood na rzecz Cameron. Nie mógł sobie pozwolić na utratę Taye. Kochał ją. Kochał i zarazem nienawidził. Dał kolejny krok naprzód.

Jego spojrzenie napotkało wzrok ojca. Jak na mężczyznę w swoim wieku David Campbell był w świetnej kondycji fizycznej. Grant zatoczył się na niego.

- Synu - cicho powiedział Campbell - powinieneś się położyć. Obudzę cię za kilka godzin. Wtedy porozmawiamy.

- Nie chcę z tobą dłużej rozmawiać - odparł Grant. Gniew narastał w nim z każdą chwilą. - Nie ma o czym.

Nieoczekiwanie rzucił się do przodu i uderzył ojca pięścią w brzuch. Zaskoczony David Stęknął i zwinął się z bólu. Siła ciosu odrzuciła go do tyłu.

- O nie, mój drogi, wybij to sobie z głowy! - Grant wziął zamach i jeszcze raz uderzył ojca.

Z hukiem wypadli na balkon i zatrzymali się na barierce. Rozległ się głuchy trzask i senator runął w ciemność. Grant złapał równowagę, żeby nie wypaść za ojcem i przewrócił się na podłogę. Usłyszał cichy jęk, który z pewnością nie brzmiał jak wołanie o pomoc, a potem piętro niżej ciało uderzyło o twardą ziemię. To także dotarło do jego uszu.

Przeczołgał się do krawędzi balkonu i wytężył wzrok. Pomimo mroku dojrzał sztywne ciało ojca. David Campbell leżał wygięty pod dziwnym kątem. Grant poczuł gorzki smak w ustach, usiadł i złapał się za głowę. Było mu niedobrze. Wypił za dużo whisky i usłyszał zbyt wiele przykrych słów. Chwycił go silny skurcz żołądka. Wychylił się za balkon i zwymiotował. Kiedy skurcze ustały, przycisnął rękę do brzucha.

- Dobranoc, ojcze - szepnął. - Chyba nareszcie wiesz, że nie jestem tchórzem.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ktoś głośno zapukał do drzwi sypialni. Dziewczęta oderwały się od lustra. Taye zamarła ze szczotką w ręku. Cameron włożyła zwykłą cienką koszulę i szarą spódnicę. Zamierzała jeszcze dzisiaj spakować najpotrzebniejsze rzeczy i oporządzić konie. Zielona suknia balowa leżała na podłodze, a pantofelki znalazły się pod łóżkiem.

- Tak? - zawołała Cameron.

Do pokoju weszła Naomi. Ciągle miała na sobie sukienkę i turban. Cameron rzuciła na nią okiem i od razu się zorientowała, że wydarzyło się coś złego.

- O co chodzi?

- Panicz Grant powiedział, żeby panienka szybko przysłała do sypialni senatora. Podobno pan senator spadł z balkonu - oznajmiła beznamiętnym głosem Naomi.

- Wielkie nieba! Papa?! - Cameron podbiegła do drzwi. - Coś mu się stało? Gdzie on jest?

Naomi wyszła za nią na korytarz.

- Panicz Grant czeka w sypialni.

Taye chciała pójść za przyjaciółką, ale Naomi złapała ją za ramię.

- Zostań - powiedziała krótko. - Panicz Grant wołał tylko siostrę.

Cameron jak oszalała pobiegła w głąb korytarza i wpadła do pokoju ojca. Grant siedział na skraju łóżka, z głową schowaną w dłoniach.

- Gdzie jest papa?! - wykrzyknęła Cameron, rozglądając się dokoła. - Grant!

Nie odpowiedział.

- Gdzie on jest?! - wrzasnęła.

Nie patrząc na nią, Grant wskazał na balkon. Cameron spojrzała na niego, oszołomiona.

- Dlaczego nikt nie przyniósł więcej światła? Dlaczego nikt go nie ratuje? - Wybiegła na balkon. W dzieciństwie było to jej ulubione miejsce zabaw. - Tato! - zawołała. Cisza. Nigdzie go nie było. Cameron wpadła w przerażenie. - Grant, gdzie...? - Jej wzrok padł na złamaną poręcz. - Nie - szepnęła z rozpaczą. - Nie... - Jak otepiała podeszła do krawędzi balkonu. - Nie, nie - powtarzała w kółko. Zanim wychyliła się, żeby popatrzeć na ziemię, już wiedziała, co tam zobaczy.

Chwilę trwało, zanim zebrała się na odwagę i spojrzała w dół. Ojciec leżał nieruchomo na trawniku. Obok niego siedziała Sukey. Trzymała jego głowę na kolanach. Pochylała się nad nim i płakała.

- Papo... Papo!

Sukey nawet jej nie słyszała.

- Mówiłem mu, żeby tyle nie pił - rozległ się głos Granta.

Cameron drgnęła. Nie zauważyła, kiedy jej brat wszedł na balkon. Podświadomie odsunęła się od krawędzi. Grant trzymał w ręce zapaloną lampę.

- Jak to się stało? - zapytała.

- To przez whisky, prezent od szanownego kapitana Logana.

Prosto ze szkoekich gór - szydził Grant.

Cameron popatrzyła na niego ze łzami w oczach.

- Pierwsza ofiara wojny - ciągnął Grant. - Wpadł w czarną rozpacz. Nawet prosiłem go, żeby już nie pił, ale mnie nie słuchał.

- Byłeś tu, kiedy to się stało?

- Tak. Niestety, sam mu poradziłem, żeby wyszedł na balkon i trochę się przewietrzył. Bez wytchnienia mówił o wojnie i o Elmwood.

Cameron odniosła wrażenie, że lodowate spojrzenie brata przeszywa ją na wylot. Wzdrygnęła się i odsunęła do tyłu.

- Jak to się mogło stać, przecież tata nigdy zbyt dużo nie pił. Ostatnio widzieliśmy go podchmielonego na moich siedemnastych urodzinach. Wypił wtedy całą brandy, jaką dostał w prezencie. - Odwróciła się gwałtownie. Co tu się mogło stać? - pomyślała. Owszem, ojciec pił whisky jeszcze przed końcem balu, ale nie był pijany. Znów spojrzała na Granta. - Po prostu wypadł?

- Potknął się i wpadł na barierkę. - Grant zrobił skwaszoną minę.

- To był wypadek. Coś okropnego. - Potrząsnął głową i popatrzył w ciemność.

- Tak, wypadek...

Powiedział to w tak dziwny sposób, że Cameron ogarnęło przerażenie. Bacznie spojrzała na brata. Wypadek?

Grant odwrócił wzrok.

- Nie zapłaczesz? - spytała.

Zerknął na nią spode łba i wrócił do sypialni.

- Mam zapłakać? - powtórzył drwiącym tonem.

- Po co? To mu nie wróci życia. Chodź, trzeba powiedzieć

czarnym, żeby go zabrali. To nie wypada, żeby senator stanu Missisipi leżał na podwórzu.

Thomas Burl stał w ciemnym korytarzu pod gabinetem senatora Campbella i przysłuchiwał się kłótni Granta z kapitanem Loganem. Wprawdzie nie słyszał, o czym rozmawiają, ale domyślił się, że obaj są w wyjątkowo podłym nastroju. Grant krzyczał i rzucał gromy, kapitan mówił wprawdzie spokojnie i powoli, lecz jednocześnie jakby z utajoną groźbą.

Za oknami z wolna zaczynało świtać. Wyglądało na to, że tej nocy nikt w Elmwood nie zmrużył oka. Thomas oparł się o ścianę. Był zmęczony i wystraszony. Nie wiedział, co dalej zrobić. Nigdy dotąd nie przeżył takiego koszmaru. Najpierw przyszła wiadomość o wybuchu wojny. Potem oświadczył się Taye i spotkał go zawód. Jeszcze ten wypadek. Podziwiał swego pryncypała, a teraz senator Campbell nie żyje... Thomas Burl powinien dokończyć jego dzieło. Ale jak miał o tym zawiadomić Granta? Nowy właściciel Elmwood musiał podpisać pewne dokumenty, żeby zgodnie z życzeniem senatora uwolnić niewolników.

Drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem. Burl odruchowo przyłgnął do ściany w obawie przed Grantem.

- Thomasie! - krzyknął Grant. - Ach, tutaj jesteś, ty mały nicponiu. Co ci przyszło do głowy? Podśłuchujesz po ciemku?

- Chciałem z panem porozmawiać... panie Campbell - wyjąkał Burl.

Grant złapał go za rękaw i pociągnął za sobą.

- Czego chcesz? - burknął. - Nie mam czasu! Teraz, po śmierci ojca... - Urwał i machnął ręką. - Nieważne, i tak muszę ci coś powiedzieć. Jesteś nam niepotrzebny.

- Rozumiem... - z wahaniem odparł Burl.

- Zwalniam cię.

- Tak... Dobrze. Zaraz po pogrzebie...

- Teraz! - warknął Grant.

- Słucham?

- Czego jeszcze nie rozumiesz, głupcze? Masz opuścić Elmwood, i to natychmiast.

Burl zebrał resztki odwagi, żeby się odezwać.

- Zostanę tutaj... do pogrzebu pana senatora - wyjąkał. - Jest jeszcze parę ważnych spraw, które muszę z panem omówić... Zgodnie z wolą senatora...

- Co?! - ryknął Grant. - Kim jesteś, Burl, żeby mi mówić takie rzeczy? - Podszedł bliżej. Thomas poczuł na twarzy jego kwaśny oddech.

- To nie tak... - Głębiej zaczerpnął tchu. Był lojalny wobec zmarłego senatora i mimo że Grant go przerażał, postanowił wypełnić swoje obowiązki. - Chodzi o niewolników. Pański ojciec, pan senator...

- Chyba mnie nie słuchałeś? - Grant złapał go za kłapy i pchnął tak mocno, że Burl uderzył głową w ścianę.

- Proszę pana... - Burl poczuł, że coś go ściska w dołku. - Rozumiem pana irytację, ale nie powinien pan mnie tak traktować.

- Zamknij się i posłuchaj! - wrzasnął Grant, wciąż trzymając go za klapy. - Daję ci ostatnią szansę. Wsiądziesz na konia i odjedziesz stąd jak najszybciej. Nikomu ani słowa albo znajdą cię z nożem w brzuchu szybciej, niż zdążysz powiedzieć „Faktura pro forma” - dokończył szyderczym tonem. Zmarszczył brwi. - Jasne?

Burl trzął się na całym ciele.

- Nigdzie nie wyjadę, dopóki nie ustalę z panem kwestii dotyczącej niewolników. Jeśli nie zgodzi się pan ze mną porozmawiać, powiem o wszystkim panie Cameron.

Grant zbliżył usta do jego ucha.

- Jeżeli za chwilę nie wsiądziesz na konia, nie tylko ciebie spotka przykry los. Widziałem, jak patrzysz na Taye. Z pewnością jesteś wart czarnej kochanki.

Burl wyprostował się, żeby spojrzeć w diabelskie oczy Granta.

- Czego nie można powiedzieć o panu - odparł.

- Ostrzegam cię. Zmiataj do swoich Jankesów albo Taye nie dożyje końca tej bzdurnej wojny.

Thomas z trudem powstrzymał cisnące mu się do oczu łzy.

- Ty draniu... - szepnął.

Grant zabrał ręce i cofnął się o pół kroku.

- Żegnam, Burl. - Ruszył w kierunku pokojów. - Mam nadzieję, że już więcej się nie zobaczymy.

Thomas stał jeszcze przez chwilę w ciemnym korytarzu i próbował zebrać myśli. Nigdy nie działał pochopnie i bez namysłu. Nie pozwolił się zastraszyć. W pierwszej chwili chciał prosić o pomoc

Cameron albo kapitana Logana. Czuł, że nie może zawieść zmarłego senatora. David Campbell był dla niego niczym ojciec... Wtedy pomyślał o Taje. Grant rzeczywiście mógł spełnić pogróżki i skrzywdzić dziewczynę. Był do tego zdolny. Decyzja była oczywista. Burl szybko pobiegł w kierunku drzwi. Osiodłał konia i za dziesięć minut był już poza granicami posiadłości Elmwood. Nie mógł ryzykować. Zrobił to dla Taje, bo ją kochał.

Jackson stał na drodze wiodącej do Elmwood i ze zmarszczonymi brwiami patrzył na ucieczkę Thomasa. Chciał go zapytać, co się stało, ale na razie wolał się nie ujawniać. Nie tutaj i nie o tej porze. Podejrzewał w tym rękę Granta. Postanowił, że jutro wyśle kogoś za młodym prawnikiem. Thomas Burl był dobrym i uczciwym człowiekiem. Jackson wiedział, że można na nim polegać.

Przed chwilą spotkał się z łącznikiem z Baton Rouge. Za kilka tygodni miał wrócić do Waszyngtonu, ale to był zaledwie początek wielkiej gry, ściśle związanej z wojną. Logan zaciągnął się cienkim cygarem. Palił sporadycznie i raczej nie zachwycał się smakiem tytoniu. W tej chwili marzył raczej o mocnym drinku, ale musiał mieć trzeźwą głowę.

Cholerny Grant! Jackson wyczuwał, że ten tchórz coś przed nimi ukrywa. Niestety, nie miał na to żadnych dowodów i nie mógł dłużej pozostawać w Elmwood. Nawet nie mógł pomóc Cameron w trudnych chwilach po śmierci ojca. Musiał wyjechać. Robił to dla kraju. Cisnął niedopałek cygara na ziemię i przygniótł go butem. Kiedy wszedł do

lasu, między niskie sosny, przypomniał sobie słowa senatora:

„Nic tu po tobie, Jacksonie” - mówił David Campbell. „Jedź tam, gdzie się bardziej przydasz. Tacy ludzie jak ty są nam potrzebni”.

Wskoczył na konia i mocno ujął wodze. Postanowił, że wyjedzie jutro, po pogrzebie. Przecież i tak był umówiony o północy w hotelu w centrum miasta. Musiał postępować zgodnie z instrukcją. Zawrócił i pojechał w kierunku Elmwood. Miał coś do zrobienia przed wyjazdem.

- Cameron, proszę - nalegał Jackson. Kiedy nie odpowiedziała, rozdrażniony uderzył pięścią w drzwi. - Cameron!

- Odejdź! - zawołała.

Siedziała po ciemku na krawędzi łóżka. Dwie godziny temu zwłoki senatora przeniesiono do biblioteki. Teraz zajmowała się nimi Sukey. Taye zabrała Cameron do swojego pokoju. Zaczynało świtać. Cameron spojrzała na drzwi. Taye wzięła ją za rękę.

- Czego on chce? - zapytała z niepokojem w głosie. - Przecież to chyba oczywiste, że nie przyjmiesz go w negliżu i w takim stanie.

Cameron uspokajającym gestem poklepała ją po dłoni.

- Wszystko w porządku, nie martw się. Pewnie jest zły, że nie chcę z nim porozmawiać - odparła, nie spuszczać wzroku z zamkniętych drzwi.

- Cameron, proszę - ściszym głosem powtórzył Jackson.

Wiedział, że jeśli będzie hałasować, w końcu usłyszy go ktoś z domowników. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte od środka. - Wpuść mnie albo wyjdź do mnie. Muszę ci coś powiedzieć.



Cameron wstała i w koszuli podeszła do progu. Nie potrafiła spokojnie usiedzieć na łóżku, kiedy Jackson był tak blisko.

Taye złapała się za głowę.

- Nie rób tego - szepnęła. Cameron oparła się o drzwi.

- Odejdź - rozkazała. Była odrętwiała z żalu i złości. Nawet jej głos zabrzmiał obco. - Idź już, Jacksonie. - Przyłożyła dłoń do desek. Były gładkie i zimne.

- Cameron, przykro mi z powodu śmierci twego ojca.

Słyszała oddech Jacksona. Zdawało jej się, że przez dębowe drzwi bije ciepło jego ciała. Odniosła wrażenie, że naprawdę jest przybity. Jednak nie mogła się z nim zobaczyć. Była zbyt przygnębiona.

- Myślałam, że wyjechałeś. - Przesunęła dłonią po gładkim drewnie.

- Muszę to zrobić, Cameron, mam wiele do zrobienia, ale zostanę na pogrzebie.

Cameron zamknęła oczy. Myśl o śmierci ojca była niczym krwawiąca rana. Zgodnie z rodzinną tradycją uroczystości pogrzebowe powinny odbyć się nie później niż dobę po śmierci.

- A potem wsiądziesz na swój statek? - zapytała z pogardą. Z zaskoczeniem słuchała swojego głosu. Wydawało jej się, że jest zbyt zmęczona na okazywanie emocji. - Wojna sprzyja interesom.

- Nic nie rozumiesz. - Jeszcze raz szarpnął klamką. - Otwórz te przeklęte drzwi!

- Odejdź! Nie chcę z tobą rozmawiać.

- Nie chodzi tylko o twojego ojca, Cameron. Chciałem ci powiedzieć, że...

- Przestań. Zapomnij o tym, co się stało. A teraz idź już, bo wezwę służbę.

Jackson ponownie uderzył pięścią w deski, ale tym razem zrobił to dużo słabiej. Cameron pochyliła głowę i czekała.

- Dobrze. Spróbuj zasnąć. Zareczam ci, że porozmawiamy, zanim wyjadę z Elmwood. Nawet jeśli będę musiał wyważyć te diabelne drzwi - oznajmił z naciskiem w głosie. - Słyszysz?! Tak łatwo mnie się nie pozbędziesz! Zacisnęła powieki.

- Cameron!

- Zgoda - szepnęła - ale nie w mojej sypialni. Spotkamy się w gabinecie ojca. Zaraz po pogrzebie.

Jackson zawahał się, jakby jeszcze chciał coś powiedzieć. Potem Cameron usłyszała, że odszedł. Stuk podkutych butów ucichł w oddali. Jeszcze przez chwilę opierała się czołem o chłodne deski.

- Poszedł? - zapytała przerażona Taya. Cameron przełknęła łzy.

- Tak.

- Podnieś rękę. O tak, mój drogi - cichutko szeptała Sukey.

Zanurzyła ręcznik kąpielowy w misce pełnej ciepłej wody z mydłem i delikatnie obmyła zwłoki. David był czysty. Wykąpał się tuż przed balem. Zawsze dbał o siebie, dlatego Sukey chciała, żeby i tym razem wyglądał schludnie. Robiła to dla niego.

Przygotowała spodnie i wykrochmaliła białą koszulę. Chciała

pochować go w zielonym surducie. Wprawdzie był nieco wyświechtany, ale zawsze podobał jej się najbardziej. Cameron kupiła go kilka lat temu, kiedy wszyscy razem udali się do Baton Rouge. Zielony surdut, a jakie buty? Do takiego stroju najlepiej pasują lakierki, rozmyślała Sukey.

Znów zanurzyła ręcznik w wodzie i przetarła dłonie zmarłego. A może powinna założyć mu długie jeździeckie buty, w których tak często widywano go w Elmwood?

Mogłaby spytać o to Cameron, ale pewnie już zasnęła. Nie zamierzała jej niepokoić. Rozmowa z Grantem także nie miała sensu. Po kłótni z kapitanem Loganem zamknął się w swoim pokoju. Wezwał do siebie Naomi, zabrał butelkę whisky i od tamtej pory nikt go nie widział. Nie pofatygował się do biblioteki nawet wtedy, kiedy przyniesiono tam ciało jego ojca.

Mięczak. Nie. Sukey nie zamierzała rozmyślać o Grancie, a szczególnie teraz, gdy musiała przygotować Davida do pogrzebu. Ostrożnie obmyła mu każdy palec z osobna. Kiedy ręce Davida stały się nieskazitelnie czyste, Sukey ułożyła je delikatnie wzdłuż ciała i uśmiechnęła się do siebie. Senator leżał z zamkniętymi oczami. Wyglądał tak, jakby najzwyczajniej w świecie zasnął.

Sukey walczyła ze łzami, które cisnęły jej się do oczu. Nie miała czasu na rozpacz. Na razie musiała zachować świeży umysł. Było jeszcze tyle do zrobienia! Dwóch młodych niewolników zbijało trumnę, a inni kopali grób. W ciągu godziny od wypadku konni posłańcy zawiadomili wszystkich sąsiadów o śmierci senatora. Mimo

różnicy poglądów David Campbell cieszył się dużym szacunkiem wśród mieszkańców Missisipi. Trzeba było przygotować poczęstunek dla żałobników, którzy po pogrzebie przybędą na stypę. Tam, gdzie jeszcze niedawno wisiały dekoracje i kolorowe girlandy, miały teraz zawisnąć zasłony z czarnego kiru. Sukey westchnęła głośno.

- Jest jeszcze tyle do zrobienia, mój najdroższy.

Ponownie zanurzyła ręcznik w misce. Wyjęła go, wyjęła nadmiar wody i obmyła ramiona, które przez tyle lat obejmowały ją z czułością.

Zakochali się w sobie, kiedy David miał siedemnaście lat, a ona czternaście. Rok później zostali kochankami. Gdy David poślubił Caroline, spotykali się tak często, jak tylko było to możliwe. Nigdy nie dopuścił do tego, żeby Sukey poczuła się odtrącona. Ona z kolei dodawała mu otuchy, kiedy został wdowcem. Kilka lat potem przyszła na świat ich córka.

Sukey przeczesła palcami gęste włosy Davida. Ciało zrobiło się już sztywne i zimne. Trzeba się pospieszyć. Wkrótce zbudzi się całe Elmwood. Musiała być silna. David jej potrzebował.

Coś ścisnęło ją za gardło i nie mogła dłużej powstrzymać się od płaczu. Upadła na kolana i pochyliła głowę przed martwym ciałem Davida. Bezwiednie upuściła ręcznik na podłogę.

- Nie zostawiaj mnie, mój najdroższy - lamentowała, kiwając się w przód i w tył. - Proszę, nie zostawiaj mnie. Zabierz mnie ze sobą - szlochała. - Wolę umrzeć, niż zostać tu zupełnie sama.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cameron stała tuż przy otwartej trumnie i mocno ścisnęła Taye za rękę. Uroczystość prowadził pastor z miejscowego kościoła, do którego regularnie uczęszczali Campbellowie. Mówił monotonią o królestwie niebieskim, ale Cameron nie słuchała go zbyt uważnie. Wielka chwała po śmierci nie miała dla niej żadnego znaczenia. Wraz ze śmiercią ojca jej życie rozpadło się jak domek z kart.

Cameron i Taye miały na sobie ciemnoniebieskie suknie i czarne woalki. Ze względu na młody wiek nie musiały nosić ciężkich żałobnych strojów. Sukey zgodziła się, żeby „jej dziewczynki” włożyły lżejsze sukienki, skromnie zdobione szyfonem.

Cameron starała się poluznić ciasny gorset. Dochodziła pierwsza po południu i gorące słońce Missisipi paliło ją w plecy. Suknia była dość obcisła. Zamierzała zdjąć ją zaraz po pogrzebie. Wiedziała, że nie wytrzyma w niej do końca dnia, a przecież musiała przyjąć kondolencje od sąsiadów i znajomych. Powiodła wzrokiem po tłumie żałobników. Na pogrzeb przyszło mnóstwo osób, które chciały pożegnać senatora Davida Campbella. Cameron rozpoznała wśród nich wielu uczestników ostatniego balu wydanego przez jej ojca. Trudno było uwierzyć, że niespełna dwadzieścia cztery godziny temu mieli na sobie suknie balowe i eleganckie fraki. Teraz, ubrani w czarne stroje, ocierali łzy po stracie przyjaciela.

Policzki Cameron były suche. Nie mogła uрониć nawet łzy. Ból

po stracie ojca był zbyt wielki. Bała się, że jeśli pozwoli sobie choćby na chwilę słabości, to już nigdy nie przestanie płakać. Kiedy przyglądała się żałobnikom, zauważyła, że nie ma wśród nich Thomasa Burla. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Ponoć wyjechał bladym świtem. Nie zabrał ze sobą niczego oprócz małej sakwy. „Gnał jak szalony, panienko” - powiedziała jedna ze służących. Cameron zastanawiała się, dlaczego Thomas wyjechał bez pożegnania. To było do niego niepodobne.

Nie zdołała poluznić sukienki. Niechętnie opuściła rękę. Ktoś zakasłał po prawej stronie, więc ponownie uniosła wzrok. Jackson. Nawet nie udawał, że słucha pastora. Na wszelkie sposoby próbował zwrócić na siebie jej uwagę. Cameron odwróciła głowę w nadziei, że przestanie na nią patrzeć. Powiedział, że wyjedzie zaraz po pogrzebie. I bardzo dobrze. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Łatwiej zapomni o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy w jego sypialni. Żałowała, że w ogóle do tego doszło.

Jackson wciąż uparcie przeszywał ją wzrokiem.

Chyba Cameron bezwiednie ścisnęła Taye za rękę, bo przyjaciółka nagle odwróciła się w jej stronę.

- Wszystko w porządku? - zapytała cicho. - Cameron pokiwała głową i tym razem pewniej chwyciła dłoń Taye, żeby dodać jej otuchy.

Dzięki Bogu pastor już kończył przemowę. Cameron starała się uniknąć spojrzenia Jacksona, kiedy spuszczano trumnę do grobu. Podeszła bliżej i rzuciła garść ziemi. Brudny piach uderzył w wieko sosnowej trumny.

- Żegnaj, papo - szepnęła. - Żegnaj, Pochyliła głowę i, nie zwracając uwagi na wszystkich tych, którzy chcieli z nią porozmawiać, ruszyła w kierunku domu. Taye chwyciła ją za ramię.

- Gdzie idziesz?

- Po Granta. Nie przyszedł na pogrzeb, a teraz wydaje mu się, że zostawi mnie samą z tymi wszystkimi ludźmi - zezłościła się. - Pewnie jest pijany i dlatego nie wychylił nosa z sypialni.

Taye wzięła Cameron za rękę.

- Nie możesz się tak denerwować. Może lepiej zostawić go w spokoju? Nie wszyscy mamy w sobie tyle siły co ty. Nie każdy potrafi spojrzeć swoim lękom w twarz. - Zacisnęła usta, po czym dodała: - Musimy to zrozumieć.

Cameron spojrzała w błękitne oczy Taye i uprzytomniła sobie, że Sukey także nie przyszła na pogrzeb.

- Nie chodzi mi o twoją mamę - powiedziała szybko. - Miałam na myśli wyłącznie mojego brata.

Sukey przygotowała całą uroczystość. Wysprzątała dom, a teraz wraz ze służącymi krzątała się w kuchni. Powiedziała, że nie będzie uczestniczyć w pogrzebie, bo ma jeszcze dużo do zrobienia. Cameron domyśliła się, że śmierć senatora wstrząsnęła nią tak bardzo, że nie chciała widzieć, jak trumna z Davidem znika w grobie.

- Twoja mama zajęła się tym, co do niej należy. Tego właśnie oczekiwałby mój ojciec. - Cameron położyła dłoń na ramieniu Taye. - Pomóż jej. Goście sami znajdą drogę do domu.

Taye kiwnęła głową i puściła przyjaciółkę. Cameron weszła

głównym wejściem. Kiedy przechodziła przez werandę, usłyszała czyjś głos.

- Dokąd się wybierasz? - Jackson złapał ją za rękę. Odwróciła się rozgniewana. To było jedyne uczucie, jakie towarzyszyło ostatnio jej spotkaniom z kapitanem Loganem.

- Idę sprawdzić, co z moim bratem.

- Cameron, mówiłem, że muszę wyjechać. - Zachnął się na widok woalki, która zasłaniała jej twarz. - Zdejmij to, bo cię nie widzę! - Wyciągnął rękę, uniósł czarny muślin i spojrzał w jej bursztynowe oczy. - Chcę z tobą porozmawiać.

Próbowała mu się wyrwać, ale bez skutku.

- To boli - jęknęła przez zaciśnięte zęby.

- Więc przestań się szarpać.

Po krótkiej chwili dała za wygraną. Był zbyt silny, żeby z nim walczyć.

- Nie mam czasu na rozmowę. Grant zamknął się w pokoju z Naomi. Nie zszedł nawet na pogrzeb.

Jackson nie spuszczał z niej wzroku.

- Myślisz, że do ciebie wyjdzie?

- Pewnie wpadł w rozpacz.

- A może po prostu czuje się winny?

Cameron bez zastanowienia uderzyła Jacksona w twarz. Policzek był tak głośny, że aż zadźwięczał jej w uszach.

Jackson nawet nie drgnął.

- Chyba nie chcesz się ze mną bić? - spytał. - Na pięści nie masz



szans.

- Nie uderzysz kobiety.
- A kobieta ma prawo podnieść rękę na mężczyznę?
- Jesteś nie do zniesienia.
- Nie bierzesz żadnej odpowiedzialności za swoje czyny?

Ze wstydu opuściła głowę, ale była zbyt dumna, żeby go przeprosić. W głębi duszy także zastanawiała się nad tym, czy brat w jakimś stopniu ponosił odpowiedzialność za śmierć ojca, ale nie mogła pozbierać myśli. Była zbyt zrozpaczona.

- Pięć minut - powiedziała.
- Słucham?

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Masz pięć minut. Spotkamy się w bibliotece. - Szarpnęła ręką i tym razem ją puścił. - Pójdę pierwsza. Nie chcę, żeby widziano nas razem.

Pozwolił jej odejść.

Cameron poszła prosto do biblioteki. Potrzebowała czasu, żeby się uspokoić. Nie mogła uwierzyć, że spoliczkowała Jacksona. Zwłaszcza po tym, co zaszło między nimi poprzedniej nocy... Oblała się rumieńcem. Zamknęła drzwi, podeszła do stolika i naląła sobie kieliszek brandy. Trunek przyjemnie rozgrzewał jej przełyk i ciepłym strumieniem spływała do żołądka. Pomyślała, że przed spotkaniem z żałobnikami musi przepłukać usta. W przeciwnym razie wszyscy będą ją porównywać do brata. Otworzyła okno. Za sobą usłyszała skrzypnięcie drzwi. Ktoś wślizgnął się do środka. Nie musiała się

odwracać - wiedziała, że to Jackson. Pociągnęła łyk brandy, żeby dodać sobie odwagi.

- Mam nadzieję, że nikt cię nie widział - powiedziała, stojąc do niego tyłem.

- Ręcej nie. Wszedłem przez okno i zakradłem się korytarzem dla służby. Byłem szybki jak wicher.

Odwróciła się z kieliszkiem w ręku.

- To wcale nie jest zabawne. Obdarzył ją uśmiechem.

- Przepraszam. Masz rację. Od czasu, gdy zabrałem cię do mojego pokoju, stałaś się bardzo ostrożna.

- Co z ciebie za dżentelmen?

- Dobrze wiesz, że nie jestem dżentelmenem. Podeszedł do stolika i nalał sobie solidną porcję brandy.

- Dolać ci? - Uniósł kryształową karafkę. Cameron spojrzała na pusty kieliszek. Czowała przyjemne mrowienie w żołądku.

- Wypiłam tylko trochę - usprawiedliwiła się.

- Przecież nic nie mówię.

Jackson usiadł w skórzanym fotelu i wyciągnął nogi przed siebie. Nosił czarne bryczesy, lnianą koszulę i fular. Po pogrzebie zdjął surdut. W innych okolicznościach mógłby się nawet podobać, ale teraz Cameron patrzyła na niego oziębło.

- Nie jestem jak mój brat. Nie topię smutków w alkoholu.

- Wiem o tym. - Powiedział to zdecydowanym, wręcz zarozumiałym tonem.

Znowu miała ochotę go uderzyć. Podeszła do stołu i

ostentacyjnie odstawiała kieliszek, dając do zrozumienia, że nie będzie więcej piła.

- No dobrze, czego chcesz? - zapytała. - Mów i zmykaj.

- Cameron, Cameron... - potrząsnął głową - usiądź.

Porozmawiajmy. Chciałbym wziąć cię w ramiona, ale wiem, że to niemożliwe. Rozerwałabyś mnie na strzępy.

- Masz rację - odparła i zajęła miejsce na sofie. Z niewyspania kręciło jej się w głowie. - Pospiesz się. W sali balowej czeka co najmniej pięćdziesiąt osób, żeby złożyć mi kondolencje.

- Chcę, żebyś stąd wyjechała, najlepiej dzisiaj.

Cameron zmarszczyła brwi.

- Chcesz, żebym opuściła mój dom?

W głowie kłębiły jej się najczarniejsze myśli.

- Nie masz pojęcia, co tu będzie się działo. Wydaje mi się, że nie rozumiesz, czym jest wojna. Twój ojciec chciał cię wysłać do Nowego Jorku. Mówił mi o tym.

Cameron skrzyżowała ręce na piersi i oparła się o wezgłowie.

- Nigdzie się nie wybieram. Mam prawo do żałoby po ojcu.

- Najlepiej będzie, jeśli wyjedziecie z Taye jeszcze dzisiaj - powtórzył Jackson. - Odwiozę was na dworzec. Nie wiadomo, jak długo będą kursowały pociągi na północ. Później będziesz musiała podróżować konno.

- Nie wyjadę z Elmwood! - Woalką łaskotała ją po szyi. - Brat odziedziczył ziemię ojca wraz z niewolnikami. Wiesz, co to oznacza?

- Właśnie dlatego musisz wyjechać.

- Ojciec chciał zwrócić tym biednym ludziom wolność. -  
Wzruszyła ramionami. - I tak tego nie zrozumiesz.

- Wiem, że chciał ich uwolnić. - Założył nogę na nogę i bez  
pośpiechu pociągnął łyk brandy. - Domyślam się, że twój brat ma  
zupełnie inne plany.

- Więc mu to wyperswaduję!

Cameron ściągnęła z głowy woalkę i cisnęła ją na dywan.

- Przestań zachowywać się jak dziecko! Posłuchaj mnie. - Jackson  
głośno tupnął obcasem w podłogę. - Nie możesz tu zostać. Słyszysz, co  
mówię? Tu chodzi o twoje życie!

- A ci biedacy? - Spojrzała w stronę kwater niewolników. - O  
nich się nie martwisz? Muszę przekonać Granta, żeby ich wypuścił.  
Albo... sama to zrobię!

- Nie masz do tego prawa. Cameron pochyliła się i ukryła twarz  
w dłoniach.

- To wszystko, o czym chciałeś ze mną porozmawiać? Jeśli tak,  
to możesz odejść.

Jackson wstał, odstawił szklanekę na mały stolik z różanego  
drewna i podszedł do Cameron.

- Nie, to nie wszystko - powiedział głębokim głosem, który  
zawsze wywoływał u niej dreszcz podniecenia.

Nie chciała go słuchać. Miała ochotę zatkać uszy, ale jedynie  
zacisnęła usta i usiadła prosto.

- Chciałem porozmawiać o zeszłej nocy.

Usiadł koło niej na sofie.

- To był błąd - orzekła Cameron. Zmusiła się, żeby spojrzeć Jacksonowi w oczy. Tylko tak mogła go przekonać, że mówi prawdę. - Byłam zdenerwowana i potrzebowałam wsparcia. Nic więcej. Nic, czego nie mogłabym znaleźć w objęciach innego mężczyzny. - Wzruszyła ramionami. - Byłeś w pobliżu.

Zmrużył oczy.

- Nic więcej?

Wyciągnął rękę, więc odsunęła się pośpiesznie, żeby uniknąć jego dotknięcia. To było nie do zniesienia.

- Posłuchaj - powiedziała, starając się coś wymyślić. - Wszyscy byliśmy zdenerwowani. Nie chciałeś, żeby tak się stało, i ja tego też nie chciałam. Tak naprawdę nic nas nie łączy. Zapomnijmy o tym.

Jackson podniósł się z sofy, a kiedy się odezwał, Jego głos zabrzmiał szorstko, niemal obcesowo.

- Wszystko rozumiem.

- Idź swoją drogą.

- Nie wyjedziesz teraz z Elmwood? - Spojrzał na portret Cameron i Granta z drobną postacią namalowaną w tle. - Nawet ze względu na Taye?

- Zajmę się nią. - Splotła dłonie. - Dziękuję, że zostałeś na pogrzebie. Mój ojciec byłby ci bardzo wdzięczny. Lubił cię.

Jackson stanął przy drzwiach.

- Cameron...

- Przestań - powiedziała stanowczo. - Będzie lepiej, jak sobie pójdiesz. Muszę porozmawiać z bratem i z Sukey. Martwię się o nią.

Wprawdzie jest silna, ale czuję, że lada chwila może się załamać. No i niewolnicy... - Urwała, bo nie chciała rozczulać się nad sobą. - Mam bardzo dużo do zrobienia - dokończyła.

- Spróbuję jak najszybciej wrócić. Nie wiem, czy puszczą mnie na morze.

- Nie musisz wracać. - Skinęła ręką na pożegnanie. - Uważaj na siebie.

Zatrzymał się z ręką na klamce, jakby jeszcze chciał coś dodać, ale potem pokręcił głową, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Cameron miała ochotę zawołać za nim: „Stój Zaczekaj! Nie zostawiaj mnie tak...”

Z trudem powstrzymała łzy.

- Och, tu jesteś - powiedziała Taye, wchodząc na werandę. - Wszędzie cię szukałam.

Cameron stała przy balustradzie i patrzyła na chaty niewolników. W oddali paliło się ognisko i rozbrzmiewał miarowy dźwięk bębnów. Słuchała rytmicznych, żałobnych pieśni. Goście już wyszli i sprzątnięto resztki ze stołów. Poza czarnymi zasłonami w oknach nie było śladu po niedawnym pogrzebie. Taye wyjaśniła jej, że zgodnie z murzyńską tradycją niewolnicy noszą żałobę przez kilka kolejnych dni. Za dnia pracują tak jak dawniej, a nocami oddają hołd zmarłemu panu.

Religia czarnych ludów Afryki była Cameron zupełnie obca. Często budziła w niej grozę. Teraz jednak bez trudu oswoiła się z myślą, że Murzyni z Elmwood zamierzają oddać cześć jej ojcu. Ponie-

waż domownicy starali się zachowywać tak, jakby nic się nie stało, była wdzięczna za żałobne pieśni, które rozbrzmiewały nocą.

Oparła się o balustradę. Była zmęczona i miała wrażenie, że zaraz upadnie.

- O czym oni śpiewają? - zapytała. Taye stanęła tuż przy niej.

- Nie znam dobrze naszego dawnego języka. - Przez chwilę stała w milczeniu i słuchała. - Modlą się do Matki Ziemi i proszą, żeby przyjęła do siebie Ich brata.

Cameron uśmiechnęła się. To dobrze, że niewolnicy traktowali jej ojca jak jednego ze swoich. On też byłby z tego zadowolony.

- Gdzie twoja mama? - zapytała, odwracając się w stronę domu.

- Śpi u matki Naomi, w kwaterach niewolników.

- Nie będę jej przeszkadzać. Taye zacisnęła usta.

- Powiedziała, że nie jest w stanie *zasnąć* pod tym dachem z myślą, że jego już tu nie ma - wyszeptała z bólem

Cameron wiedziała, że coś łączyło senatora z Sukey. Początkowo zamierzała, powiedzieć o tym przyjaciółce, ale uznała, że to nie jest najważniejszy moment. Taye była zmęczona i smutna. Cameron nie chciała jej dręczyć. Wzięła ją pod rękę i zaprowadziła do domu.

- Najlepiej chodźmy spać. Rano wszystko będzie wyglądało trochę lepiej - powiedziała z nadzieją w głosie.

Taye kiwnęła głową i zatrzymała się przed schodami.

- Pojechał. - Patrzyła na Cameron błękitnymi oczami. - Przykro mi.

Cameron doskonale wiedziała, o kim mowa.

- Nie martw się - odparła. - Tak jest lepiej. Taye wzięła ją za rękę.

- Jesteś tego pewna?

Cameron nie miała odwagi spojrzeć jej w oczy.

- Nie wiem. Jestem zmęczona. - Zerknęła na Taye. - Nie domyślasz się, dlaczego Thomas tak szybko nas opuścił?

Taye cofnęła rękę i odwróciła głowę.

- Może wypełnił ostatnie polecenie mojego ojca?

- Wtedy na pewno by się pożegnał. - Oczy Taye były pełne łez.

- W gruncie rzeczy to bez znaczenia – zauważyła Cameron. - Podejrzewam, że był za bardzo zdenerwowany, żeby z tobą szczerze porozmawiać. Taye z trudem powstrzymywała się od płaczu.

- Rozmawialiśmy wcześniej. Zanim senator...

- Zawahała się, wzięła głęboki oddech i dokończyła szybko: - Prawdę mówiąc, to było właśnie pożegnanie.

Cameron zmarszczyła brwi. Czowała, że Taye nie powiedziała jej wszystkiego.

- Możemy z tym poczekać - uznała. - Porozmawiamy później.

Chodźmy.

Skierowały się w stronę schodów.

- Weź swoją koszulę nocną i przyjdź do mnie.

- Chcesz, żebym dzisiaj spała w twoim pokoju? - zapytała Taye.

- Jednej rzeczy jestem zupełnie pewna - oznajmiła Cameron.

Starła się nie myśleć o Jacksonie.

- Nie mam ochoty zostać sama.



# CZĘŚĆ DRUGA

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cameron zapukała do drzwi sypialni brata.

- Grant? Grant, słyszysz mnie? Nie możesz tam ciągle siedzieć! - zawołała. - Wyjdź albo ja wejdę do ciebie. Musimy porozmawiać.

Od śmierci senatora minął tydzień, a Grant wciąż nie opuszczał pokoju. Pozwalał odwiedzać się tylko Naomi. Cameron z wolna traciła cierpliwość. Była przygnębiona tym, co działo się w Missisipi i w całym kraju.

Trzy dni po ostrzelaniu Fort Sumter prezydent Lincoln wygłosił orędzie do narodu. Zwołał pod broń sześćdziesiąt pięć tysięcy ludzi i wyznaczył na lipiec nadzwyczajne posiedzenie Kongresu. Odpowiedź na atak Południa miała być błyskawiczna i skuteczna. Robertowi E. Lee z Wirginii, byłemu dowódcy West Point, zaproponowano dowodzenie wojskami Unii, ale odmówił. Później został jednym z najwyższych dowódców konfederatów.

Cameron nie dawała sobie rady ze wszystkimi sprawami związanymi z prowadzeniem plantacji. Potrzebowała pomocy brata. Jeszcze raz zapukała do drzwi.

- Grant! Posłuchaj mnie! Musisz wziąć się w garść. Masz nowe

obowiązki. Wprawdzie robię, co mogę, ale powinieneś mi pomóc. - Westchnęła, zamknęła oczy i oparła głowę o drzwi. - Grant, słyszysz mnie? - Przyłożyła dłoń do gładkich desek. Próbowwała zapanować nad rozpaczą. - Czy ktoś w ogóle mnie słucha?

- Nie wiem, po co to robisz - powiedziała Sukey, wchodząc do gabinetu senatora.

Cameron uniosła wzrok znad wielkiego biurka. Mimo otwartego okna było jej gorąco. Siedziała tu od rana, rozliczając rachunki z całego miesiąca. Wirginia wystąpiła z Unii. Spodziewano się, że wkrótce w jej ślady pójdą Arkansas, Karolina Północna i Tennessee. Podczas gdy coraz więcej ochotników dołączało do wojsk Konfederacji, Cameron próbowała sporządzić inwentarz. Zamierzała sprzedać pług, powóz, zwierzynę i kilka przedmiotów domowego użytku. Wtedy starczyłoby jej pieniędzy na utrzymanie plantacji i zadowalającą wypłatę dla niewolników. Wiedziała, że jeśli puści ich wolno, będą im potrzebne pieniądze.

Od śmierci ojca dwa razy wybrała się do miasta, żeby porozmawiać ze starym znajomym i prawnikiem, panem Josephem. Był wykonawcą woli senatora, ale niezbyt chętnie garnął się do pomocy. Chociaż znał opinię Davida Campbella na temat niewolnictwa, szybko stało się jasne, że jej nie podziela. Nie wiedział, że David zamierzał stanąć po stronie Północy, a Cameron na razie nie widziała powodu, żeby mu o tym mówić. W końcu stary prawnik obiecał przygotować niezbędne dokumenty, ale nalegał na spotkanie z

Grantem. Przecież to on był prawowitym spadkobiercą i obecnym właścicielem Elmwood.

Cameron znużonym wzrokiem spojrzała na Sukey. Od dnia pogrzebu Murzynka zmieniła się nie do poznania. Nawet w połowie nie robiła tego, co dawniej. Przestała dbać o wygląd i szybko się męczyła. Cameron wezwała do domu lekarza, ale uznał, że nic jej nie jest. Wyglądało na to, że Sukey po prostu straciła chęć do życia.

- Wiem, co przeżywasz - cicho powiedziała Cameron - ale...

- Senator nie chciałby, żebyś tak ciężko pracowała - łagodnym głosem odparła Sukey. Przeszła się po pokoju, dotykając rzeczy, które niegdyś należały do Davida Campbella. - Tym powinien się zająć pan domu, twój brat.

W pokoju wciąż czuć było zapach senatora. Może dlatego Cameron spędzała tam tak dużo czasu. Jej nozdrza nadal wypełniała słaba woń ulubionych cygar ojca. Oczami wyobraźni widziała go, jak siedzi w fotelu i czyta „Biloxi Times”. W dalszym ciągu słyszała szelest przerzucanych stronic. Do tej pory, kiedy zamykała oczy, czuła obecność ojca.

- Owszem - odparła. Powiedziała to nieco ostrzej, niż zamierzała. Wzięła głęboki oddech i odezwała się dużo łagodniejszym tonem: - Chciałabym, żeby mój brat wreszcie się pokazał i porozmawiał ze mną. - Spojrzała na drewniany sufit. - Wyleź stamtąd! - wykrzyknęła, jakby mógł ją usłyszeć.

- No, no - mruknęła Sukey, podchodząc do drzwi. - Prawdziwa dama nie powinna podnosić głosu. Przecież to nie wypada. Co sobie

pomyślą sąsiedzi?

- Prawdziwa dama nie powinna sprzedawać sąsiadom swoich rzeczy, i to za pół ceny! Robię, co mogę, żeby utrzymać Elmwood.

Sukey sprawiała wrażenie, jakby w ogóle jej nie słuchała.

- Przyrządzę lemoniadę. Jest wyśmienita na takie upalne dni. Od razu poczujesz się lepiej. - Otarła czoło chusteczką. Ostatnio bardzo schudła i wyglądała na wycieńczoną. - Może choć na chwilę wyjdiesz na werandę?

Cameron westchnęła ciężko. To było ostatnie na co w tej chwili miała ochotę, ale Sukey patrzyła na nią z nadzieją w oczach.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Zrobię sobie przerwę na coś zi... coś do picia. - Chciała powiedzieć „zimnego”, ale przypomniała sobie, że ostatnia torba lodu już dawno się skończyła. Nie będzie lodu, dopóki nie przyplyną statki z Północy. Zaśmiała się gorzko. Kogo w ogóle to obchodzi w obliczu krwawej wojny? Przecież brakuje setek innych, dużo bardziej potrzebnych, towarów.

- Powiem Taye, że przyjdiesz - oznajmiła Sukey, rozglądając się po pokoju. - Przyniosę wam pierniki. Twój ojciec je uwielbiał. - Popatrzyła na Cameron ciemnymi, mądrymi oczami. - Przebierz się w coś stosowniejszego. Żółta suknia będzie w sam raz. Pan senator bardzo ją lubił.

Cameron spojrzała na siebie. Wciąż była w zakurzonej sukni do konnej jazdy, którą włożyła rano do stajni. „Żółta suknia będzie w sam raz”. Gdybym tylko mogła cofnąć czas, pomyślała. Wszystko by się zmieniło...

Od pogrzebu nie miała żadnych wieści o Jacksonie. Gdyby choć trochę przejmował się moim losem, zostałyby, żeby mi pomóc, uznała. Nawet nie napisał. Odłożyła pióro i wyprostowała się. Rozmasowała ręką krzyż, który rozboleł ją od długiego siedzenia za biurkiem.

- A niech cię, Jacksonie... - mruknęła pod nosem. - Jak mogłam ci znów na to pozwolić?

Spojrzała przez okno na pola. Bawełnę zasadzono jeszcze przed wybuchem wojny. Nie wiedziała, kto teraz przystąpi do zbiorów. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z jej planem, za dwa tygodnie niewolnicy powinni odzyskać wolność. Musiała tylko nakłonić Granta do podpisania kilku dokumentów. Czekwała na odpowiedni moment, żeby z nim porozmawiać.

Mijały kolejne dni, a Grant dalej nie wychodził ze swojego pokoju. Cameron z wolna zaczęła tracić nadzieję na realizację swoich zamiarów. Taya była wręcz przekonana, że Grant nie zgodzi się na uwolnienie jej czarnych braci. Cameron ułożyła więc kolejny plan, który nie wymagał zgody brata. Dyskretnie starała się dowiedzieć jak najwięcej o tak zwanym podziemnym pociągu, którym przemycano niewolników na północ. Za tydzień, pierwszy raz od śmierci ojca, miała być z Grantem w mieście na przyjęciu. Gospodarzem wieczoru był jeden z dawnych wyborców senatora. Grant często grywał z nim w karty i tylko dlatego zgodził się towarzyszyć siostrze. Cameron nie miała ochoty na towarzyskie spotkanie, ale dowiedziała się, że na przyjęciu będzie ktoś, kto mógłby udzielić jej niezbędnych informacji o „podziemnym pociągu”. Musiała odnaleźć człowieka, który ukrywał

się pod imieniem James.

- Ciągłe tu jesteś? - Do gabinetu weszła Taye. Tak jak inni wyglądała na zmęczoną i zatroskaną. - Mama cię szuka. Mówiła, że prosiłaś o lemoniadę.

Cameron zmarszczyła czoło.

- O nic jej nie prosiłam. Sama mi powiedziała, że będziesz na werandzie, i zaproponowała, żebym też tam przyszła.

Taye chwyciła ją za rękę.

- Jest jakaś dziwna, prawda?

- Pomyśl o mojej propozycji - powiedziała Cameron. - Dobrze wam zrobi zmiana otoczenia. Powinnaś pojechać z mamą do Stuartów. Dojadę do was, kiedy uporam się ze wszystkim. - Nigdy nie mówiła głośno o wypuszczeniu niewolników. Wiedziała, że ściany mają uszy. - Jak tylko zamknę Elmwood, przeprowadzę się do Nowego Jorku. Taye uparcie pokręciła głową.

- Nie ruszę się bez ciebie. - Ściszyła głos. - Nie zostawię cię z tym szaleńcem. - Wymownie spojrzała w górę, w stronę pokoju Granta.

Cameron objęła przyjaciółkę i razem wyszły z pokoju.

- Wolałabym, żebyś wyjechała - powiedziała - ale cieszę się, że zostajesz. - Uścisnęła ją. - Napijmy się lemoniady. Potem, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, pomożesz mi wybrać suknię na przyjęcie u Hitchów.

Taye zawahała się.

- Jesteś pewna, że to bezpieczne? - szepnęła. Cameron pokiwała głową.

- Tak. Muszę zdobyć kilka informacji.

Taye jeszcze raz spojrzała w stronę sypialni Granta.

- Obawiam się, że on nie podpisze żadnych dokumentów.

- Wtedy zrobimy to bez niego - oznajmiła Cameron.

Cameron z uśmiechem usiadła w powozie naprzeciwko brata. Próbowała być miła. Miała na sobie błękitną suknię, mocno wciętą w tali. Taye ścisnęła jej gorset tak silnie, że Cameron z trudem mogła oddychać, ale zdążyła się już nauczyć, że ponętnie wyglądająca kobieta dużo łatwiej radzi sobie z mężczyznami.

- Cieszę się, że już ci lepiej - powiedziała do brata. - Taye i ja martwiłyśmy się o ciebie.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Taye mówiła, że się o mnie martwi?

Cameron w milczeniu pokiwała głową. Przecież nie mogła mu powiedzieć prawdy. Taye wielokrotnie powtarzała, że jej rozpustny brat po śmierci będzie smażył się w piekle. Oprócz Naomi stałymi bywalkzyniami sypialni Granta były także inne młode niewolnice.

- Brakowało nam cię przy stole - skłamała. - Mamy do omówienia wiele spraw dotyczących Elmwood.

- Zupełnie nie wiem, o co ci chodzi - odparł Grant. - Przecież na dobrą sprawę nic się nie zmieniło oprócz tego, że jestem właścicielem majątku i plantacji.

Cameron spojrzała na lampę wiszącą nad drzwiami powozu.

- Sam nie wierzysz w to, co mówisz, prawda? Mamy wojnę. W

każdej chwili możemy zostać napadnięci przez bandę maruderów.

Wiesz, co się wtedy stanie z Elmwood?

Roześmiał się i poprawił fular. Miał na sobie ciemnobrązowy surdut, który zupełnie nie pasował do jego bladej cery.

- Nie zwracaj sobie tym głowy, siostrzyczko. Twój brat wie, jak zadbać o nasze interesy.

Cameron westchnęła i wyjrzała przez okno na zachodzące słońce. Nie spodziewała się, że rozmowa przybierze taki obrót. Tracili czas. Musiała zmusić brata, żeby podpisał stosowne dokumenty.

- Grant - odezwała się znowu - należy spełnić wolę naszego ojca.

Strzepnął pyłek kurzu ze spodni.

- Jaka?

Spojrzała mu w oczy.

- Chodzi o niewolników. Ojciec zamierzał dać im wolność.

Ku jej zaskoczeniu, Grant nawet się nie rozgniewał, ale wybuchnął rubasznym śmiechem.

- Uwolnić czarnych? Chyba żartujesz? Cameron przesiadła się na miejsce obok brata.

- Gdyby udało się nam znaleźć pana Burla, mógłby to potwierdzić. Na pewno wie, gdzie są dokumenty ojca.

- Uwolnić czarnych? - powtórzył Grant. - Nie wiem, o czym mówisz. Ojciec na pewno by tego nie zrobił.

Cameron spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Grant! Siedziałeś z nami przy jednym stole. Dobrze słyszałeś, co mówił papa.



Machnął ręką.

- Takie tam gadanie... Na tym polega polityka. - Skrzyżował ręce na piersi i rozsiadł się wygodnie. - Senator David Campbell zawsze stawał po stronie przegranych. Lubił gawędzić przy obiedzie. Twierdził, że ożywiona dyskusja dobrze wpływa na trawienie.

Cameron patrzyła na brata z coraz większym niedowierzaniem.

- Jak możesz tak mówić? - Odsunęła się od niego. - Myślałam, że po prostu chowasz się przed nami, ale teraz widzę, że jesteś naprawdę chory.

Grant zmrużył oczy.

- Wystarczy. Panuję nad sytuacją. Jeśli nie przestaniesz mieć ozorem, zawrócimy do domu.

Cameron poczuła nagły przypływ przerażenia. Taye miała rację. Grant nigdy się nie zgodzi na wypuszczenie niewolników. Pochyliła głowę, udając skruchę.

- Wybacz, chcę pojechać na przyjęcie. Już dawno nie miałam na sobie tak pięknej sukni - powiedziała zupełnie innym tonem, - Przepraszam. Nie chciałam się z tobą kłócić.

- Dobrze, dobrze. - Grant pogładził ją po ramieniu, udając dobrego brata. - Zapomnijmy o tej rozmowie. Wiem, że jesteś zdenerwowana. Nie powinienem był tak długo opłakiwać ojca.

Powóz wtoczył się na dziedziniec przed domem Hitchów.

- Czuję się już znacznie lepiej. Jestem gotów przejąć wszelkie obowiązki.

Cameron spojrzała w bok w obawie, że Grant dojrzy pogardę w

jej oczach. Była zła i rozgoryczona, ale potrafiła grać potulną siostrę. Ku własnemu zaskoczeniu, z każdym dniem stawała się coraz lepszą aktorką.

- Jak chcesz. Spróbuję ci pomóc. Poklepał ją po dłoni.

- Wiem o tym. Powóz stanął i lokaj otworzył drzwi. Grant wysiadł pierwszy i podał rękę siostrze.

- Wszystko będzie nam wybaczone. A teraz chodź, zabawimy się. W końcu obojgu nam się to należy.

Gospodarze przyjęli ich bardzo serdecznie i Grant od razu dosiadł się do stołu, gdzie panowie grali w karty. Cameron wzięła szklaneczkę ponczu od małego Murzynka ze złotymi kolczykami. Chłopiec był ubrany w turban i białą-czerwoną marynarkę. Zwinnie lawirował między gośćmi, wszystkich częstując napojami. Cameron przyjęła kondolencje od kilku znajomych ojca, których nie było na pogrzebie, i przez chwilę przysłuchiwała się opowieściom o wojnie i dzielnych żołnierzach Południa. Z uśmiechem kiwała głową i czujnym okiem wypatrywała tajemniczego Jamesa, z którym chciała porozmawiać o „podziemnym pociągu”. Niestety, znała tylko imię, lecz nie miała pojęcia, jak on wygląda.

Po rozmowie z Grantem przestała mieć jakąkolwiek nadzieję, że uda jej się legalnie wypuścić niewolników. Teraz czekało ją nie lada wyzwanie. Musiała wysłać ich z mapą w rękę wzdłuż drogi kolejowej. Wiązało się to z dużym ryzykiem, nie tylko dla nich, ale i dla niej.

Uśmiechnęła się uroczo i podeszła do grupki kobiet. Musiała

błyszcząc, jeśli chciała odnaleźć tajemniczego Jamesa.

Jackson po cichu wyszedł z szatni, złapał porucznika za szyję i, zanim ten zrozumiał, co się dzieje, zaciągnął go w zaciemnione miejsce.

Oficer otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Jackson zakneblował go chusteczką.

- Dlaczego mnie śledzisz? - szepnął mu do ucha. Chłopak, na oko dwudziestopięciolatek, wymamrotał coś i potrząsnął głową.

Jackson wyciągnął zza cholewy długi nóż i przystawił mu do gardła błyszczące ostrze.

- Masz trzydzieści sekund, zanim ci podetnę gardło. W ciągu minuty wykrwawisz się na śmierć i zapaskudzisz nowy szary mundur.

Porucznik zeszywniał. Wprawdzie nie mógł mówić, ale gestem dał znać, że zrozumiał ostrzeżenie Jacksona.

- Tak już lepiej - zauważył Logan. - Masz tylko odpowiadać na moje pytania.

Żołnierz pokiwał głową. Jackson wyjął mu chustkę z ust i rzucił ją na podłogę. Wciąż trzymał nóż na wysokości gardła porucznika.

- Kim jesteś i dlaczego za mną łazisz?

- Mam wiadomość... - wycharczał chłopak. Z trudem złapał oddech. - Od... od Smitty'ego.

Jackson przyjrzał mu się z niemałym zaciekawieniem. W tym tygodniu nie spodziewał się żadnych wieści od swojego łącznika.

- Smitty cię przysłał?

Chłopak chciał pokiwać głową, ale ostrze noża ukłuło go w szyję.

- Tak. Podobno to coś pilnego. Jackson opuścił nóż i odwrócił posłańca twarzą w swoją stronę.

- Trzeba było od razu mówić - rzekł z uśmiechem. - Weź sobie drinka i idź na werandę. Zaraz tam przyjdę, to porozmawiamy.

Cameron słyszała donośny głos gospodarza, wygłaszającego kolejną patriotyczną przemowę. Była tym zmęczona. Po cichu wymknęła się do ciemnego korytarza. Minęło kilka ładnych godzin, a ona wciąż nie spotkała tajemniczego Jamesa. Chciała na chwilę usiąść i odpocząć od swoich „braci konfederatów”. Gdzieś tu pewnie były pokoje gościnne, ale nawet ich nie szukała. Potrzebowała ciszy i spokoju.

Popatrzyła za siebie, czy nikt jej nie śledzi, i w tej samej chwili wpadła na nadchodzącego z przeciwka mężczyznę.

- Och, przepraszam - zaćwierkała i z chichotem uniosła głowę - to moja wina... - Urwała w pół zdania. Przed nią stał Jackson Logan. - Och, ty draniu! - Niewiele myśląc, przyłożyła mu wachlarzem. - Co tutaj robisz?

Uśmiechnął się leniwie i zacisnął dłoń na jej nadgarstku.

- Miło cię widzieć, Cameron. - Pociągnął ją za rękę i zawrócił.

- Puszczaj!

- Cicho, bo ktoś usłyszy.

- Nic nie szkodzi! Na pewno nigdzie z tobą nie pójde - ze złością się, kiedy odprowadził ją z dala od ludzi.

- Jacksonie...

Pchnął jakieś drzwi i weszli do środka. Pokój był mały i zaciemniony. W powietrzu unosił się ciężki zapach cygar i papierosów. To musiała być prywatna palarnia gospodarza. Jackson starannie zamknął drzwi. Przez okno wpadała tylko wąska poświata księżyca. W oddali słychać było szczekanie psa.

- Jacksonie, co ty sobie wyobrażasz...

Bez słowa uciszył ją pocałunkiem. Cameron była zaskoczona. Bała się, że zaraz zemdleje. Rozwścieczona próbowała się wyrwać. Okładała Logana pięściami po plecach, a kiedy to nie pomogło, pociągnęła go za klapy surduta. Jackson nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Kiedy oderwał usta od jej warg, na chwilę zamknęła oczy. Nadal trzymał ją mocno, ale już nie próbowała się wyrwać. Była na to zbyt słaba.

- Co tu robisz? - zapytała drżącym głosem.

- Właśnie miałem spytać cię o to samo. Spojrzała w jego szare oczy.

- Jak to co? Jestem na przyjęciu. Pan Hitch dobrze znał mojego ojca.

- To dlaczego skradasz się po domu jak złodziejka?

Cameron odwróciła głowę. Nie mogła znieść jego spojrzenia.

- Szpiegujesz mnie?

- Chyba powinnaś zostać z innymi gośćmi i wysłuchać kilku kolejnych patriotycznych pieśni i przemówień - powiedział drwiącym tonem.

- A ty nie?  
- Przecież wiesz, co naprawdę sędzę o polityce.  
- Aż za dobrze - odparła zgryźliwie.  
- Nie powinnaś być tutaj. - Nie trzymał jej już tak mocno, ale nadal czuła się jak schwyтана w pułapkę. - Jesteś w jaskini konfederatów. Jeśli dowiedzą się, co myślisz, z miejsca obedną cię ze skóry.

- Jest ze mną Grant. Przyjechaliśmy tu specjalnie na zaproszenie pana Hitcha. Grant jest mu winien pewną sumę.

- To jedyny powód tej wizyty?  
- Nie twoja sprawa - odparła i wyrwała się z objęć Jacksona.  
Stała obok skórzanej kanapy. Jej oczy zdążyły przywyknąć do ciemności i teraz widziała go znacznie lepiej.

Jackson uśmiechnął się szeroko.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział. - Świetnie wyglądasz. W Elmwood wszystko w porządku?

Nie dała się na to nabrać. Gdyby naprawdę choć trochę obchodził go los plantacji, nie wyjechałby zaraz po pogrzebie ojca.

- Myślałam, że gdzieś pływasz na tej swojej krypie.  
- To jest statek, nie krypa. Jeszcze stoi w doku. Za kilka dni jadę do Baton Rouge, ale najpierw muszę załatwić pewne sprawy.

Cameron popatrzyła na niego spod oka.

- Nadal nie wiem, czym się zajmujesz - powiedziała wyniosłym tonem, w ten sposób usiłując ukryć emocje. Jackson znów obdarzył ją swoim zadziornym uśmiechem.

- Na to pytanie, niestety, nie mogę odpowiedzieć.

Położyła ręce na oparciu kanapy. Coś jej podpowiadało, że oboje znaleźli się w trudnej sytuacji.

- Co u ciebie? - zagadnął Jackson łagodnym tonem.

Cameron zamrugła powiekami. Miała takie wrażenie, jakby ktoś sypnął jej piaskiem w oczy. Oprócz Taye nikt tak naprawdę nie wiedział, co czuła po śmierci ojca.

- Grant większość czasu spędza w swoim pokoju, a ja staram się dokończyć plany ojca.

A co będzie, jeśli nie znajdę Jamesa? - zadała sobie w duchu pytanie. Jeśli nie zdołam dowiedzieć się czegoś o „podziemnym pociągu”? Wojska Missisipi potrzebowały uzupełnień. Werbowwały żołnierzy nawet spośród niewolników. Jackson podszedł do niej i usiadł na kanapie. Wskazał jej miejsce obok siebie.

- Siadaj.

Cameron spojrzała na zamknięte drzwi. A może James jej szuka? Podczas przyjęcia uważnie przyglądała się wszystkim mężczyznom, ale nie potrafiła go rozpoznać. Może to starszy pan z wąsami, a może szczupły młodzieniec w szarym surducie?

- Usiądź na chwilę - powtórzył Jackson. - Potem cię puszczę.

Zebrała w dłoń fałdy sukni i przycupnęła obok niego.

- Mówisz tak, jakbym była twoim więźniem. - Wyżej uniosła głowę. - Wyjdę stąd sama, kiedy tylko zechcę.

Jackson przysunął się nieco bliżej. Cameron poczuła ledwo uchwytny zapach tytoniu. Podły jesteś, pomyślała pod adresem

Jacksona, ale zarazem taki przystojny...

Logan pochylił się w jej stronę. Tym razem mu nie uciekła. Nawet nie próbowała.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Cameron odwzajemniła pocałunek. Kiedy Jackson lekko pogładził ją po szyi, rozkoszny dreszcz przeszył jej całe ciało.

- Brakowało mi ciebie. Powiedz, że ty też za mną tęskniłeś - wyszeptał Jackson i wziął ją na kolana.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Przyglądała się jego twarzy i próbowała wyczytać coś z szarych oczu. Wziął ją za rękę i pomalutku ściągnął z jej dłoni rękawiczkę. Na pozór to był prosty gest, ale niezwykle intymny. Cameron oddychała coraz szybciej.

- Przyznaj się, myślałeś o mnie i o tamtej nocy, którą spędziłeś w moich ramionach.

Policzki paliły ją ze wstydu. Żaden dżentelmen nie odważyłby się wspomnieć o czymś takim. To było niestosowne. Milczała, kiedy zdjął jej drugą rękawiczkę i obie rzucił za siebie, a także gdy musnął palcami jej dłonie...

Obląła ją fala gorąca.

Zarzuciła mu ręce na szyję i wplotła palce w ciemne włosy. Pozwoliła, żeby zasypał drobnymi pocałunkami jej szyję.



- Myślałaś o mnie?

Nie mogła mu tego powiedzieć, wyznać, jak bardzo za nim tęskniła. Być może była trochę lekkomyślna, ale na pewno nie głupia. Nie chciała po raz kolejny poczuć się odtrącona. Obawiała się, że tym razem tego nie wytrzyma.

- Muszę ci się do czegoś przyznać - szepnął jej do ucha. -

Przyszedłem tu, bo wiedziałem, że twoje nazwisko znajduje się na liście gości. Nie dostałem oficjalnego zaproszenia.

- Zwykły drań z ciebie.

- To już dawno ustaliliśmy.

W jego oczach czaił się cień pożądania. Po co się oszukuję? - pomyślała Cameron. Na dobrą sprawę między nimi nic się nie zmieniło.

- Dobrze, mała awanturnico - powiedział Jackson. Był zły, a jednocześnie jakby rozbawiony. - Nic więcej nie musisz mówić. Twoje ciało robi to za ciebie.

Cameron chciała zaprotestować, kiedy zbliżył usta do jej piersi.

- Jesteś taka piękna, stworzona do miłości.

Nieoczekiwanie zdjął ją z kolan, a sam klęknął na podłodze przed kanapą. Cameron ze zdziwienia zrobiła wielkie oczy. Co on wyprawia? Próbowała wstać, ale Jackson natychmiast ją przytrzymał. Jęknęła cicho, kiedy zanurzył twarz w bezmiarze jej szeleszczących spódnic.

- Jackson! - wykrzyknęła Cameron wstrząsana rozkoszą.

Po dłuższej chwili wstał, usiadł na kanapie i objął ją ramieniem. Dopiero wtedy z wolna wróciła do rzeczywistości.

- Pragnę cię - powiedział, całując jej policzki i skronie. - Nawet nie wiesz, jak bardzo. Pragnę cię całej...

- Nie tutaj - oznajmiła stanowczo, znowu opanowana. - Nie teraz.

- Wiem.

- Chodź ze mną - powiedział. - Do mojego hotelu.

Ona też tego chciała. Pragnęła kochać się z nim, zanim wojna na dobre ich rozdzieli. Wszystko w jej życiu zmierzało w złą stronę, ale miała nadzieję, że przynajmniej tym razem będzie trochę inaczej.

Chciała spędzić z nim tę jedną, jedyną noc. W tym momencie pomyślała o Elmwood i o niewolnikach. Przyjechała tu, żeby spotkać się z agentem „podziemnego pociągu”, a nie na płóche zabawy z Jacksonem Loganem. Odepchnęła go.

- Proszę cię, Jackson, puść mnie.

Zdziwiony nagłą zmianą w jej zachowaniu, wyprostował się i przeczesał dłonią rozwichrzone włosy.

- Cameron...

Uniosła dłoń na znak, żeby nic nie mówił. Czowała, że jeśli pozwoli mu dokończyć, jednak pójdzie z nim do hotelu. Poprawiła suknię. Zastanawiała się, gdzie mogą być rękawiczki.

- Nic już nie mów. Błagam - nalegała pospiesznie. - Przykro mi, ale naprawdę nie mogę z tobą iść. W ogóle nie powinnam była tu przychodzić.

Jackson przyglądał się jej z nadąsaną miną.

- Drażnisz się ze mną - rzekł z goryczą. Podniosła się z kanapy.

- Nie chciałam, żeby tak wyszło. Naprawdę. - Zobaczyła na

podłódze jedną rękawiczkę. Podniosła ją. - Przepraszam.

Jackson założył nogę na nogę, odchylił głowę do tyłu i ponownie przesunął palcami po włosach.

- Wiesz, co teraz powinienem zrobić? Zamknąć te cholerne drzwi i rozebrać cię do naga.

Cameron zadrżała ze strachu i bezwiednie zrobiła krok do tyłu.

- Proszę bardzo! Możesz się na mnie gniewać. Nie zamierzam zrobić ci krzywdy. Mówię tylko to, co naprawdę myślę. Rozpieszczona córeczka senatora nie chce pogodzić się z tym, że stała się dojrzałą kobietą, która pragnie miłości. Wolałabyś, żebym wziął cię siłą, byleby tylko nie mieć wyrzutów sumienia. - Skrzywił się i odwrócił wzrok. - Nie zrobię tego. Nie sprawię ci tej przyjemności. Jeśli mnie pragniesz, następnym razem sama do mnie przyjdiesz.

Westchnęła. Mam iść z nim? - pomyślała. Prędzej mnie piekło pochłonie.

- Znajdą się chętni. Ja na tym nie stracę.

Podniosła drugą rękawiczkę, udając, że go nie słucha. To, co mówił, nie miało najmniejszego sensu. Był zły, bo nie dostał tego, czego pragnął. Nie chciała, żeby wziął ją siłą. W ogóle go nie chciała. Po prostu była przygnębiona śmiercią ojca i dziwnym zachowaniem Granta, a Jackson Logan w okrutny sposób wykorzystał jej chwilę słabości. Poprawiła włosy.

- Muszę wracać do gości, zanim ktoś zacznie mnie szukać.

- To idź. - Wskazał drzwi.

Westchnęła, próbując zapanować nad nagłym wzruszeniem.

- Jackson... - Naciągnęła jedną rękawiczkę. Gdyby tylko potrafiła o nim zapomnieć, wszystko stałoby się prostsze. - Podejrzewam, że już nigdy się nie zobaczymy. Zresztą wiesz o tym.

Patrzył na nią uważnie. Na jego twarzy wciąż malował się grymas niezadowolenia.

- Mam przez to rozumieć, że w końcu zmądrzałaś i wyjedziesz do Nowego Jorku?

- Nigdy nie byłam głupia - odparła oschle. - Muszę doprowadzić kilka spraw do końca. - Wzruszyła ramionami. - W tym miejscu nasze drogi się rozchodzą.

Jackson jak oparzony zerwał się z kanapy.

- Co to niby za sprawy? Nie rozśmieszaj mnie! Coś knujesz, prawda?

Cameron zadrżała, kiedy podszedł bliżej.

- Nic ci nie powiem.

- Chodzi o niewolników? - Rzucił okiem na drzwi. - Twój brat wie o tym?

Ze złością naciągnęła drugą rękawiczkę.

- Daj mi spokój. Jeśli pozwolisz - wygładziła suknię - chciałabym dołączyć do reszty gości.

Obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku drzwi.

- Masz pojęcie, w co się pakujesz? Ściągniesz na siebie kłopoty. Słyszysz?! - krzyknął za nią Jackson. - Ojciec już ci nie pomoże.

- Dobranoc, kapitanie Logan. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Szlag by to trafił - wymamrotał Jackson.

Uderzył pięścią w mahoniowy stół tak mocno, że przewrócił małe puzderko z porcelany. Potoczyło się po blacie. Złapał je, żeby nie spadło na podłogę, i spojrział na drzwi. W pierwszej chwili miał ochotę wybiec za Cameron. Prawdopodobnie nawet nie wiedziała, jakie niebezpieczeństwo czyha na nią w Missisipi. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby przekonać tę lekkomyślną dziewczynę, że to nie przelewki. Nie zdawała sobie sprawy z tego, ilu wrogów miał jej ojciec w Kongresie. Och, gdyby tylko zechciała go posłuchać.

W pokoju wciąż unosił się lekki zapach perfum. Jackson miał ochotę bić głową o ścianę. Czyżby stracił resztki zdrowego rozsądku? Co go obchodzi jakaś tam Cameron? Jest tylko córką zmarłego przyjaciela. Rzeczywiście piękna, wręcz fascynująca, ale w Missisipi pełno równie atrakcyjnych kobiet.

- Bzdury - zganił sam siebie. - Panna Cameron Campbell jest jedyna w swoim rodzaju.

Stanął za biurkiem i nalał sobie szklaneczkę brandy. Pomyślał o senatorze i ogarnęło go uczucie nostalgii. Bardziej, niż się spodziewał, tęsknił za starym przyjacielem. Zawsze mógł na nim polegać. Wypił następny łyk brandy. Próbował zapanować nad emocjami, a tu nagle zebrało mu się na sentymenty. Stał w obliczu trudnego zadania. Nie mógł przejmować się Cameron Campbell i jej niewolnikami. Nie miał też czasu, aby rozmyślać o jej słodkich ustach i cudnym spojrzeniu. W kraju szalała wojna, a miesiąc temu otrzymał z Waszyngtonu konkretne instrukcje.

Odstawił szklaneczkę i znów spojrzał na drzwi. Ciekawe, dokąd poszła Cameron? - pomyślał. Skąd ten nagły pośpiech? A może ma kogoś? Może za tym wszystkim stoi inny mężczyzna? Niezameężnej, osieroconej pannie musi być bardzo ciężko. Był pewien, że Cameron potrzebowała silnego kochanka lub męża.

On sam, niestety, nie widział się w tej roli. Ze względu na liczne obowiązki nie mógł sobie pozwolić na żonę. Roześmiał się głośno. Żona? Co mu przyszło do głowy? Niechętnie przypomniał sobie zdarzenia sprzed sześciu lat, kiedy Cameron była jeszcze młodą panienką. Wiedział, czym zasłużył na jej niechęć.

Usiadł na kanapie i przyglądał włosy. Musiał pozbierać myśli. Na werandzie czekał na niego żołnierz z wiadomością od Smitty'ego, a on wciąż miał głowę zaprzątniętą czym innym.

Tak, Cameron z pewnością potrzebuje męża...

Ta myśl napawała go przedziwnym żalem.

Cameron trzymała w drżącej dłoni filiżankę ponczu i patrzyła, jak goście bawią się przy znajomych rytmach. Atmosfera stawała się coraz bardziej beztroska. Ludzie byli rozbawieni, a niektórzy z nich z pewnością wypili więcej, niż powinni. Kobiety śmiały się i otwarcie flirtowały. Młodzi mężczyźni wypinali pierś, dumni, że noszą szare mundury konfederatów.

Cameron westchnęła. Była smutna i zmęczona. Miała ochotę wrócić do domu, ale do tej pory nie skontaktowała się z tajemniczym Jamesem. Przyglądała się każdemu mężczyźnie i zastanawiała, który z

nich jest tym właściwym.

Skończył się jeden taniec, zaczął następny. Cameron powoli przeszła do gabinetu po nową porcję ponczu. Wprawdzie nie chciało jej się pić, ale musiała czymś się zająć, żeby nie myśleć o Jacksonie. Łajdak! Jak to się stało, że zwabił ją do tego pokoju? Jak mogła pozwolić, żeby znów ją pocałował? Było jej wstyd. Kiedyś na pewno przyjdzie mi zapłacić za te wszystkie grzechy, pomyślała.

- Panno Campbell.

Odwróciła się na dźwięk łagodnego męskiego głosu. W pokoju nie było nikogo oprócz służącego, który uzupełniał lód w misce z ponczem. Przez chwilę przyglądała się staremu czarnoskóremu mężczyźnie. Karnie spuścił wzrok, ale poruszał ustami. Musiała wyteńczyć słuch, żeby zrozumieć, co mówi.

- Panna Campbell, prawda? Kiwnęła głową.

- Proszę się odwrócić. Tacy jak pani nie powinni ze mną rozmawiać. Ktoś mógłby nas zobaczyć

Odwróciła się natychmiast i podniosła szklanekę do ust.

- Słucham.

- Potrzeba pani kilku nazwisk i miejsc.

- Zgadza się. Murzyn zachichotał.

- Moja matka zwykła mówić: dobry biały człowiek to martwy biały człowiek. Czułem, że się myliła. - Znowu cicho się roześmiał. - Mogę pani pomóc. Stary Jamie zawsze wie, co robi.

- Naomi!

Murzynka poczuła ulgę, kiedy usłyszała znajomy głos.

Barczysty mężczyzna o skórze czarnej jak węgiel wychylił się zza cyprysu. Podeszedł do niej z szeroko rozwartymi rękoma.

- Manu!

Naomi pobiegła bosą przez trawę, łapczywie chwytając powietrze w płuca. Manu złapał ją w silne ramiona i mocno przytulił.

- Mgła jak nad Krobo! Już myślałam, że dopadły cię psy. -  
Zasypała jego twarz słodkimi pocałunkami. - Czekałam tu pół nocy.

- Przepraszam, najdroższa.

Przywarł ustami do jej szyi. Wziął ją na ręce tak, że nogi zwisały jej nad ziemią. Naomi odchyliła głowę do tyłu i rozkoszowała się gorącymi pocałunkami, którymi obsypał ją Manu.

- Myślisz, że Manu umie tak szybko biegać? - Zapytał, stawiając ją z powrotem na ziemi. - Od Atkin's Way do Elmwood jest siedem mil.

Naomi wzięła go za rękę i posadziła na bawełnianym kocu, który rozłożyła pod drzewem. To drzewo stało się jej domem, odkąd zaczęła spotykać się z Manu. Był jej miłością, jedyną, prawdziwą. Poznali się w Elmwood i zakochali w sobie od pierwszego wejrzenia. Od tej pory spotykali się nocą kilka razy w tygodniu. Gdyby Grant wiedział, że Naomi oddała się od domu, czekałaby ją porządna chłosta. A Manu? Mógłby nawet zginąć.

Naomi nieraz go prosiła, żeby przychodził trochę rzadziej, ale odmówił. Bała się o niego, lecz jednocześnie była wdzięczna, że ma



kogoś bliskiego sercu. Panicz Grant jest okrutny. Wiele razy miała ochotę rzucić na niego klątwę, żeby nie sprawiał jej więcej kłopotu. Nie zdecydowała się na to tylko dlatego, że spełniał jej zachcianki. W ten sposób zdobywała dla swoich pobratymców leki i ubrania. Szybko wydorosła. Dobrze wiedziała, że szczególnie teraz, w obliczu krwawej wojny, jej związek z Grantem jest na wagę złota. Manu posadził Naomi obok siebie. Roześmiała się głośno.

- Długo czekałaś? - zapytał.

- Godzinami. Panicz Grant i panna Cameron pojechali na przyjęcie. Przybiegłam tu, jak tylko skończyłam oporządzać konie.

- Panicz Grant - burknął Murzyn - wyrwę mu serce gołymi rękami.

- Manu...

Zacisnął potężną pięść.

- Mógłbym to zrobić. Pogłaskała go po policzku.

- Wiem, wiem - szepnęła. - Nie zwracaj sobie nim głowy.

Owinęłam go sobie wokół małego palca.

- Chyba wokół czegoś innego.

Naomi uderzyła go w twarz i spojrzała w jego czarne oczy.

Odbijało się w nich światło gwiazd. Choć mocno się przed tym broniła, łzy napłynęły jej do oczu.

- To boli, kiedy tak mówisz, i to bardzo. - Ujęła go za rękę i przyłożyła do własnej piersi, tam, gdzie jej serce biło tylko dla niego.

- Przepraszam. Przepraszam. - Objął ją i mocno przytulił. - Nie mogę znieść, że ten łajdak dotyka moją małą.

Kołysał ją w ramionach niczym dziecko. Naomi oparła głowę na jego piersi. Pachniał tak słodko. Czowała bijący od niego zapach ziemi, spokojnej nocy i nadziei. Tak, Manu jest jej nadzieją. Musnęła ciemną skórę na jego brzuchu.

- Robię jedynie to, co muszę. Nie cierpię tego białego diabła i jego gości.

- Wiem. - Pocałował ją w czoło.

- Teraz jest nam jeszcze bardziej potrzebny. Trzymam go z dala od tego, co chce zrobić panna Cameron.

- Manu się martwi - powiedział. - Nie wie, czy można jej ufać. Dziewczyna ma zadarty nos i dziwny kolor włosów.

Naomi uśmiechnęła się. Wierzyła, że kiedyś odejdą razem do innego kraju, gdzie będą wolni i szczęśliwi. Czowała, że dzięki ludziom takim jak panna Cameron spełnią się ich marzenia.

- Mówiłam ci to już nieraz. Z zadartym nosem, ale zawsze była dla mnie dobra. Ufam jej. Na pewno nas wypuści. Nieważne, co gada Panicz Krótka Noga.

- Zna imię Jamesa. Może komuś wygadać.

- Nie wygada. To najmądrzejsza białaska, jaką znam. - Pogładziła jego umięśniony tors. Kiedy Grant brał ją do łóżka, myślała o Manu. - Ma dobre serce - dodała, wciąż mówiąc o Cameron. - Znam się na ludzkich sercach. Widzę ich barwę.

Manu pocałował Naomi prosto w usta i rozpiął spodnie.

- Cicho. Wiesz, że Manu boi się twoich czarów.

- Och - westchnęła Naomi - nie bój się, mój chłopaku.

Położył dłoń na jej wydatnej piersi.

- A teraz chodź i daj Manu, co tam masz dobrego.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Tutaj jesteś. Chyba nie chowasz się przede mną? - spytał Grant, kuśtykając w stronę Mulatki

Taye złękła się, ale nie chciała pokazać po sobie strachu. Odsunęła się i patrzyła na czubki swoich pantofli, wystające spod żółtej sukienki. Miała nadzieję, że Grant po prostu przejdzie obok, ale zatrzymał się tuż przed nią. Oparła się o ścianę, wciąż unikając jego wzroku.

- No co? - odezwał się tonem marudnego dziecka. - Nawet nie porozmawiasz ze mną?

- Mam swoje obowiązki - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Moja mama ostatnio nie czuje się najlepiej.

Grant spochmurniał. Oparł się ręką o ścianę, odcinając jej drogę ucieczki.

- Słyszałem, że od kilku dni nie wstaje z łóżka. Ma gorączkę? Taye potrząsnęła głową. Spojrzenie Granta było zimne jak lód. Nie, raczej jak śmierć. Źrenice były pozbawione życia.

- Myślę, że jest przepracowana. Bardzo szybko się męczy.

- Skoro nie może pracować, to jest nam całkiem niepotrzebna.

Mój ojciec był zdecydowanie zbyt pobłażliwy.

Taye wiedziała, że w takich chwilach lepiej siedzieć cicho, ale tym razem nie potrafiła milczeć.

- Moja mama jest wolną kobietą. Pracowała dla senatora jako gospodyni i dostawała za to godziwe pieniądze.

- Poza tym dostarczała mu wiele przyjemności.

Nie myśląc o konsekwencjach, Taye zamachnęła się i uderzyła Granta w twarz.

Mruknął coś pod nosem i oddał jej otwartą dłoń. Cios był bolesny, ale nie tak jak obelga pod adresem matki.

- Za kogo ty się uważasz, do ciężkiej cholery?! - wrzasnął Grant i złapał Taye za ramiona.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Posłuchaj, mała. Jestem panem Elmwood. Zdajesz sobie sprawę, że za napaść na pana grozi chłosta? Do diabła! - Splunął. - Takich jak ty czeka stryczek.

Zwolnił uścisk, ale nadal ją trzymał. Taye odwróciła głowę i modliła się, żeby jak najszybciej pojawiła się Cameron albo Naomi. Sama bała się odezwać. Nienawidziła Granta bardziej niż kogokolwiek innego na tej ziemi. Napawał ją obrzydzeniem. Grant ujął ją pod brodę i zmusił, żeby spojrzała mu prosto w oczy.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! Zaprowadzę tu w końcu porządek, słyszysz?!

Taye powoli pokiwała głową.

- Możemy to zrobić na siłę albo po dobroci. - Zsunął rękę z jej

ramienia. - Wolałbym, żeby było po mojemu. Wiesz, czego pragnę, więc nie musisz zgrywać niewiniątka. - Mocno uszczypnął Taye w pierś. Krzyknęła. Drugą ręką szybko zasłonił jej nos i usta. Źrenice Taye rozszerzyły się ze strachu, kiedy odciął jej dopływ powietrza. - Cicho - szepnął. - Tak lepiej. Nie chcę cię skrzywdzić. - Odsunął dłoń, żeby mogła złapać oddech, i spojrzał w głąb korytarza. - Nie musisz wzywać pomocy. - Przysunął się do niej bliżej. Jego twarz była wykrzywiona ze złości.

Taye popatrzyła na niego z przerażeniem. W jego oczach było coś, co przywodziło jej na myśl dzikie zwierzę. Łzy spłynęły jej po policzkach. Zastanawiała się, dlaczego tak bardzo jej nienawidzi. Dlaczego? Przecież nie zrobiła mu nic złego.

- Cameron zawsze cię ratowała - ciągnął. - Zawsze...

- Nic nie rozumiem - wyjąkała Taye.

- Nie rozumiesz?! - warknął i znów rozejrzał się po korytarzu. -

Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz tamtego dnia w młynie?

Potrząsnęła głową. Nie mogła powstrzymać łez. Dobry Boże, gdzie podziała się Cameron?

- Pozwól, że odświeżę ci pamięć. - Złapał ją w pasie i pociągnął za sobą wzdłuż korytarza. Taye chciała krzyknąć, ale zanim zdążyła to zrobić, Grant szepnął jej do ucha: - Spróbuj pisnąć choć słówko, a upokorzę cię przed wszystkimi domownikami.

Taye zacisnęła usta.

Grant szedł pomału, ciągnąc za sobą chorą nogę. Było mu ciężko, ale dał sobie radę. W pokoju zamknął drzwi i posadził ją na krześle.

- Naprawdę nic nie pamiętasz?

Przecząco pokręciła głową. Miała wtedy osiem lat. Pamiętała wypadek koło młyna, ale wspomnienie było tak mgliste, że równie dobrze mogło dotyczyć kogoś zupełnie innego. Tamtego dnia wpadła do wody, a nie umiała pływać. Nie była jednak pewna, czy chodzi o to samo zdarzenie.

- Pozwól zatem, że ci przypomnę. - Grant uśmiechnął się szyderczo. - Wyobraź sobie to słoneczne czerwcowe popołudnie, okropny upał. Byliśmy jeszcze dziećmi. W powietrzu brzęczały muchy i unosił się ciężki zapach rzeczno-mułowy.

Taye zamknęła oczy. Dziecięce wspomnienia nabierały kształtu.

- Cameron i ja szliśmy wzdłuż drogi prowadzącej do młyna. Mieliśmy ochotę trochę poplaskać się w wodzie, poskakać po mokrych kamieniach. Dumny senator siedział w domu i szykował się na bal. Zwykle mijało kilka godzin, zanim ktoś nas znalazł i odprowadził do domu.

Grant zamyslił się, ale po chwili podjął przerwany wątek:

- Jak zazwyczaj była z nami mała „przyjaciółka” mojej siostry. Cameron zabierała ją wszędzie, jak wiernego pieska.

Te słowa były dla Taye jak kolejny policzek. Poruszyła się, żeby wstać z krzesła. Nie zamierzała tego dłużej słuchać, lecz Grant złapał ją za ramię i posadził z powrotem. Szarpnął nią tak mocno, że uderzyła głową w oparcie.

- Siedź! - warknął.

Taye posłusznie skinęła głową. Nie pozostało jej nic innego, jak

czekać, aż Cameron wyjdzie ze stajni i zacznie jej szukać.

- Tak jak mówiłem - kontynuował Grant - mała Taye ciągle łąziła za nami, ale z trudem dotrzymywała nam kroku. Miała może z siedem albo osiem lat. - Uśmiechnął się do siebie. - Była drobna. Miała kakaowomleczny odcień skóry, błękitne oczy i maleńkie, różowe usta.

Żołądek podszedł Taye do gardła. Sposób, w jaki opisywał ją Grant, napawał obrzydzeniem. Domyślała się, że Grant jej pragnął, kiedy stała się piękną młodą dziewczyną. Ale to, że patrzył na nią tak, gdy była jeszcze dzieckiem...

- Miałem wtedy czternaście lat i czułem się mężczyzną. Ojciec powierzył mi kilka obowiązków. Zaufał mi.

- Cam! Cam, zaczekaj na mnie! - wołała Taye, biegnąc boso po piaszczystej drodze.

Cameron odwróciła się i zwolniła.

- Chodź - machnęła ręką - poczekamy.

- Dlaczego nie zostawisz jej w domu? - narzekał Grant. - Jest niezdolna.

Cameron zatrzymała się, odrzuciła do tyłu kręcone włosy i wzięła się pod boki.

- Skoro ci tak spieszno, idź sam.

Grant stanął i z całej siły kopnął kamyk, który leżał na drodze. Patrzył, jak turla się i uderza w drzewo.

- Obiecałaś, że zrobimy zawody. Mieliśmy się ścigać po kamieniach.

- I tak cię pokonam. Jestem lepsza od ciebie - zuchwale odrzekła Cameron.

- Nie jesteś!

- Jestem.

Dał jej lekkiego kuksańca.

- Nie.

- Przestań - powiedziała Cameron, patrząc na niego wilkiem. - Jak będziesz niegrzeczny, to pójdziemy z Taye do domu i sam będziesz się bawił.

Grant warknął coś pod nosem i poszedł dalej. Żałował, że mama nie urodziła mu brata. Byłby jego najlepszym przyjacielem. Nie to co ona, pomyślał pod adresem siostry. Cameron zawsze uważała, że jest od niego lepsza. Poskarżyła się papie, kiedy pociął jej fartuch i schował kałamarz.

- Dobra! - prychnął. - Spotkamy się w młynie. Tylko szybko.

Poszedł prosto przed siebie, nie czekając na dziewczęta. Kilka minut później, kiedy siedział na pomoście w pobliżu młyna, pojawiła się Taye. Przycupnęła obok niego. Grant patrzył na jej krótkie brązowe nóżki, zwisające nad wodą.

- Gdzie Cam? - zapytał, nie patrząc na nią. Biali ludzie nie patrzyli czarnym w oczy. Nie było takiej potrzeby.

- Poszła wysusiać się do lasu - odparła Taye swoim dźwięcznym głosem.

Grant spojrział na nią ukradkiem. Nienawidził jej za to, że Cameron jej nadskakiwała, i za to, że panoszyła się po jego domu.



Zachowywała się tak, jakby była dzieckiem senatora, a nie córką służącej. Jednak gdzieś w głębi duszy trochę ją lubił. Podobał mu się kolor jej skóry, która przywodziła mu na myśl poranną kawę z odrobiną śmietany, oraz łagodny dźwięk głosu i nadzwyczajnie błękitne oczy.

Czasami, kiedy nie było nikogo w pobliżu, Grant z zainteresowaniem przyglądał się Taye. Uważał, że ma najpiękniejsze usta na świecie, i zastanawiał się, jak smakują. Już całował się z kobietami. Raz zrobił to z Anne Cally podczas wiosennego balu. Czasami też zmuszał do tego niewolnice.

Rzucił okiem na Taye i ostrożnie położył rękę na jej kolanie.

Spojrzała na niego i zmarszczyła czoło.

- Zabieraj łapę. - Klepnęła go w dłoń.

Grant był nieustępliwy. W końcu był synem pana i nikt nie mógł mu rozkazywać. Nikt oprócz jego ojca.

Taye ze złością wymachiwała nóżkami.

- Przestań - powiedziała, wykrzywając słodkie usteczka. -

Wszystko powiem Cameron. Da ci w nos, zobaczysz!

- Wszystko powiem Cameron! - przedrzeźniał Grant i dalej trzymał rękę na jej kolanie.

Rozejrzał się dookoła. W pobliżu nie było nikogo. Słyszał głosy pracujących w młynie Murzynów, ale wyglądało na to, że są za daleko. Cameron Jeszcze nie wyszła z lasu. Spojrzał w bladoniebieskie oczy Taye i przesunął rękę nieco wyżej. Był ciekaw, czy Mulatka trochę się przestraszy. A może jej się to spodoba?

- Przestań - powiedziała Taye, próbując odsunąć jego rękę. -  
Przestań, Grant. Zobaczysz, że wszystko powiem!

Wsunął dłoń pod rąbek jej kwiecistej sukienki.

Nie wiedział, co się właściwie stało. Taye siedziała obok niego na pomoście, a już po chwili rozwścieczona uderzyła go pięścią w brodę i spadła do wody. Grant wołał o pomoc i próbował ją złapać, ale nie mógł dosięgnąć. Taye krzyknęła na całe gardło. A później Grant usłyszał swój własny krzyk.

Rozległ się plusk.

Grant biegał jak opętany, wymachując rękami. Nie wiedział, co zrobić. Od Taye dzieliły go ze dwa, trzy jardy. Dziewczynka krzyczała głośno. Oczywiście, jak większość czarnych, nie umiała pływać. Wynurzała się, to znów znikwała w wodzie.

- Och, Boże - wymamrotał. Bał się za nią skoczyć. Tu było za głęboko. Mógł sobie coś zrobić. Rozejrzał się, ale nadal nikogo nie widział. Gdzie są ci niewolnicy, którzy pracowali w młynie? Czyżby nie słyszeli wołania o pomoc? A jeśli nie zdążą. Wszystko zwałą na mnie, pomyślał Grant. Powiedzą, że to przeze mnie czarna się utopiła. Postanowił uciec do domu. Nie mógł tak stać beczynnym i słuchać wołania tonącej Taye. Chciał wrócić do siebie i schować głowę pod poduszkę. Łzy napłynęły mu do oczu. Wtedy usłyszał, że ktoś biegnie.

- Co się stało?! - zawołała Cameron.

Grant spojrzał na siostrę. Nie wiedział, co jej powiedzieć. Był przerażony.

- Taye? - krzyknęła Cameron. - Taye?!

Potrafił tylko kiwnąć głową.

Cameron pobiegła w stronę pomostu. Grant odwrócił się w porę, żeby zobaczyć, jak jego siostra bez namysłu skacze do głębokiej wody. Kiedy zniknęła mu z pola widzenia, zastanawiał się, czy przypadkiem nie skręciła karku. Usłyszał plusk i rozpaczliwe nawoływanie Cameron, a potem - dzięki Bogu! - słodki głosik Taye.

Po chwili postanowił wrócić. Kiedy dotarł do pomostu, Cameron już wyciągnęła Taye na brzeg. Dziewczynka pluła wodą. Cameron położyła ją na trawie.

- Co się tutaj dzieje? - Nagle zjawił się jeden z niewolników, pracujących w młynie. Ni stąd, ni zowąd, grupka czarnych otoczyła Granta.

- Co tu robicie? - zapytał drugi.

- Córka Sukey wpadła do wody! - zawołał trzeci

- Jest cała przemoczona!

- Chyba nic jej się nie stało. Grant słyszał tylko strzępki zdań.

Kręciło mu w głowie. Miał ochotę uciec lub zapaść się pod ziemię.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnęła na niego Cameron. Wzięła Taye pod ramię. - Niewiele brakowało, żeby się utopiła!

Jakiś niewolnik dał krok w bok, żeby zrobić Grantowi przejście. Reszta wciąż uważnie mu się przyglądała. Żaden z nich nie odważył się na głos go oskarżyć, ale w gruncie rzeczy to było niepotrzebne. Ich myśli były wyraźnie wypisane na czarnych obliczach.

Na drodze rozległ się stuk kopyt. Grant uniósł głowę i zobaczył nadjeżdżającego ojca. Senator Campbell zjawił się niczym jakiś

rzymski bóg na wielkiej chmurze.

- Co tu robicie? - spytał groźnie.

Jak zwykle był nieskazitelnie ubrany. Miał jasne bryczesy i idealnie dobrany surdut.

- Córka Sukey spadła z pomostu, panie - padła odpowiedź z grona niewolników. - Na szczęście nic jej się nie stało, panie.

- Tak! - krzyknęła Cameron. - To zasługa Granta.

Zostawiła Taye pod czujną opieką jednej z niewolnic i podeszła do brata. Popchnęła go na oczach ojca.

- Dlaczego jej nie ratowałeś? Chciałeś, żeby utonęła?

Grant też ją popchnął.

- Co ty wprawiasz, chłopcze?! - wybuchnął senator. - Podnosisz rękę na kobietę?

Zsiadł z konia i stanął pomiędzy nimi.

- A ty, panienko - zwrócił się do Cameron - panuj nad emocjami.

W naszej rodzinie nigdy nie było przemocy.

David Campbell odwrócił się w stronę syna. W tej chwili sprawiał wrażenie olbrzyma.

- Słucham - powiedział surowym głosem.

- Powiedz mu! - wrzasnęła Cameron. - Powiedz co chciałeś zrobić, kiedy Taye wpadła do wody!

Grant miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Niewolnicy wzdychali głośno.

- Może ja powiem - ponownie odezwała się Cameron. - Nic nie zrobił! Zostawił ją, żeby utonęła.

Grant poczuł na sobie palące spojrzenie ojca Nigdy w życiu tak się nie wstydził. Czuł się upokorzony.

- Nie próbowałeś jej ratować? - zapytał senator zwodniczo łagodnym głosem.

- Panienska Cameron skoczyła za nią do wody panie - zuchwale oznajmił jeden z niewolników.

- Synu? - powiedział senator. - Zadałem ci pytanie.

Grant nie potrafił spojrzeć ojcu w oczy. Wciąż milczał.

- Przecież umiesz pływać - z niechęcią stwierdził senator.

- Ona... ona spadła z pomostu - bełkotał Grant.

Nie wiedział, jak to wytłumaczyć. Nie chciał, żeby coś się stało Taye. Kochał ją. - Tam... tam jest wysoko.

- A więc mój syn jest tchórzem. To chcesz mi powiedzieć?

- Pap... - Grant próbował się nie rozplakać. W oczach ludzi Południa tchórzostwo było równoznaczne z przestępstwem.

- To chcesz mi powiedzieć, synu?! - zagrzemiał ojciec.

Wszyscy Murzyni z niechęcią patrzyli na Granta. „Tchórz!” - to jedno straszne słowo nieustannie huczało echem w głowie chłopca.

Chciał krzyknąć: „Nie jestem tchórzem! Przecież nie będę ryzykował życia dla jakiejś Murzynki!”.

- Zejdź mi z oczu! - rozkazał senator. - Splamiłeś nazwisko Campbellów.

Odwrócił się. Podniósł Taye i posadził na koniu. Potem wziął pod ramię przemoczoną córkę i wszyscy odeszli.

- Nie jestem tchórzem! - wrzasnął za nimi Grant.

- Zobaczysz, kiedyś ci to udowodnię!

- Taye mówiła, że chcesz się ze mną widzieć.

- Cameron weszła do dawnego gabinetu ojca.

Grant wyglądał, jakby był pijany. Miał czerwoną i spuchniętą twarz. Zdjął surdut i poluźnił fular.

- Owszem. Chcę z tobą porozmawiać. - Podeszedł do okna i otworzył je na oścież. - Chyba przestałem rozpaczać po śmierci ojca i postanowiłem zająć się tym, co do mnie należy.

Trudno nazwać żałobą całodniowe picie w towarzystwie młodych kobiet, pomyślała Cameron, jednak nie pozwoliła sprowokować się do kolejnej kłótni.

- Mogę ci w tym pomóc - powiedziała ostrożnie. - Jak wiesz, prezydent Lincoln wprowadził embargo na towary z Północy. Wkrótce skończą nam się zapasy. Zapewne, twoim zdaniem, wojna nie potrwa długo, ale musimy przygotować się na najgorsze.

Pokiwał głową.

- Doczytałem się w księgach - wskazał na oprawiony w skórę notatnik leżący na biurku - że zaczęłaś sprzedawać trochę naszych rzeczy.

Przyglądała mu się uważnie.

- Znalazłam uczciwego kupca. Pomyślałam sobie, że to niezły pomysł.

- Tak, tak. Dobrze zrobiłaś. - Grant odwrócił się do siostry. - Przydadzą nam się pieniądze.

Podszedł do starego sekretarzyka, który kiedyś należał do ich babci. Tam ojciec trzymał najważniejsze dokumenty: tytuł własności Elmwood, testament i prawo do niewolników. W pokrywie biurka była wbudowana ukryta przegroda.

Grant wyjął jedną z książek i zaczął przerzucać ją strona po stronie. Zawarte były w niej imiona wszystkich niewolników. Cameron już dawno przestała łudzić się nadzieją, że kiedykolwiek pójdzie w ślady ojca. Nie miała pojęcia, o czym brat chciał z nią rozmawiać.

- Trudno będzie nam utrzymać dotychczasowy styl życia. Potrzebne nam pieniądze. Zamierzam zamknąć Elmwood i wyprowadzić się do Baton Rouge. - Zatrzasnął rejestr. - Ale nie po to cię wezwałem. Elmwood to teraz wyłącznie moje zmartwienie. Musimy raczej porozmawiać o twojej przyszłości.

Cameron zwilżyła językiem suche usta.

- O mojej przyszłości?

- Musisz coś zrobić ze swoim życiem. Wszyscy wiemy, że papa rozpieszczał cię ponad wszelką miarę. Najwyższa pora, żebyś wyszła za mąż.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Cameron nie spuszczała wzroku z brata. Poczowała lekki zawrót głowy, jakby przed chwilą zsiadła z narowistego konia. Ostatnio mało spała i jadła też niewiele, żeby starczyło dla wszystkich. Oparła się o skórzany fotel ojca.

- Mam wyjść za męża?

Grant zmarszczył brwi. Przez ostatnie tygodnie znacznie przybrał na wadze, a raczej spuchł od ciągłego picia. W tej chwili przypominał tuczego prosiaka. Fałdy skóry zwisały mu wokół szczęki, tworząc podwójny podbródek. Tak, zdecydowanie wyglądał jak prosię. Wystarczyło go upiec i wsadzić mu w usta soczyste jabłko.

- Głucha jesteś? - Usiadł za biurkiem ojca. - Tak. Musisz wyjść za męża.

- Chyba żartujesz? - Odgarnęła włosy ze spoconej twarzy. - Grant, postradałeś rozum? Nasz ojciec nie żyje. Straciliśmy źródło utrzymania. Nasze życie się rozpada, a ty chcesz ze mną rozmawiać o ślubie?

- Wcześniej czy później trzeba się tym zająć - zadrwił Grant, kładąc nogi na biurku. Miał zabłocone buty. David Campbell nigdy nie wszedłby do domu w brudnych butach.

Cameron podeszła do półki z książkami. Prawdę mówiąc, w ogóle nie myślała o ślubie. Z samej hodowli koni miałyby dość pieniędzy, żeby się utrzymać. Nie szukała męża. Wszyscy mężczyźni



byli w gruncie rzeczy podobni do Jacksona. Niegodni jej zaufania. Jednak zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinna mówić o tym bratu. Nagle straszliwe podejrzenie przyszło jej do głowy.

- Chyba nie zaproponowałeś nikomu mojej ręki?

Grant popatrzył na nią gniewnie.

- Nie! Myślisz, że nie mam co robić, tylko bawić się w swata?

Cameron z poczuciem ulgi przysiadła na skórzanym fotelu.

Zatem na razie miała święty spokój.

- A niby kogo miałabym poślubić? - spytała ze znużeniem w głosie. - Kto by mnie zechciał?

Mimo woli pomyślała o Jacksonie - o jego szarych oczach, zmysłowych ustach, skrzywionych w ironicznym uśmiechu, o ciemnych włosach i szerokich ramionach. Roześmiała się. Co jej przyszło do głowy? Cameron Campbell i Jackson Logan? Pasowali do siebie jak pięść do oka.

Grant spojrzał na nią z namysłem i wzruszył ramionami.

- Mam gdzieś, kogo sobie znajdziesz, ale ktoś musi cię utrzymywać. Taki jest los kobiet. Ewa zerwała jabłko, popełniła grzech i tak dalej. Znasz te brednie. - Strzepnął coś z buta. Pewnie gnój. - Następnym razem, kiedy będę w mieście, popytam, czy ktoś ze znajomych przypadkiem nie szuka żony.

Dość! To było ponad siły Cameron. Zerwała się ze skózanego fotela, który wciąż pachniał cygarami ojca.

- Grant! Nie możesz mnie sprzedać jak konia! Ojciec by na to nie pozwolił!

- Masz świętą rację, moja droga. To wszystko jego wina - odparł.  
- Rozpuścił cię jak dziadowski bicz. Pozwalał ci całymi dniami hasać na koniu. Powinnaś wyjść za mąż ze dwa, trzy lata temu i mieć dzieci, jak inne kobiety w twoim wieku. - Skrzywił się z obrzydzeniem. - Spójrz na siebie. Nawet nie wiesz, jak się ubierać. Niczym nie różnisz się od chłopki.

Cameron zuchwale skrzyżowała ręce na piersi. Miała na sobie stare bryczesy Granta i białą koszulę, która kiedyś należała do ojca. Brat nienawidził, kiedy nosiła męskie ubrania, nawet jeśli zakładała je tylko do konnej jazdy.

- Nie wezmę ślubu.

Grant zabrał nogi z biurka i wstał z krzesła.

- Więc dam ci tylko trochę drobnych, a potem do widzenia.

- Wskazał drogę za oknem. - Nie mam innego wyjścia. Nie stać nas na wspólne prowadzenie Elmwood, a poza tym to ja jestem głównym spadkobiercą. Cameron ostrożnie podchodziła do absurdalnych pomysłów brata. Miała odłożone trochę pieniędzy. Wiedziała, że w razie czego Stuartowie przygarną ją z otwartymi ramionami, ale nie mogła jechać do nich z pustymi rękami. Niczego im nie brakowało, lecz nie byli bogaczami. W dodatku chciała wziąć ze sobą Taye i Sukey. Niestety, im dłużej przebywała w Elmwood, tym bardziej zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma ochoty jechać na Północ. Tam byłoby bezpieczniej, ale ona wolała zostać tutaj, w rodzinnym domu. A Grant? Niech się wynosi choćby do Baton Rouge.

- Mam swoje konie - powiedziała spokojnie. - Mogę utrzymać się

z hodowli.

- Nie możesz.

Cameron podeszła do biurka i pochyliła się nad bratem. Walczyła ze sobą, żeby się nie rozplakać.

- To moje konie. Dostałam je od papy.

- Konie są nieodłączną częścią majątku Elmwood, więc należą do mnie! - wykrzyknął jej prosto w twarz. Miał cuchnący oddech. - Już je sprzedałem. Jutro rano przyjedzie kupiec.

Cameron cofnęła się. Poniosła klęskę! Jej ukochane araby, biedna Roxy... Niestety, Grant miał rację. Prawo stało po jego stronie.

- Nie wyjdę za mąż - powiedziała stanowczym tonem. - Możesz mi zabrać konie i wyrzucić mnie z domu, ale nie zmusisz mnie do małżeństwa!

Grant wygodniej rozparł się na dawnym fotelu senatora.

- Rób, co chcesz. Ostrzegam cię, że popełniasz błąd, siostrzyczko. Gdybyś, na przykład, wyszła za bogatego oficera, pewnie bardzo szybko byłabyś młodą wdową. Nic byś na tym nie straciła.

Cameron nie wierzyła własnym uszom. Za życia ojca Grant nie mówił takich rzeczy.

- Pomyśl, to dobra inwestycja - ciągnął. - Przy odrobinie szczęścia mogłabyś to powtórzyć nawet kilka razy.

Cameron wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Popatrzyła na brata.

- Nie jestem na sprzedaż.

- Dobrze, dobrze. Możesz wziąć biżuterię mamy. Dam ci też

trochę drobnych. Pojedziesz do Stuartów.

- Nie chcę u nich mieszkać. Grant westchnął.

- Możesz wyjechać ze mną. - Uniósł dłoń. - Przysięgam, że nigdy nie pozwolę ci umrzeć z głodu, ale musisz się zmienić. W Baton Rouge panują całkiem inne zasady. Nie pozwolę, żebyś nas ośmieszała.

Cameron poczuła, że płoną jej policzki. Przypomniała sobie przyjęcie u Hitchów. Pomyślała o Jacksonie i nagle zrobiło jej się gorąco.

- Zastanów się nad tym. Ja mam na głowie inne, dużo ważniejsze sprawy. - Wyciągnął palec w jej stronę. - Nie zamierzam się tobą przejmować.

Cameron spojrzała mu prosto w oczy i poczuła, jak włosy jeżą jej się na karku. Co chciał przez to powiedzieć?

- Co to za sprawy?

- Nic ci do tego. Możesz odejść.

Możesz odejść?! Wydawało mu się, że może ją odprawić jak służącą?

- Ty podły suk...

- Dość. - Takim samym tonem mówił w dzieciństwie, kiedy się nad nią znęcał. Kłopot w tym, że teraz miał przewagę. - Idź do siebie. - Grant podniósł się z fotela i wskazał na drzwi.

Cameron okrążyła biurko i stanęła tuż obok niego.

- Nie możesz mi tego zrobić! - wrzasnęła. - Chcę wiedzieć, co zamierzasz. Choćby przez pamięć papy...

Grant złapał ją za włosy. Krzyknęła mimowolnie.

- Grant... - wykrztusiła z trudem i chwyciła go za rękę. - Zaraz mi zrobisz krzywdę...

- Idź już - rozkazał, powoli rozluźniając uścisk. - Idź, zanim naprawdę się zdenerwuję. I nie schodź na dół na kolację. Zostań w pokoju i spróbuj przemyśleć swoje zachowanie.

Cameron miała łzy w oczach, zamęt w głowie i zranione serce. Teraz już nie martwiła się tylko o siebie. Skoro Grant chciał się jej pozbyć, zmuszając do małżeństwa, stać go było na więcej. Mógł zaszkodzić wielu mieszkańcom plantacji. Wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Musiała porozmawiać z Naomi. Tylko od niej mogła dowiedzieć się czegoś o „podziemnym pociągu”. Naomi weszła do dawnego gabinetu senatora. W rękę trzymała dzbanek, bo chciała podlać lilie. Panna Cameron zawsze lubiła świeże kwiaty, a ponieważ spędzała w gabinecie ojca sporo czasu, Naomi postawiła je tam wczoraj, żeby sprawić jej przyjemność.

Panicz Grant siedział za biurkiem i gapił się w ścianę. Po kłótni z bratem panna Cameron wyszła z pokoju cała zapłakana. Naomi nie była pewna, czy kiedykolwiek przedtem widziała ją w takim stanie. Nawet po śmierci ojca nie rozpłakała się przy ludziach. Pod tym względem były do siebie podobne. Naomi też płakała tylko w samotności.

Prawdę mówiąc, kiedyś nie przepadała za piękną dziedziczką. Cameron miała wszystko: piękne suknie, biżuterię, konie. Ojciec ją rozpieszczał. Wszystko zmieniło się po śmierci senatora. Naomi nabrała szacunku dla młodej pani. Dostrzegła w niej nieustępliwą

kobietę, która zawzięcie broni swoich racji. Zresztą każdy, kto walczył o wolność niewolników, zasługiwał na miłość czarnych mieszkańców Elmwood.

- Dzień dobry - powiedziała Naomi słodkim i zarazem ponętym głosem.. - Och, Grant... Co się stało?

Rzadko mówiła do niego po imieniu. Za to on często powtarzał do niej: „Taye”. Wciąż myślał o tej małej. Grant nawet nie odwrócił głowy. Naomi miała szczerą ochotę złapać go za krawat i zmusić, żeby na nią spojrział.

- Czego? - warknął. - Czekam na kolację. Nie masz nic do roboty w kuchni?

- Nie jestem kucharką. Służę mojemu panu. - Podeszła do biurka, żeby podlać lilie. - Proszę się nie martwić, paniczku. Kazałam przygotować pieczeń.

Odstawiła dzbanek, położyła mu dłonie na ramionach i zaczęła je masować. Grant westchnął cicho i bez oporu poddał się zabiegom.

- No i proszę... Nie wolno się tak denerwować.

- Chyba masz rację. Ta jędza potrafi wyprowadzić mnie z równowagi, ale to przecież ja jestem teraz tutaj panem.

Huknął pięścią w biurko. Naomi podskoczyła z udawanym przestraczem. Wiedziała, że oczekiwał od niej takiej reakcji.

- To prawda - wyjąkała. - Każda kobieta musi znać swoje miejsce.

Spojrzał na nią z uśmiechem. Spróbowała zdławić narastającą gorycz. Ten człowiek nie zasługiwał na nic oprócz nienawiści.

- Niektóre nawet o tym wiedzą - powiedział i wziął ją na kolana.

W takich chwilach zdawało mu się, że jest prawdziwym samcem. Naomi ukradkiem pokręciła głową. Manu - to był mężczyzna. Uśmiechnęła się na myśl o ukochanym. Dobrze wiedziała, że jeszcze tej samej nocy spotka się z nim w sekretnym miejscu i zapomni o paniczu Grancie.

- A co powiesz na małe pieszczoty przed kolacją?

Naomi powoli wstała z jego kolan. Nie mogła mu odmówić. Miała chorą matkę i młodsze rodzeństwo. Dwa lata temu zmarł jej ojciec. Jedynie dzięki temu, co robiła z Grantem i paroma gośćmi, którzy bywali w Elmwood, stać ją było na dodatkową żywność, leki i ciepłe koce. Senator zawsze dobrze traktował niewolników. Zapewniał im dach nad głową i porządną strawę, lecz jej stara matka czasami wymagała szczególnej opieki.

- Mam iść na górę? - szepnęła Naomi i mrugnęła do Granta.

- Zaczekaj tam na mnie - odparł - i włóż sukienkę. Lubię cię w sukienkach.

- Tak jest - odpowiedziała i wyszła z pokoju. Starła się nie myśleć o tym, co zaraz nastąpi. Dla niej najważniejszy był Manu i marzenia o własnej, szczęśliwej rodzinie. To trzymało ją przy życiu.

- Szukała mnie pani? - zawołała Naomi. Cameron siedziała na małej kamiennej ławce

w dawnym ogrodzie matki. Słońce pomału ginęło za widnokregiem, ale na niebie wciąż widniała pomarańczowa luna.

Ogród nie był już tak piękny jak niegdyś, ale Cameron zawsze lubiła w nim przebywać. Gdy była dzieckiem, często siadywali z ojcem na schodkach werandy i przyglądali się pracującej w ogrodzie mamie.

- Dziękuję, że przyszedłeś - cicho powiedziała Cameron. - Wzięłaś kosz na kwiaty i nóż?

Naomi kiwnęła głową. Miała nadzieję, że to nie potrwa długo. Chciała wrócić do siebie i umyć się, zanim przyjdzie Manu. Musiała pozbyć się zapachu Granta.

- Mam naciąć kwiatów? - zapytała niechętnie. Przed kolacją? Biali często miewali dziwaczne zachcianki.

- Chcę z tobą porozmawiać. Udawaj, że zbierasz kwiaty. - Cameron wymownie spojrzała na Murzynkę. - Ktoś mógłby coś podejrzewać.

Naomi pokiwała głową i uklękła na ziemi.

- Słucham.

- Skontaktuj się z człowiekiem, o którym mi mówiłaś. Potrzebne nam będą łodzie, żeby przepłynąć przez rzekę. Jeśli to tylko możliwe, wyruszmy jutrzejszej nocy.

Naomi odruchowo uniosła głowę. Jej serce zaczęło bić odrobinę szybciej.

- Nie tak dawno mówiłaś, że to trochę potrwa, zanim uciekniemy, panienko.

Cameron przesunęła dłonią po włosach. Miała na sobie prostą, jasnozieloną sukienkę bez halki. Noc była ciepła, ale znad rzeki Pearl wiała chłodna bryza.



- Naomi, zrób, co mówię.  
- To zajmie trochę czasu - powiedziała Murzynka, odwracając wzrok. - Nie jestem całkiem pewna, czy zdążę przed świtem. Wiedziała, że nie zdąży, jeśli spędzi noc z Manu.  
- Będę cię osłaniała. Powiem Sukey, że kazałam ci załatwić coś z samego rana.

Naomi kiwnęła głową.  
- Dobrze, panno Cameron. Zobaczą, co da się zrobić. Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Zwykle nie zmieniają planów. Nie lubią się spieszyć. Pośpiech jest złym doradcą.

Cameron podniosła się, nie patrząc na Naomi. Miała wrażenie, że na werandzie przemknął jakiś cień. Czyżby Grant ją obserwował?

- Zostań tu i nazbieraj jeszcze trochę kwiatów. Potem zostaw je w kuchni i ruszaj w drogę. Pieniądze zostawię ci pod słomianką.

Naomi uparcie patrzyła w inną stronę.

- Dziękuję, panno Cameron.

Cameron uśmiechnęła się z przygnębieniem.

- Nie, Naomi. To raczej ja ci dziękuję.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

*Cameron usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu.*

*- Cameron... Cameron... Wtuliła się w zimną pościel. To był on. Jackson.*

*Rozpoznała przekorną nutę w jego głosie. Był oszustem, arogantem i nie miał za grosz honoru. Wiedziała o tym, ale to wydawało jej się bez znaczenia. Nie tutaj, nie teraz...*

*- Jackson - szepnęła.*

*Odwróciła się leniwie i uśmiechnęła. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że siedzi na skraju łóżka. Właśnie weszło słońce, ale zasłony były zaciągnięte, więc w pokoju wciąż panował półmrok. Moskitiera zakotłosała się w lekkim powiewie wiatru.*

*- Cameron... - Jackson pochylił się nad nią i pocałował ją w policzek. - Wstawaj, śpiochu. Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć. Był całkiem nagi.*

*Przeciągnęła się jak rozleniwiona kotka. Jackson coś szepnął jej do ucha, ale nie usłyszała, co to było. To zresztą nie miało najmniejszego znaczenia. Najważniejsze, że znów byli razem.*

*Roześmiała się, a on ściągnął z niej koldrę. Okazało się, że ona też jest naga. Przyjęła to bez zdziwienia. Przesunęła się, żeby zrobić mu miejsce. Jackson położył się obok niej i wziął ją w ramiona. Pogładziła jego umięśniony tors i płaski brzuch. Uniosła głowę, żeby spojrzeć w szare oczy, i przesunęła dłoń jeszcze niżej.*

- Cameron... - Jackson oddychał szybko.

- Cameron!

Obudziła się, wystraszona, słysząc swoje imię. Wołanie dochodziło z korytarza. Tym razem nie brzmiało to jak pieszczota.

- Cameron, chodź szybko!

Usiadła na łóżku. Serce waliło jej jak młotem. Była spocona. Zwilżyła językiem wyschnięte usta i pomyślała o Jacksonie. Nie mogła uwierzyć, że przyśniło jej się coś takiego.

- Cameron! - Zrozpaczony głos Taye uwolnił ją od nieprzyzwoitych myśli.

- Taye! - zawołała Cameron. Zanim zdążyła wstać, Mulatka weszła do pokoju. Miała na sobie białą domową sukienkę i turban. Zapewne pomagała w kuchni, bo jej ubranie przesiąkło zapachem mąki i słodkiej melasy. W ogóle była znakomitą kucharką, ale zazwyczaj robiła tylko ciasta.

- Co się stało? - Cameron podbiegła do przyjaciółki.

- To Grant... Przeprowadził z miasta oddział żołnierzy. Kazali wrócić niewolnikom do kwater.

- Wrócić do kwater? Co on sobie myśli? - Cameron chwyciła pierwsze lepsze ubranie z podłogi. Sięgnęła po brudne bryczesy i koszulę, które miała na sobie wczoraj.

- Nie wiem - Taye załamała ręce - ale zamknęli ich pod kluczem.

- Jak to zamknęli? - zdziwiła się Cameron i ściągnęła koszulę nocną przez głowę.

Taye odwróciła się zawstydzona. Cameron nie zwróciła na to

najmniejszej uwagi. Włożyła spodnie.

- Jak Grant to zrobił? Przecież w chatach nie ma zamków.

- Zastawili wejścia deskami i pozamykali okna. - odpowiedziała Taye drżącym głosem. - Boję się. Nie chcę obmawiać Granta, bo to przecież twój brat, ale wydaje mi się, że jest trochę...

- Pomyłony? - spytała Cameron, wkładając koszulę. - Nie musisz się tłumaczyć. Też tak uważam.

Taye podała jej pończochy i buty.

- Nie ma na to czasu. - Cameron rzuciła pończochy z powrotem na podłogę. - Chodź. Buty założę po drodze.

Wybiegły z pokoju, a kiedy znalazły się w przedsionku, Cameron niemal wskoczyła w buty i pobiegła naprzód. Taye zgarnęła spódnicę w dłoń i pospieszyła za przyjaciółką.

- Muszę zobaczyć, co się dzieje z mamą - wysapała. - Wczoraj wieczorem została u matki Naomi.

Zanim Cameron dotarła na miejsce, usłyszała płacz przerażonych kobiet i dzieci. Taye lekko ścisnęła ją za rękę i pobiegła do chaty Naomi.

Niewolnicy stali w dwóch szeregach. Jeden z robotników, niejaki Josiah, próbował wymknąć się uzbrojonemu żołdakowi, ale niemal natychmiast dostał kolbą po głowie. Padł na kolana, a spod jego krótko przystrzyżonych włosów popłynęła wąska strużka krwi.

- Dosyć tego! - zawołała Cameron, biegnąc do Murzyna.

- Wstawaj - polecił żołnierz.

Josiah podniósł się i chwiejnym krokiem podszedł do chaty, w

której przetrzymywano innych mężczyzn. Kobiety i dzieci umieszczono w oddzielnych pomieszczeniach.

- Nie słyszałeś, co powiedziałam? - Cameron położyła dłoń na ramieniu żołnierza.

- Jezu Chryste... - Wyszczrzył zęby. - Witam... madame.

Zmierzył ją wzrokiem, jakby była dziwką z Nowego Orleanu.

- Pracujesz w stajni? Jeśli tak, to w Elmwood mają najładniejszych stajennych, jakich widziałem.

Cameron odrzuciła do tyłu zmierzwione włosy.

- Co robicie z moimi niewolnikami? - zapytała.

- He? - Żołnierz miał gęstą brodę i paskudny oddech. - Przecież to niewolnicy pana Campbella. Będą kopać szanice.

Wyciągnął brudną rękę, żeby ją objąć. Cameron odskoczyła jak oparzona.

- Zostaw ją, głupcze! - Rozległ się głos Granta.

- To moja siostra. Nie odróżniasz jej od Murzynów?

Żołnierz rzucił okiem na nadchodzącego Granta, a potem uklonił się Cameron.

- Proszę wybaczyć, panienko, moja wina...

Cameron popatrzyła na brata. Na głowie miał słomkowy kapelusz, a w ustach trzymał cygaro. Tego dnia był ubrany dość elegancko w jasnoniebieski surdut i białe bryczesy.

- Co ty robisz? - dopytywała się z niedowierzaniem. - Ci ludzie powinni pracować w polu.

- Nie dzisiaj. - Zatrzymał się tuż przed nią.

- Zmiana planów. Mówiłem ci, że muszę tu zrobić porządek.  
Z bliska poczuła od niego mocną woń alkoholu. Dochodziła  
dziewiąta rano, a on już był pijany.

- Tak wczesnie wstałeś czy jeszcze się nie kładłeś? - zapytała  
ironicznie.

- Za takie złośliwości powinnaś dostać w skórę.

- Uśmiechnął się złośliwie. - Dzisiaj jestem w zbyt dobrym  
nastroju, żeby urządzać awantury. Idź do domu i przebierz się w coś  
porządnego. - Z odrazą spojrział na jej spodnie i buty. - Chyba muszę  
spalić te ubrania.

Przyprowadzono niewolnicę z dwójką małych dzieci. Matka  
próbowała uspokoić płaczącą dziewczynkę. Cameron przyglądała im  
się uważnie.

- Co ty wyprawiasz, do diabła?

- Ostrzegam cię! - rzucił groźnie i złapał ją za rękę. - Nie rób mi  
wstydu przy żołnierzach, bo każę cię wychłostać.

Cameron spojrzała na niego i stwierdziła, że jest na tyle pijany,  
żeby naprawdę spełnić groźbę.

- Powiedz mi, co chcesz zrobić - powiedziała cicho. - Mam  
prawo wiedzieć.

- Niczego nie musisz wiedzieć. - Ruszył w stronę domu. - Jenkins,  
sprawdź, czy są dobrze zamknięci. Przeliczysz ich i zdasz mi raport.

- Tak jest! - odpowiedział inny żołnierz, trzymający karabin w  
dłoni.

Cameron przez chwilę stała mocno zmieszana, patrząc na

niewolników. Na dobrą sprawę nic nie mogła zrobić. Grant na pewno nieźle zapłacił żołnierzom, żeby zrobili swoje. Rozejrzała się i w końcu pobięła za bratem.

- Powiedz mi, co chcesz zrobić z naszymi Murzynami - poprosiła, z trudem panując nad strachem.

Grant z ironiczną miną spojrzał na nią spod randa kapelusza.

- Ubierz się porządnie. Jeśli trochę ochłoniesz, możesz zjeść ze mną śniadanie na werandzie. Wtedy porozmawiamy.

Taye miała rację, pomyślała Cameron. Grant jest szalony. Lepiej się przebrać, niż tracić czas na próżną kłótnię. Pobięła na górę.

- Zaraz wracam! - zawołała przez ramię. - Obyś faktycznie umiał z tego się wytłumaczyć. Pół godziny później Cameron weszła na werandę w lawendowej sukni w zielone kwiaty. Niesforne rude loki zaczesła w kok i nakryła czepkiem z fioletową wstążką wiążaną pod brodą. Po tym, co stało się rano, taki strój wydawał się wręcz absurdalny. Czowała jednak, że jej brat wkroczył na wojenną ścieżkę, i nie chciała mu dawać powodów do nowej sprzeczki.

- Och, jesteś... - Grant wstał od stołu. Zachowywał się grzecznie tylko wtedy, gdy miał na to ochotę. - Muszę przyznać, że jak się postarasz, to wyglądasz jak z obrazka.

Pochylił się, żeby ją pocałować, więc Cameron nadstawiła policzek. Uśmiechnęła się i pozwoliła odsunąć sobie krzesło. Rozłożyła na kolanach żółtą serwetkę. Grant usiadł naprzeciwko.

- Kawy? - zapytał grzecznie.

Cameron wprawdzie wołała herbatę, ale potulnie skinęła głową.

Grant zachowywał się, jakby nic nie zaszło. Jakby w ogóle nie pamiętał, że przed chwilą kazał pozamykać wszystkich niewolników. Zawołał stojącą w pobliżu kucharkę. Murzynka postawiła na stole tace ze śniadaniem. Jajka na bekonie i ciepłe naleśniki pachniały wręcz cudownie. Cameron była bardzo głodna, ale po tym, co zaszło w kwaterach niewolników, tylko patrzyła, jak brat nakłada sobie jedzenie na talerz.

- Świetnie, świetnie - zwrócił się do służącej. - Dziękuję. A teraz dołącz do reszty braci niewolników.

- Służba też? - ze zniecierpliwieniem spytała Cameron.

- Milcz! - syknął Grant przez zęby. - Ani słowa. Już nie zrobisz mi przy nich wstydu.

Cameron uważnie spojrzała na brata. W ogóle nie miała pojęcia, o czym mówił. Popatrzyła na służącą.

- Dość tego - powiedziała, ściągając z kolan serwetkę. - Co się dzieje? Dlaczego zamknąłeś niewolników? Co chcesz zrobić ze służbą?

Grant nałożył sobie jajka na bekonie i sięgnął po dzbanek.

- Już nie są nam potrzebni. Za dwa dni wyjeżdżam do Baton Rouge.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co zamierzasz zrobić z niewolnikami?

- Sprzedam ich.

- Sprzedasz?! Chcesz sprzedać niewolników z Elmwood?!

Grant zmarszczył brwi i polał naleśniki miodem.

- Czego nie rozumiesz, Cameron? - Udawał spokojnego. - Tego,



Co przed chwilą powiedziałem? Tego, że ja, Grant David Campbell, pan tej plantacji, zamierzam sprzedać swoich niewolników? Że chcę zarobić na nich i nie martwić się dłużej o ich utrzymanie?

Cameron panowała nad sobą z coraz większym trudem.

- Nie możesz ich sprzedać! To jest ich dom. Oni... - Była tak zdenerwowana, że nie potrafiła ubrać myśli w słowa. - Przecież to są ludzie, a nie towar, który można sprzedać jak pług albo powóz. Są podobni do nas. Mają rodziny: matki, ojców, dzieci. Niektórzy z nich przez całe życie nie widzieli nic poza naszym Elmwood.

- Przyzwyczajają się - beznamiętnie odparł Grant. - Podasz mi kielbasę? Powinnaś jej spróbować. Jest wysmienita. Aż żal pomyśleć, że już niedługo nie zaznamy takich smakołyków.

Cameron podała tacę. Próbowwała znaleźć jakiś sposób, żeby przemówić bratu do rozsądku. Może przynajmniej zdołam go zastraszyć? - pomyślała nagle. Zawsze miał dość niskie poczucie własnej wartości.

- Posłuchaj, Grant - powiedziała - nie możesz tego zrobić...

Nadział na widelec kawałek kielbasy.

- Jak to nie mogę? - mówił coraz szybciej. - Jestem właścicielem wszystkich i wszystkiego, co niegdyś należało do pana Campbella. Nikt nie podważył testamentu. Wszystko jest zgodne z prawem. Wczoraj rozmawiałem z pełnomocnikiem ojca, panem Josephem. - Odłożył widelec i pogroził jej palcem.

Cameron cofnęła się odruchowo. Nie spodobała jej się nagła zmiana w jego głosie. Nigdy nie bała się brata, ale tym razem w jego

oczach było coś przerażającego. A teraz nawet nie mogła zwrócić się z prośbą o pomoc do ojca.

- Jesteś bardzo niegrzeczna. Za moimi plecami nagabywałaś pana Josepha w sprawach, które w ogóle nie powinny cię interesować. Dzięki Bogu, że w porę wybrałem się do miasta i wszystko wyjaśniłem. Na szczęście nic się nie stało. - Roześmiał się z goryczą. - Chciałaś wypuścić moich niewolników. A to zabawne...

Odgarnął kosmyk jasnych włosów, który opadał mu na oko.

- Nie martw się - podjął po dłuższej chwili. - Pan Joseph nie mówił źle o tobie. Wyjaśniłem mu, że bardzo przeżyłaś śmierć ojca. Wiele wycierpiałaś jak na młodą, przyzwoitą damę, nie mam racji?

Cameron już otwierała usta, ale po namyśle postanowiła przemilczeć tę kwestię. Szkoda czasu na takie rozmowy, uznała. Najważniejsze to nie ulegać zbyt dużym emocjom. Nie chciała, żeby Grant widział jej zdenerwowanie. Zamierzała po cichu wypuścić Murzynów, zanim zostaną sprzedani. Dzięki Bogu zebrała trochę konkretnych informacji o „podziemnym pociągu”. Wprawdzie wciąż nie знаła dokładnej trasy przetransportowania niewolników, ale wiedziała, że pierwszy przystanek znajduje się daleko poza granicami Missisipi.

Nagle pomyślała o Naomi. Nie widziała jej od wczoraj. Czyżby jeszcze nie wróciła do Elmwood? Cameron miała nadzieję, że piękna niewolnica nie dała się złapać żołnierzom. Musi jej poszukać. Musi też znaleźć kogoś, kto by jej pomógł. Ale kogo? W głowie zaświtała jej pewna szaleńcza myśl... Jackson. Może on? Ciekawe, gdzie teraz się podziewa? Jak tu posłać kogoś po niego? A jeśli już wyjechał z Baton

Rouge? Wołała nie dopuszczać do siebie takiej możliwości. Potulnie spuściła wzrok.

- Kiedy to się stanie? - zapytała.

- Niby co? - mruknął Grant z wielce zdziwioną miną.

- Kiedy niewolnicy na zawsze opuszczą Elmwood?

- Dlaczego pytasz?

- Ja... - Musiała szybko myśleć. - Zastanawiałam się, jak długo będą do naszej dyspozycji. Jest jeszcze wiele do zrobienia. Trzeba poprzykrywać meble, zdjąć obrazy i zamknąć piwnice. - Popatrzyła na brata spod oka. - To na pewno zajmie nam kilka tygodni. Przez ten czas znajdziesz odpowiedniego kupca i dasz mu czas, żeby przygotował pieniądze.

- Nic nie rozumiesz. Zamierzam wystawić ich na aukcji. Pojutrze przyjadą potencjalni kupcy i licytator. Każdy niewolnik będzie licytowany oddzielnie i sprzedawany za najwyższą cenę. Wiadomość o wyprzedaży rozesłałem po całym okręgu. Wiem, że przyjedzie kupiec nawet z Luizjany. Jest zainteresowany całym transportem mężczyzn do pracy w polu.

- Grant! W ten sposób rozdzielisz rodziny!

Naprawdę nie chciała kłótni, ale tym razem nie mogła powstrzymać się od protestu. Pomyślała o dzieciach oderwanych od matek...

- Jak już mówiłem, zamykam Elmwood i na czas wojny wyprowadzam się do Baton Rouge. Tam niewolnicy nie będą mi potrzebni. A w dodatku przyzwolicie na nich zarobię. - Uśmiechnął się.

- Wezmę tylko gotówkę. Żadnych czeków ani papierów wartościowych. Cameron odniosła wrażenie, że to jakiś koszmar. Chciała wierzyć, że zaraz obudzi się we własnym łóżku i to wszystko okaże się jedynie złudą.

- Rozumiem, że mężczyzn sprzedasz do pracy w polu, a co z kobietami?

- Ach, kobiety... Licytator twierdzi, że dużo na nich nie zarobię. Kupcy szukają silnych robotników, którzy będą pracować w pocie czoła.

- Z niesmakiem zmarszczył nos. - Kobiety nie pociągną długo. Żaden z nich pożytek.

- A służące? Pozwolisz im zostać w domu? - zapytała z nagłą nadzieją. - Może zabierzesz je ze sobą?

- Och, też je sprzedam. - Uśmiechnął się złośliwie. - Znalazłem dla nich idealne miejsce: jeden z domów publicznych w Baton Rouge.

Cameron jak oparzona zerwała się z krzesła.

- Nie możesz tego zrobić! - wrzasnęła. - Grant, nie możesz zrobić z tych kobiet...

- Dziwek? - Roześmiał się. - Ależ mogę. Wszystko zgodnie z prawem.

Chciała go zwymyślać od najgorszych, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Grant może być zdolny do takiego okrucieństwa.

Ojciec niemal zawsze usprawiedliwiał jego zachowanie. W jego oczach Grant był porządnym człowiekiem. Jak mógł aż tak się

pomylić? Co sprawiło, że brat zaczął postępować wbrew woli zmarłego ojca?

- Grant, nie podejmuj pochopnych decyzji, musimy to przedyskutować. Nie możesz... Rozległ się krzyk i obydwójce odwrócili się w kierunku drzwi, prowadzących do domu.

- Ratunku! - krzyknęła Taye, wbiegając na werandę.

Tuż za nią zjawił się jeden z żołnierzy. Złapał ją za rękę.

- Zostaw tę dziewczynę! - zawołała Cameron. Grant wstał z krzesła i rzucił serwetkę na stół.

- Jak śmiesz mi przeszkadzać? - warknął na żołnierza.

- Przepraszam, panie Campbell. Próbowała uciec. Uderzyła drągiem jednego z naszych. - Chwycił Mulatkę za drugą rękę. - Na szczęście nietrudno ją złapać.

- Cameron... - łkała Taye. - Proszę. On... on myśli, że jestem niewolnicą. Nie chciał mnie słuchać.

Taye padła ofiarą pomyłki, bo nie miała na sobie drogiej sukni, a jej włosy skrywał turban. W oczach człowieka z Południa była zwykłą Murzynką. Tylko Grant mógł go powstrzymać.

- Powiedz mu, żeby ją puścił - wycedziła przez zaciśnięte zęby Cameron.

Grant przez chwilę przyglądał się Mulatce.

- Zgadzasz się? - zapytał prosto z mostu. Taye zacisnęła usta i spojrzała na niego z pogardą.

- Prędzej umrę - szepnęła.

Grant wzdrygnął się, ale zaraz potem uśmiechnął się złowieszczo.

- Och, Taye... Jesteś taka młoda. - Pstryknął palcami i odwrócił się do niej tyłem - Zamknąć ją razem z innymi.

- Co takiego?! - krzyknęła Cameron. - To niemożliwe! Dobrze wiesz, że ojciec dał jej wolność!

- A masz na to dokumenty?

- Papa... - Cameron urwała, zdając sobie sprawę, że ta rozmowa nie ma najmniejszego sensu.

Papiery przejął Grant albo, nie daj Boże, uległy zniszczeniu. Bez pisemnego oświadczenia dawnego właściciela Taye jest taką samą niewolnicą jak inni Murzyni z plantacji Elmwood.

- Jak widać, panna Taye nie chciała skorzystać z mojej gościnności - zadrwił Grant - więc dołączy do reszty. - Machnął ręką. - Odprowadźcie ją do pozostałych kobiet - polecił i usiadł z powrotem przy stole.

Żołnierz pociągnął Taye za sobą. Cameron dała krok w ich stronę. Taye błagalnie wyciągnęła ręce, a łzy ciurkiem płynęły po jej policzkach.

- Jeśli spróbujesz pomóc tej małej, niewdzięcznej awanturnicy - rzucił ostro Grant - to zamknę cię z resztą dziwek.

Dziwki? Jak on śmie? Dlaczego traktuje Taye jak niewolnicę? Pomału zaczynała ją to wszystko przerastać.

- Przyjdę po ciebie - obiecała, z rozpaczą spoglądając na przyjaciółkę.

Taye zacisnęła usta i tylko kiwnęła głową.

Cameron z niedowierzaniem patrzyła za odchodzącym

żołnierzem. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby pozbierać myśli.

Grant smarował grzanekę dżemem.

- Dokończysz ze mną śniadanie? - zapytał, jakby nic się nie stało.

- Raczej nie - odparła Cameron, siląc się na spokój.

- To idź do siebie i zacznij się pakować. Pojutrze złapiesz pociąg na północ albo pojedziesz ze mną do Baton Rouge.

- Grant...

- Jeszcze słowo - rzekł stanowczo - a zabiję gwoździami drzwi do twojej sypialni. - Ostrzegawczym ruchem uniósł widelec. - Nic nie mów.

Cameron posłusznie skinęła głową i poszła prosto do swojej sypialni. Czekąco ją sporo do zrobienia. Zamierzała jeszcze tej nocy wypuścić wszystkich niewolników.

- Co o tym myślisz? - Naomi zapytała Manu.

Stali w cieniu drzew pomiędzy chatami niewolników i przyglądali się zamkniętym drzwiom. Z wnętrza kwater dochodziły przerażone głosy.

- Nie wiem, najdroższa. Muszę wracać do siebie. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Lepiej się stąd wynosić. Znasz trasę pociągu. - Wziął ją za rękę i spojrzał na nią z miłością. - To twoja szansa, Naomi. Lepiej z niej skorzystać.

Pogładziła go po dłoniach.

- Masz rację. Muszę coś zrobić, ale nie wyjadę bez ciebie. -

Spojrzała w jego pełne uwielbienia czarne oczy. - Myślę, że obydwójce

mamy szansę. Nie wrócisz już do Atkin's Way.

Manu zmarszczył brwi.

- Nie? Potrząsnęła głową.

- Domyślam się, że panicz Grant chce nas sprzedać. Jak uważasz, po co by to robił?

Manu kiwnął głową.

- Masz rację. Jesteś naprawdę mądra.

- Tak, ale wciąż nie wiem, jak stąd wydostać naszych braci.

- Poczekamy, aż będzie ciemno?

Naomi znów spojrzała na kwatery niewolników.

- Nie mogę ich tak zostawić. Tam jest moja matka. Manu popatrzył na zaryglowane drzwi i okna.

- Tak przypuszczałem. - Z rezygnacją spuścił wzrok. - Powiedz mi zatem, co mam zrobić.

Pogłaskała go po muskularnych ramionach.

- Pójdiesz nad zalew i weźmiesz wszystko, co tam schowaliśmy. Koc, jedzenie, nasz mały tobołek i złotą monetę.

Pokiwał głową.

- A co potem?

- Zaczekasz na mnie. Mam przeczucie, że już niedługo na zawsze stąd wyjedziemy. - Wspięła się na palce, żeby go pocałować. - Idź już.

- A ty?

Naomi wyjrzała zza drzew i popatrzyła w stronę domu.

- Muszę iść do panny Cameron i sprawdzić, co się tutaj dzieje.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Cameron weszła do swojego pokoju i kopnęła porozrzucone na podłodze ubrania. Jej brat jest szalony, obłąkany! Nie dość, że chce sprzedać niewolników, to jeszcze zamierza oddać wszystkie Murzynki do domu publicznego. Musi go powstrzymać! Ale jak?

Rozległo się ciche pukanie. Cameron z przerażeniem spojrzała na drzwi. To mógł być tylko Grant. Cała służba siedziała zamknięta pod kluczem. W całym domu nie było nikogo. Ostrożnie podeszła do drzwi. Nagle pomyślała o Jacksonie. Stał za drzwiami w tamtą pamiętną noc, kiedy zmarł jej ojciec. Dobry Boże...

- Kto tam? - szepnęła.

- Prezydent Lincoln - odpowiedział łagodny głos. - To ja, Naomi.

Mogę wejść?

Cameron szybko otworzyła drzwi i energicznym ruchem ręki zaprosiła niewolnicę do środka.

- Dzięki Bogu, jesteś bezpieczna. Martwiłam się, że ciebie też zamknęli. - Cameron uścisnęła ją mocno. - Miałam nosa, żeby posłać cię wieczorem do miasta.

Naomi odsunęła się o krok i wygładziła sukienkę. Nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Do tej pory panienka nigdy jej nie obejmowała.

- Nie dałam im się złapać - powiedziała z dumą.

- Od początku czułam, że coś tu się święci.

Cameron złapała ją za ramię.

- Trzeba coś zrobić. Grant chce natychmiast sprzedać wszystkich niewolników. Zresztą, nie tylko ich... Dom, pola, wszystko...
- Sprzedać? Cameron kiwnęła głową.
- Źle się dzieje.
- Tak, źle się dzieje - potwierdziła Naomi. Cameron z niepokojem spojrzała w jej czarne oczy.
- Wyczytałam to z wnętrzości zabitej kury. Widziałam płomienie i czarny dym. Wiem, że to zło.
- Naomi zmrużyła oczy, ale po chwili znów otworzyła je szeroko.
- Co robić, panno Cameron? Manu na pewno nam pomoże.
- Kto to jest Manu?

Naomi uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- To mój chłopak. Chcemy wziąć ślub. Kiedy tylko będziemy wolni, zbudujemy prawdziwy dom.
- Lekko zakołysała biodrami. - Może będziemy mieli dziecko...
- Twierdzisz, że nam pomoże?
- Zrobi wszystko, co mu każemy. Zwłaszcza to, co ja mu każę.

Cameron uśmiechnęła się, ale zaraz potem zmarszczyła brwi.

- Mam nadzieję, że ten twój... Manu przypadkiem nie jest jednym z naszych niewolników?
- Nie, ale lepiej, żeby panienka nie wiedziała, skąd przyszedł. On i tak nie wróci na swoją plantację.

Zatem zbieg, pomyślała Cameron. Jeszcze gorzej... Choć, z drugiej strony, za kilka godzin wszyscy niewolnicy z Elmwood będą

zbiegami. Złapała Murzynkę za rękę i pociągnęła w stronę łóżka.

Usiadły obok siebie - biała i czarna. Tak jakby żadne prawa i obyczaje nie mogły ich rozdzielić.

- Słuchaj - zaczęła Cameron - mam pewien pomysł, ale obiecaj mi, że będziesz dzielna. To może być bardzo niebezpieczne.

- Nie boję się - odparła Naomi. - Są ze mną moje dobre duchy. - Wzięła w dwa palce mały woreczek, który zawsze nosiła na szyi. - Stare afrykańskie duchy, moi opiekunowie.

Cameron przez krótką chwilę zastanawiała się, co może być w tym woreczku, ale później uznała, że lepiej nie pytać.

- Musisz jak najszybciej wrócić do miasta. Jeżeli umiesz jeździć, to weź konia.

Naomi uśmiechnęła się nieśmiało.

- Żołnierze są uzbrojeni. - Cameron położyła jej dłoń na ramieniu. - Trzeba bardzo uważać.

- A co czarna uciekiniarka będzie robiła w mieście, panienko? Cameron wzięła głęboki oddech. Było jej trudno prosić Jacksona o pomoc, zwłaszcza po tym, jak się rozstali, ale nie miała innego wyjścia.

- Musisz odnaleźć kapitana Jacksona Logana. Wiem, że to może okazać się trudne. Poszukaj po hotelach.

Naomi skrzyżowała ręce na piersiach.

- Myślałam, że pojechał do Baton Rouge po swoją wielką łódź. Mówił, że wybiera się tam zaraz po pogrzebie.

Cameron popatrzyła z zainteresowaniem na Naomi. Ciekawe, kiedy mieli okazję porozmawiać? Nagle poczuła ukłucie zazdrości.

Jednak to nie był dobry moment, żeby rozczulać się nad sobą.

- Tydzień temu nadal widziano go w mieście. Spotkałam go na balu u pana Hitcha. Wprawdzie mówił, że wkrótce wyjeżdża, ale wciąż mam nadzieję, że tego nie zrobił. Poszukaj go, Naomi. Powiedz mu, że Grant chce sprzedać niewolników i że potrzebna mi jest każda pomoc.

Naomi słuchała uważnie, kiwając głową.

- Jeżeli go nie znajdziesz... - Cameron z trudem próbowała powstrzymać ogarniające ją poczucie bezradności. - Naprawdę nie wiem, co poczniemy.

- Wstała z łóżka i podeszła do okna. Odciągnęła zasłony i spojrzała na oddalone chaty niewolników.

- Wspomniałaś, że jest tutaj twój chłopak. Myślisz, że zechce z nami pojechać na północ?

- Najpierw muszę się dowiedzieć, co u mojej mamy. - Naomi stanęła obok swojej pani. - Co ma robić Manu? Cameron odwróciła się w jej stronę.

- Dowiedziałaś się, co z łodziami?

- Tak. Nawet powiedziałam przewoźnikom, że dostaną więcej pieniędzy.

- Bardzo dobrze. Musimy jak najszybciej przeprowadzić wszystkich przez rzekę.

- Kiedy?

- Jutro w nocy.

- No, nie wiem...

- Nie mamy wyboru. O tej porze roku woda jest za wysoka, żeby

przejsć rzekę wplaw. Jeśli nie będzie łodzi, będziecie musieli płynąć.  
Wiesz, że pojutrze przyjedzie tutaj licytator?

- Licytator?

Naomi burknęła coś pod nosem. Zabrzmiało to niczym klątwa wudu. Cameron wzdrygnęła się mimo woli. Po chwili wzięła głęboki oddech i mówiła dalej:

- Liczę na to, że zdołasz sprowadzić Jacksona i że razem powstrzymamy mojego brata od dalszych szaleństw. Gdyby coś mi się stało, przekaz niewolnikom wszystkie informacje na temat „podziemnego pociągu”. Musicie zaryzykować.

- Musimy zaryzykować - powtórzyła z namysłem Naomi. - Tak, to jedyne wyjście.

Cameron podeszła do komody i wyciągnęła z szuflady portmonetkę. Dała Murzynce trochę pieniędzy z własnych oszczędności.

- Podziel się z Manu. Niech czeka przy przeprawie przez rzekę. Resztę zabierz ze sobą. Na pewno przyda ci się, kiedy będziesz szukała kapitana Logana.

Naomi spojrzała na plik banknotów. Nigdy w życiu nie widziała tak dużo pieniędzy.

Pewnie kusiło ją, żeby wszystko zabrać i uciec ze swoim chłopakiem na północ, pomyślała Cameron. Dobrze wiedziała, ile ryzykuje.

- Zrozumiałaś? - spytała z niezachwianym spokojem.

- Tak, panno Cameron. Naomi zrobi wszystko, co w jej mocy.

- Nie daj im się złapać. Pamiętaj, że w razie wpadki nie zdołam ci pomóc.

- Jasne. - Naomi pokiwała głową. - Panicz Grant, uległ złym mocom. - Uśmiechnęła się półgębkiem. - Naomi wie, jak o siebie zadbać, i to o wiele lepiej niż niejedna biała kobieta.

- To mój brat, nie chcę, żeby cierpiał - powiedziała Cameron, chociaż miała szczerą ochotę udusić Granta własnymi rękami. - Musimy go powstrzymać.

- Naomi też tak myśli. Panicz Grant igra z ogniem. W końcu sam się poparzy i nikt go nie uratuje. Nie chcę panienki martwić, ale widziałam czarny płomień.

- Uważaj na siebie. Wkrótce się zobaczymy.

- Do zobaczenia. Manu już na mnie czeka. Otworzyła drzwi.

- Jak się stąd wymkniesz? - zapytała Cameron. Naomi mrugnęła okiem.

- Czary. Dam sobie radę.

- Jak to: jedna zniknęła?! - wykrzyknął Grant. Brodaty żołnierz stał na baczność na schodach werandy.

- Przeliczyliśmy wszystkich, jak pan kazał, i sprawdziliśmy z pańskim wykazem. Brakuje jednej czarnej dziewczyny. Pański nadzorca jest przekonany, że zaginęła młoda niewolnica o imieniu Naomi.

- A to mała gnida - mruknął Grant. - I co? Szukaliście jej?

- Sprawdziliśmy pola i stajnie. Nikt jej nie widział.

- Zabiję ją. - Gniewnie zacisnął pięść. - Przysięgam, że ją zabiję.

Jak mogła uciec po tym wszystkim, co dla niej zrobiłem! - Rozejrzał się dokoła. - Znaleźć mi ją, i to jak najszybciej!

Odwrócił się rozjuszony. Jak śmiała się ukrywać? Za kogo się uważała? A może myślała, że jest lepsza od innych? Lepsza nawet od niego? Powoli wszedł do domu, z trudem wlokąc za sobą chorą nogę. Nic nie układało się tak, jak zaplanował. Dlaczego Taye nadal stawiała mu opór? Jak to w ogóle możliwe, że wołała siedzieć zamknięta pod kluczem, stanowczo odrzucając jego propozycję? A może nie zdawała sobie sprawy z tego, że on ją naprawdę kocha? To wszystko było stanowczo zbyt skomplikowane jak na jego biedną głowę.

Grant wrócił myślami do chwili, w której ojciec powiedział mu prawdę o Taye. Był zrozpaczony, a jednocześnie podekscytowany wiadomością, że dziewczyna jest jego przyrodnią siostrą. Czy miłość do niej to kazirodztwo? Nagle zrobiło mu się gorąco.

- Niezupełnie, mogę się z nią kochać - mówił do siebie. Powoli wszedł po schodach i skręcił w kierunku sypialni Cameron. - Matka Taye jest czarna, więc Taye jest tylko w połowie człowiekiem. - Obliznął spieczoną usta.

Dość często wyobrażał sobie, że trzyma w ramionach piękną Mulatkę. Naomi przebierała się w różne sukienki skradzione z jej pokoju i powtarzała to, co Grant chciał usłyszeć. Ale to tylko ułudą. Taye jest wykształcona i pełna ogłady. Naomi robiła wszystko za pieniądze.

Grant załomotał pięścią w drzwi, ale nikt mu nie odpowiedział. Bezceremonialnie wszedł do pokoju i spojrzał na siostrę. Cameron stała

przy oknie. Miała oczy czerwone od płaczu. Ów widok sprawił mu nie lada przyjemność, bo jego siostra dotychczas nigdy nie płakała.

- Moje konie - powiedziała z wymuszonym spokojem. -  
Naprawdę chcesz sprzedać wszystkie moje konie?

Grant z uśmiechem podszedł do okna. W tym czasie kilku ludzi wyprowadzało jej cenne araby ze stajni.

- Są niebezpieczne.
- Słucham?
- Gdyby nasz ojciec je od razu sprzedał, pewnie dzisiaj nie byłbym kaleką.
- Gdybyś nie był tak podły i nie smagał klaczy, to by cię nie zrzuciła.
- Dość! Lepiej mi powiedz, gdzie jest ta czarna suka?
- Nie mam pojęcia, o kim mówisz.
- O Naomi! Zaginęła! Cameron rozłożyła ręce.
- Zamknąłeś wszystkich niewolników. Jesteśmy tutaj zupełnie sami.
- Wiem, co zrobiłem! Powtarzam ci, że jej tam nie ma.
- Pewnie się znajdzie. Musieli ją przeoczyć. W murzyńskich chatach jest potwornie ciasno.

Grant rzucił jej naburmuszone spojrzenie i otarł usta.

- Jestem głodny - mruknął.
- Zjesz ze mną? Poproszę, żeby coś dla nas przygotowano. -  
Zawahała się. - Ach, przecież nie mamy już kucharki, a ja nie najlepiej radzę sobie w kuchni. - Westchnęła teatralnie. - Szkoda, że nie ma z



nami Taye. Ona umie dobrze gotować.

- Naprawdę? Cameron pokiwała głową.

- Tak, naprawdę.

Grant zamyslił się. Już wcześniej zastanawiał się, jak przyprowadzić Taye z powrotem do domu. Teraz znalazł doskonały pretekst. Mógł posłać po nią, żeby im służyła i gotowała. Wieczorem zjemy razem kolację przy świecach, rozmarzył się. Znow będzie jak za starych, dobrych czasów. Taye bez wahania zgodzi się ze mną zostać. Przekona się, że jesteśmy dla siebie stworzeni, i będzie moją panią w Baton Rouge. Z nią o wiele łatwiej przetrwam wojnę...

- Dobrze - rzekł, udając, że go przekonała.

- Zaraz napiszę rozkazy. Pójdiesz na dół i przekażesz wiadomość strażnikowi. Ma na imię Jack. Niech odeśle Mulatkę do domu. Nikt poza nią nie może opuścić kwater. - Pogroził jej palcem. - Żadnych sztuczek, siostrzyczko, albo pożałujesz. Taye doskonale sama da sobie radę w kuchni.

- Och, dziękuję! - zawołała Cameron. Wzięła od niego kartkę z poleceniem dla wartownika i wybiegła na korytarz. - Zaraz ją przyprowadzę.

- Nic nie rozumiem - odezwała się Taye, biegnąc za Cameron. - Dlaczego zmienił zdanie?

Przeszły przez ogród i udały się prosto do kuchni.

- Nie wiem. Poszło zbyt łatwo. - Cameron zatrzymała się przed drzwiami. Zasapała się lekko, ale była szczęśliwa. Już wiedziała, jak

bezpiecznie uwolnić niewolników. - Najważniejsze, że jesteśmy razem.

Wzięła Taye za rękę; aż lepiła się od potu. W kwaterach niewolników musi być potwornie gorąco. Powinni dostawać wodę. Cameron postanowiła pomówić o tym z Grantem. Przecież nie sprzeda ludzi, jeśli umrą z pragnienia.

- Najważniejsze, że jesteśmy razem - powtórzyła. - Wypuścimy niewolników, zanim Grant wystawi ich na aukcję.

- Na aukcję? - Oczy Taye napełniły się łzami.

- Tam przecież jest moja mama, wolna kobieta. Grant chyba nie myśli...

Cameron mocniej ścisnęła ją za rękę.

- Spójrz na mnie - przerwała jej w pół zdania. Wiał ciepły wiatr i w powietrzu unosił się zapach jaśminu.

- Wysłałam Naomi, żeby sprowadziła kapitana Logana.

Taye spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Naomi?

- W nocy zamierzam wyprawić niewolników na Północ.

- Och, kapitan Logan. - Taye odetchnęła z ulgą. - Pomoże nam?

To cudownie. Będzie wiedział, co zrobić. Na pewno poradzi sobie z twoim bratem. Grant się go boi.

Cameron stłumiła w sobie narastające poczucie gniewu. Dlaczego Taye tak bardzo lubiła Jacksona?

- Nie wiem nawet, czy Jackson nadal jest w mieście - zauważyła ze złością. - Tak czy owak, wypuścimy niewolników dziś w nocy. Dam im trochę pieniędzy i wskażę drogę do „podziemnego pociągu”.

Taye zarzuciła jej ręce na szyję.

- Powtarzałam mamie, że wszystko będzie dobrze - powiedziała z nadzieją w głosie. - Wiedziałam, że coś wymyślisz!

Cameron z lekkim zażenowaniem uwolniła się z jej objęć i weszła do głównej kuchni. Sama nie była pewna, jak się to wszystko skończy. Taye przeceniała jej możliwości.

- Kolacja gotowa? - zapytał Grant, kiedy Cameron weszła do jadalni. Stał w oknie i palił cygaro Ojciec nigdy nie palił w jadalni.

- Jeszcze małą chwilę. Uśmiechnął się upiornie.

- Cieszę się - oznajmił niemal złowieszczym tonem.

Cameron podeszła do brata. Przed kolacją, specjalnie dla niego, przebrała się w żółtą sukienkę z długimi rękawami i głębokim dekoltem.

- Grant - pociągnęła go za rękaw zielonego surduta - nie obchodzi mnie, za co jesteś zły na Taye, ale nie możesz jej sprzedać.

- Mogę z nią zrobić, co zechcę. - Zachowywał się jak rozkapryszony chłopczyk. - Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Cameron znów zlekła się o Taye.

- Zamierzasz ją sprzedać jak inne niewolnice, chociaż wiesz, że kilka lat temu papa zwrócił jej wolność?

Wzruszył ramionami.

- Może sprzedam, może nie sprzedam. - Strzepnął popiół z cygara na podłogę. - Nie pozwolę, żeby dalej się ze mną drażniła.

Cameron zrobiła wystraszoną minę.

- Nie wiem, o czym mówisz - wyjąkała.

- Akurat! Wszystkie dobrze o tym wiecie. Kręcicie biodrami, trzepoczenie rzęsami, a gdy jakiś mężczyzna da się na to złapać, natychmiast dostaje kosza!

- Grant...

- Najwyższa pora, żeby Taye przestała zadzierać nosa. Niech sobie nie myśli, że jest lepsza od innych. Pokażę jej, czym jest prawdziwa namiętność. Może zabiorę ją do Baton Rouge? Jeśli na to się nie zgodzi, sprzedam ją z innymi. Nareszcie wam pokażę, kto nosi spodnie w tej rodzinie.

- Nie... - szepnęła Cameron, z niedowierzaniem patrząc na brata.

Jeżeli Grant ją skrzywdzi, to będzie moja wina, pomyślała. Przecież to ja go namówiłam, żeby ją wypuścił. Jednak, z drugiej strony, zagroził, że sprzeda Taye do domu rozpusty - słodką, niewinną Taye, najbliższą przyjaciółkę. Świat zwariował. Ogarnęła ją rozpacz, ale dość szybko otrząsnęła się z uczucia bezradności. Musiała tylko trzymać brata z daleka od Taye, póki nie wróci Jackson. A jeśli nie przyjedzie? Wołała o tym nie myśleć. Roztrzęsiona, spuściła wzrok.

- Grant, nie powinnam tolerować takiego zachowania, ale... - z trudem zmusiła się, żeby to powiedzieć - jesteś teraz panem domu. Decyzja należy do ciebie.

Uśmiechnął się z wyższością.

- Cieszę się, że w końcu to zrozumiałaś. Cameron rzuciła okiem na szklaneczkę, którą

Grant postawił na parapecie. Naomi mówiła jej kiedyś, że lulek

podany wraz ze środkiem nasennym wywołuje amnezję. Zastanawiała się, w jakiej proporcji trzeba zmieszać składniki, żeby osiągnąć pożądaný skutek, a jednocześnie nie wyrządzić nikomu krzywdy.

- Nalać ci drinka?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. Dziękuję, siostrzyczko.

- Przyślij ją do mnie na górę - powiedział Grant wspinając się po schodach ze szklaneczką w dłoni. To był już trzeci drink zrobiony przez Cameron, ale wyglądało na to, że alkohol z narkotykiem jeszcze nie przyniósł oczekiwanego efektu.

- Dobrze! - zawołała za nim.

Zrobiło się ciemno, a Naomi jeszcze nie wróciła. Cameron ogarnęło przeczucie, że nie udało się jej znaleźć Jacksona. A może po prostu zabrała pieniądze i uciekła na północ razem z tym swoim Manu? Nawet jeśli tak się stało, Cameron nie zamierzała jej za to potępić. W gruncie rzeczy dość dobrze zdawała sobie sprawę, że ma niewielką szansę na wypuszczenie wszystkich niewolników.

- Poszukam jej i powiem, żeby do ciebie przyszła! - wykrzyknęła.

Grant chwycił się poręczy.

- Cholerne schody - wymamrotał. Próbował machnąć pięścią, ale nie mógł utrzymać równowagi. - Powiedz jej, kto tu rządzi.

Cameron stała na dole schodów równe dziesięć minut, zanim zakradła się do pokoju brata. Tak jak przypuszczała, leżał nieprzytomny na łóżku. Żywiła nadzieję, że nie poczęstowała go zbyt

dużą dawką mikstury. Kiedy usłyszała chrapanie, była pewna, że nic mu nie jest. Gdyby tyle nie pił, miałby się całkiem nieźle. Nie zdołała powstrzymać się od uśmiechu.

Tej nocy Grant Campbell na pewno nie pokaże nikomu, czym jest prawdziwa namiętność, pomyślała z nieopisaną ulgą.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Mam się ubrać, monsieur? *Oui?*

Jackson leżał półnagi w łóżku w ekskluzywnym hotelu. Patrzył na sufit malowany w tańczące cherubiny, księżycy i gwiazdy. Od czasu do czasu rzucał okiem na zgrabną blondynkę, paradującą przed nim tylko w samych pończochach i czerwonych podwiązkach. Mówiła z delikatnym akcentem i z całą pewnością pochodziła z francuskiej koloni w Nowej Szkocji.

- *Oui*. Przecież mówię. - Zgarnął cygaro z mahoniowej szafki, stojącej przy łóżku.

Cerese w mgnieniu oka zbliżyła się, żeby podać ogień. Jej obfite piersi zakołysały mu się tuż przed twarzą. Pachniała mydłem i dobrymi francuskimi perfumami. Jackson słono płacił za czyste dziewczyny. Cerese była w jego typie: energiczna, miła i z doświadczeniem. Jednak zapach tej kobiety nie przywodził mu na myśl żywej ziemi Missisipi. Nie kojarzył się z chłodnym wiatrem i księżycowymi nocami nad rzeką

Pearl. A poza tym Cerese nie była ruda. Miała bladoniebieskie oczy i zbyt łagodny, wręcz potulny tembr głosu.

Jackson zaklął pod nosem i lekceważąco machnął ręką. Kiedyś mógł spędzać całe noce z tą apetyczną kotką. Uczył ją różnych miłosnych sztuczek i potrafił doprowadzić do rozkoszy kilka razy w ciągu jednej nocy. Teraz spoglądał na nią ze znużeniem. Nie takiej kobiety pragnął... Gdy spróbował ją pocałować, poczuł wstręt. Jak to możliwe?

- Mówiłem, żebyś się ubrała! - burknął.

- Widzę, że monsieur jest zdenerwowany. - Cerese uklękła przy łóżku - Mogłabym...

- Nie słyszałaś? Ubierz się. - Popatrzył na nią naburmuszony.

Marzył o tym, aby Cerese jak najszybciej wyniosła się z pokoju. - Nie martw się, zapłacę. - Wstał z łóżka, narzucił szlafrok i wyszedł na balkon.

Kiedy odciągnął zasłony, usłyszał zgiełk ulicy. Chociaż dochodziła północ, w mieście panował gwar jak za dnia. Konne powozy z turkotem toczyły się po bruku. Rozbrzmiewał kobiecy śmiech. Jackson spojrział w dół w nadziei, że jakimś cudem zobaczy tam Cameron Campbell. Gdzieś z oddali dobiegał brzęk bandzo i odgłos znajomych pieśni.

A niech to, pomyślał Jackson, ostatnio stałem się wrażliwy. Liczył na to, że do rana statek będzie gotowy do kolejnego rejsu. Udało mu się załadować cały transport terpentyny. Zdobył parę przydatnych kontaktów i spełnił swoją misję. Dostał nowe rozkazy z Waszyngtonu.

Powinien jak najprędzej znaleźć się na otwartym morzu. Wierzył, że chłodna bryza i zapach morskiej soli pomogą mu zapomnieć o Cameron.

Z namysłem spojrział na jakiegoś człowieka, opartego o pobliską latarnię. Znał go. Tym razem miał na sobie tanią marynarkę i popijał wino z butelki. Innym razem był przebrany za żołnierza lub bogatego biznesmena. Raz nawet udawał latarnika.

- Szlag by trafił - rzucił pod nosem Jackson. Musiał ubrać się i iść na umówione miejsce po nowe instrukcje. Dyskretnie zaszutował na znak, że zrozumiał.

- Monsieur?

Odwrócił się i zobaczył, że Cereze jest ubrana. Gdyby nie jaskrawoczerwona szminka na ustach i róż na policzkach, nikt nie domyśliłby się, że jest miejscową „damą do towarzystwa”. Nosiła się raczej schludnie i z wyraźnym gustem.

- Pieniądze są w górnej szufladzie.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinienem wrócić za niespełna za dwie godziny, uznał. Usłyszał kroki, odgłos odsuwanej szuflady i szelest przeliczanych banknotów. W końcu rozległ się trzask zamykanych drzwi. Jackson wypuścił z ust kłęb dymu i popadł w zadumę. Co teraz robi Cameron? Może bawi się na jakimś balu konfederatów? Śmieje i potrząsała rudymi lokami, które przywodziły mu na myśl najpiękniejsze zachody słońca?



Cameron przeczołgała się po trawie między spichlerzem a stajnią. Wyraźnie czuła charakterystyczny zapach brunatnej ziemi Missisipi. Nad trawą unosiła się mgła. Cameron słyszała odgłosy różnych nocnych stworzeń, a nawet donośne pohukiwanie wielkiej uszatej sowy. Bezkształtne cienie tańczyły jej nad głową. Złękła się, że to nietoperze. Bała się ich, ale musiała być bardzo dzielna. Stanowczo zbyt wiele ryzykowała, żeby pozwolić sobie na chwilę słabości.

Gwiazdy i księżyc skryły się za grubą warstwą chmur. Z obawy przed żołnierzami Cameron nie wzięła ze sobą lampy. Mimo ciemności zauważyła, że kilku ludzi spało pod rozłożystym drzewem. Doliczyła się też trzech strażników, patrolujących okolicę. Pod osłoną nocy i gęstej mgły skradała się dalej.

W pewnym momencie odwróciła głowę i spojrzała za siebie. Chociaż nie zobaczyła Taye, podświadomie wyczuwała, że przyjaciółka czołga się tuż za nią. Obie były ubrane w bryczesy i koszule. Biedna Taye nigdy dotąd nie chodziła w męskim stroju...

Cameron zatrzymała się i zaczęła.

- Myślisz, że nam się uda? - szepnęła Taye.

Cameron wiedziała, że musi spróbować. Zbyt wielu ludzi liczyło na jej pomoc.

- Od kwater dzieli nas nie więcej niż dwieście kroków. -

Wskazała palcem na budynek przed nimi. - Strażnicy na pewno przybiegną sprawdzić, co się pali, a potem zaczną gasić pożar.

- A ty będziesz miała czas, żeby wypuścić niewolników?

Cameron kiwnęła głową.

- Jak tylko podłożysz ogień, biegnij przez sad w dół rzeki. Co prawda, dysponujemy tylko jedną łodzią, ale na szczęście jest całkiem spora. Najwyżej obrócimy kilka razy. - Spojrzała na spichlerz i próbowała ocenić dzielącą ich od niego odległość. Uklękła i podała Taye krzesiwo, które zabrała z domu. - Podpal całe zboże. Chodzi nam o naprawdę duży pożar.

Taye kiwnęła głową.

- Spotkamy się nad rzeką.

- Nad rzeką - potwierdziła Cameron i ruszyli dalej na czworakach. Kiedy dojdę do pasma drzew, będę bezpieczna, pomyślała. Wtedy wstanie i pobiegnie do kwater.

Długo trwało, zanim dotarła pod drzewa. Tam usiadła, żeby poczekać na znak Taye. Odruchowo złożyła ręce jak do pacierza i w duchu błagała Boga o powodzenie planu. Prosto z sypialni Granta pobiegła w dół rzeki. Tam znalazła łódź i coś na kształt pospiesznie skleconej tratwy. Po przeprawie przez rzekę niewolnicy mieli podzielić się na grupy i powędrować na północ, do pierwszego przystanku „podziemnego pociągu” na granicy stanów Missisipi i Tennessee.

Nadal nie było żadnych wieści od Naomi. Z ciężkim sercem musiała pogodzić się z faktem, że dziewczyna uciekła i że Jackson jednak nie przyjdzie jej z pomocą. Była zdana na własne siły.

Nagle poczuła dym. Kiedy pierwsze płomienie strzeliły w powietrze, usłyszała okrzyk strażnika:

- Pali się! Pożar!

- Gdzie? Gdzie? - zawołał ktoś.

Reszta żołnierzy zerwała się na równe nogi i chwyciła karabiny.

- Jimmy! Ty zostajesz! - rozkazał dowódca oddziału, Jenkins. -  
Pilnuj czarnych, a my pójdziemy sprawdzić, co się pali.

Wprawdzie Cameron miała cichą nadzieję, że wszyscy pobiegną do pożaru, ale nawet obecność strażnika nie skłoniła jej do zmiany planów. Cicho podbiegła do pierwszej chaty. Żołnierze zrobili prymitywne skoble, więc nie musiała korzystać z łomu, który zabrała ze sobą z domu. Nie spuszczać wzroku z Jimmy'ego, uniosła pierwszą belkę.

- Cicho - szepnęła, otwierając drzwi. Modliła się, żeby nie zaskrzyphiały zawiasy.

W środku zobaczyła ściśnięty tłum ludzi.

- Panna Cameron... - powiedział jeden z Murzynów. - To panna Cameron.

Rozpoznała go niemal natychmiast.

- Posłuchaj, Bay - zwróciła się do niego po imieniu - Taye podpałiła spichlerz. - Odwróciła się, żeby spojrzeć na wartownika. Stał do niej tyłem i patrzył w kierunku coraz wyżej strzelających płomieni. - Został tu tylko jeden strażnik. Zrób, co musisz, ale go nie zabijaj. Tylko uważaj, ma broń. Bay, wysoki dwudziestoletni chłopak, posłusznie kiwnął głową.

- Co potem, panienko?

- Najpierw uwolnisz pozostałych. Później, nie zwlekając, pójdziecie w stronę rzeki. Tam czeka łódź. Mam dla was pieniądze. Po drugiej stronie spotkacie ludzi, którzy pomogą wam przedostać się na

północ.

- Wolność - wyszeptał uroczyście, jakby wymawiał imię Boga.

Cameron skinęła głową i odsunęła się od drzwi.

Bay zabrał ze sobą kilku silnych mężczyzn, żeby obezwładnić strażnika. Cameron poszła do następnej chaty. Ci niewolnicy, których wypuściła przedtem, otwierali drzwi w innych chatach. Zamieszanie trwało zaledwie chwilę. Uchyliła kolejne drzwi i zobaczyła okrągłą twarz Sukey.

- Sukey - szepnęła i złapała ją za rękę.

Te same, które niosły jej ulgę, gdy miała gorączkę, które bandażowały pokaleczone kolana i myły palce umorusane atramentem.

Sukey zamrugwała jak ślepiec. Miała nieprzytomne spojrzenie.

- Panna Cameron?

Cameron przekazała jej te same polecenia, co wszystkim pozostałym. Za sobą usłyszała stłumiony hałas. Zdażyła się odwrócić na tyle, żeby zobaczyć, jak trzech krzepkich Murzynów powala strażnika na ziemię. Jimmy nie pisnął ani słowem i nie zdołał użyć broni.

- Uciszcie dzieci - rozkazała kobietom. - Do rzeki. Wszyscy do rzeki. Szybko!

Niewolnicy szli w głuchym milczeniu, ale Cameron wyczuwała bijącą od nich woń strachu. Nagły podmuch wiatru przepędził chmury i na polanę niespodziewanie padł blask księżyca. Cameron spostrzegła, że jakaś Murzynka wyraźnie zostaje w tyle. Podbiegła do niej. To była Sukey. Szybko wciągnęła ją do cienia.

- Pospiesz się - szepnęła.

- Moja córka - wymamrotała Sukey. - Zawahała się i zmarszczyła brwi. - Bawi się z ojcem?

Cameron pociągnęła ją za sobą. W przeszłości nigdy nie pytała, kim jest ojciec Taye. Teraz nie miała czasu na takie rozmowy.

- Taye czeka nad rzeką.

Zaczęła biec, zmuszając Sukey, żeby zrobiła to samo.

Gdy dotarły na brzeg rzeki, chmury znowu zasłoniły księżyc. Było tak ciemno, że Cameron potrafiła dostrzec tylko bezkształtne sylwetki ludzi, wsiadających na tratwę. Dzieci zachowywały się niewiarygodnie cicho. Starsze nie odchodziły na krok od rodziców i dziadków, a niemowlęta w milczeniu tuliły się do piersi matek. Ich wielkie oczy błyszczały w mroku.

- Stop! Więcej się nie zmieści! - Usłyszała jednego z Murzynów.

- Następni pojedą drugim nawrotem.

Cameron czekała w tłumie niewolników. Serce waliło jej jak młotem.

- Cam! - usłyszała czyjeś ciche wołanie. Odwróciła się i zobaczyła nadbiegającą Taye. - Gdzie moja mama?

Cameron chwyciła ją za rękę.

- Jest z nami. Czeka na drugi transport. - Prawdę mówiąc, nie chciała rozstawać się z przyjaciółką, ale wiedziała, że tak będzie lepiej.

- Popłyniecie razem.

Taye pokręciła głową, mocniej ściskając rękę Cameron.

- Nie zostawię cię tutaj.

Cameron nie chciała mówić o Grancie. Nie zamierzała jej przestraszyć.

- Tutaj jest niebezpiecznie - szepnęła. - Posłuchaj mnie, musisz jak najszybciej wyjechać na Północ... - Urwała, żeby zaczerpnąć tchu.

- Chyba wiem, gdzie są dokumenty potwierdzające, że jestem wolna - odpowiedziała Taye. - Pan senator trzymał je w tajnej skrytce w sekretarzyku babci...

Cameron poczuła łzy pod powiekami. Usilnie starała się nie rozplakać. Słyszała, jak niewolnicy wysiadają z łodzi na drugim brzegu. Na szczęście w tym miejscu rzeka nie była zbyt szeroka i już po chwili łódź mogła zabrać następną grupę. Jeszcze dwa razy i wszyscy będą bezpieczni, pomyślała Cameron.

- To wszystko nie jest tak, jak myślisz - powiedziała.

- Co to znaczy? - Taye popatrzyła na nią z taką naiwnością, że Cameron ledwie wydusiła z siebie kolejne słowa.

- Hm... Chodzi o mojego brata.

- O pana Granta?

- Oszalał na twoim punkcie. Jeśli mu nie ulegniesz, to...

Taye położyła szczupły palec na ustach Cameron.

- Wszystko w porządku - szepnęła. - Nie musisz nic więcej mówić. Wiem, czego pragnie...

- Tak?

- To trwa już od bardzo dawna. Znęca się nade mną. Próbuje mnie podejść. - Taye mówiła cicho, lecz stanowczym tonem.

- Och, byłam taka głupia! - powiedziała Cameron głośniej, niż

zamierzała. Kilku niewolników spojrzęło w jej stronę, więc szybko ściszyła głos. - Przecież już dawno widziałam, jak on na ciebie patrzy, ale nie przypuszczałam...

- Przestań - przerwała jej Taye. - To nie twoja wina.  
- Pojedziesz na Północ?  
- Pojadę tylko wtedy, jeśli ty też pojedziesz.  
- Nie zostawię Elmwood!  
- Dlaczego? Co cię tutaj trzyma? Po tym, co było, zostały tylko wspomnienia. Tamte chwile już nigdy nie wrócą.

Cameron niespokojnie spojrzęła w stronę domu.  
- Razem pojedziemy na Północ - stanowczo oznajmiła Taye. - Zamieszkamy u Stuartów. Uciekniemy stąd. Uciekniemy przed Grantem.

Cameron zdawała sobie sprawę, że po wojnie Elmwood popadnie w ruinę. To, czego nie sprzeda Grant, zostanie skradzione, splądrowane, a plantacja bez rąk do pracy zarośnie chwastami. Dom. Przecież nie mogę mieszkać tutaj sama, pomyślała z rozpaczą. Dlaczego nie chcę wyjechać, skoro już nie ma ojca?

Nagle oczami wyobraźni ujrzęła Jacksona. Na myśl o jego leniwym uśmiechu zrobiło jej się ciepło na sercu. Jackson jest tutaj. Tu, gdzieś na Południu...

Łódź dobiła do brzegu i reszta kobiet i mężczyzn weszła na pokład. Dawało się wyczuć coraz większy niepokój. Ludzie szeptali głośniej. Byli wyraźnie zdenerwowani. Nawet dzieci zaczęły cicho kwilić. Po dwóch minutach łódź odpłynęła. Jeszcze jeden kurs i

wszyscy niewolnicy znajdą się na drugim brzegu, miała nadzieję Cameron. Wciąż czuła gryzący zapach dymu.

Po drugiej stronie Pearl dwóch Murzynów siedziało nad rozłożoną mapą. Niewolnicy dzielili się na mniejsze grupki i znikali w lesie. Pod osłoną drzew mogli łatwiej dotrzeć do pierwszego przystanku „podziemnego pociągu”.

Taye odnalazła wzrokiem matkę. Sukey stała, przy brzegu i ścisnęła w rękę szal, który kilka lat, temu dostała od senatora.

- Trzeba iść, mamó. Popłyniemy następnym; kursem.

Sukey popatrzyła na nią z głębokim smutkiem.

- Muszę tu zostać z twoim ojcem - odezwała się grobowym głosem.

Taye z ukosa zerknęła na Cameron i bezradnie wzruszyła ramionami.

- Chodź ze mną - łagodnie, ale stanowczo powiedziała do matki - jesteś mi potrzebna.

Sukey milczała. Taye z rezygnacją popatrzyła na Cameron.

- Nie wiem, co się z nią dzieje. Zachowuje się jak obłąkana, chociaż Naomi z uporem twierdzi, że jest zdrowa. - Taye wzięła matkę pod rękę i pociągnęła w stronę rzeki. - Idziemy, mamó.

Podprowadziła ją do łodzi.

- Nic nie rozumiesz - odezwała się Sukey swoim miękkim głosem. - Będzie niepokieszony.

Cameron gwałtownie odwróciła głowę. „Będzie niepokieszony?”. Co to znaczy?! Dobry Boże, Sukey zawsze tak mówiła, gdy Taye



chciała zrobić coś, co nie budziło aprobaty senatora. „Będzie niepokieszony”. Czy Taye jest córką senatora? Jej siostrą?!

Gdzieś za nimi huknęły strzały. Ktoś krzyknął. Wiatr przegnał chmury i księżyc jak na złość oświetlił ostatnią grupę ludzi, która czekała na przeprawę.

- Tam! - rozległ się gruby głos.

Taye spojrzała na Cameron. Nigdy w życiu nie była tak przerażona. Kilku niewolników wskoczyło do wody i zaczęło płynąć na drugą stronę. Ktoś uciekał z dzieckiem na rękach wzdłuż brzegu.

- Stać, bo strzelam! - zabrzmiał okrzyk żołnierza, który w tej samej chwili wybiegł z lasu, wymachując strzelbą. Za nim pędzili inni.

- Brać ich!

Spuścili ze smyczy psy.

- Hej tam! - zawołał Jenkins do biegnących wzdłuż rzeki niewolników. - Ani kroku dalej!

Stanęli jak wryci.

Cameron rozejrzała się z przerażeniem. Sukey gdzieś zniknęła.

- Mamo! - krzyknęła Taye, sprężając się do biegu.

Cameron w ostatniej chwili złapała ją za ramię.

- Zostań! - szepnęła, - Do mnie nie będą strzelać.

Pobiegła za Sukey, która najwyraźniej postanowiła kierować się w stronę domu.

Rozległ się pojedynczy strzał. Ucichło ujadanie psów i brzęczenie owadów. W powietrzu zabrzmiał przeraźliwy krzyk Taye. Cameron miała wrażenie, że pocisk, który trafił Sukey, ugodził ją

prosto w serce.

- Nie! - krzyknęła.

Nikt inny nie miał odwagi się poruszyć. Złapała upadającą Sukey i razem przewróciły się na ziemię. Murzynka nigdy nie była gruba, ale teraz stała się lekka jak piórko. Cameron uklękła i odwróciła ją na plecy. Sukey miała zamknięte oczy. Nie było w niej śladu życia. Pewnie umarła, zanim przewróciła się na ziemię. Taye padła na kolana tam, gdzie stała, i zaniosła się spazmatycznym płaczem. Cameron pocałowała Murzynkę w jeszcze ciepłe czoło i ułożyła ją na trawie. Na twarzy Sukey malował się niezwykle spokojny.

Cameron spode łba spojrzała na Jenkinsa.

- Jeszcze raz pociągniesz za spust - ostrzegła - a zabiję cię własnymi rękami.

Jenkins zmrużył oczy. Nie odpowiedział, ale Cameron czuła, że trochę się przestraszył.

- Otoczyć ich! - rozkazał. - Musimy przejść na drugą stronę i złapać całą resztę. Pan Campbell skopie mi tyłek za to, że ich nie upilnowałem.

Porzucona łódka dryfowała w dół rzeki.

Cameron powoli podeszła do Taye i wzięła ją w ramiona. Nie miała pojęcia, jak teraz obroni serdeczną przyjaciółkę przed Grantem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Następnego dnia Jenkins obudził Granta o świcie i powiedział mu o buncie niewolników. Tych, których udało się złapać, zamknięto w kwaterach i podwojono strażę. Żołnierze z psami wciąż szukali ludzi, którzy zdołali uciec. Jenkins umieścił Cameron w jednym pokoju z Taye i z niewolnicą, którą udało mu się schwytać.

Mimo próśb siostry Grant nie chciał pochować Sukey na rodzinnym cmentarzu. Cameron musiała pogrzebać kobietę, którą kochała jak matkę, na cmentarzu dla niewolników. Grant pozwolił na to, żeby dwóch Murzynów wykopało oddzielny grób, ale przez cały czas musieli mieć nogi skute grubym łańcuchem. Po pogrzebie Grant ponownie zamknął Taye z niewolnikami. Żołnierze otrzymali rozkaz, żeby podpalić chaty, gdyby przypadkiem doszło do nowej próby ucieczki. Cameron weszła do pokoju i rzuciła się na łóżko. Była kompletnie wyczerpana.

- Jeśli wyjdiesz stąd bez mojego pozwolenia, zacznę zabijać czarnych... Rozumiesz? - powiedział Grant, stając w progu i pocierając czerwoną szramę na policzku.

Cameron przymknęła powieki, próbując powstrzymać łzy. Wiedziała, że jeśli zacznie płakać, nie potrafi przestać.

- Słyszysz?! - warknął Grant. Pokiwała głową.

- Co chcesz zrobić? - szepnęła.

W pokoju było duszno, ale nie zamierzała otwierać okna.

- Jeszcze pytasz? Jutro, zgodnie z planem, wystawię ich na sprzedaż. Zarobię trochę pieniędzy.

- Sprzedasz wszystkich? - zapytała z drzeniem w głosie. Bała się wymienić imię Taye.

- Wszystkich.

Cameron była tak zmęczona i przybita, że nie potrafiła rozsądnie myśleć. Może to lepiej, jeśli Taye znajdzie nowego właściciela? - zadała sobie w duchu pytanie. Przynajmniej uwolni się od tego szaleńca.

- Prześpij się. Wyglądasz jak siedem nieszczęść. Aukcja odbędzie się z samego rana. Zaraz potem wyjedziemy. Na szczęście Jenkins zgodził się tu zostać i dopilnować całej reszty. Pojedziemy powozem nad Missisipi i tam przesiądziemy się na statek do Baton Rouge.

Cameron wołała nie pytać, kto będzie im towarzyszył. Ze zdumieniem stwierdziła, że ponad połowa niewolników zdołała uciec do lasu. Reszta będzie sprzedana. Grant zamierzał nawet rozdzielić rodziny. Nie wiedziała, co mu się stało, że był aż chory z nienawiści.

Dobrze, że nasz ojciec nie doczekał tej chwili, uznała. Przynajmniej nie widział, jak jego syn okrył hańbą rodzinę Campbellów.

- Mam jechać z tobą do Baton Rouge? - zapytała beznamiętnym tonem.

- Tak będzie najlepiej. Przynajmniej na razie. Mam wobec ciebie pewne obowiązki.

Cameron spojrzała na brata. Nawet w przyćmionym świetle

wyglądał okropnie, chyba gorzej niż ona. Miał przekrwione oczy, spuchniętą twarz i wykrzywione usta. Szrama na policzku nabrzmiała. Cameron nie czuła się w najmniejszym stopniu winna, że go uśpiła. Chodziło o Taye.

- Nie mogę zostać w Elmwood? - spytała z desperacją w głosie.

- Nie. - Grant znów potarł policzek. - Po twoich ostatnich wyczynach powinnaś być pod ścisłym nadzorem. Gdyby ojciec nie pozwalał ci na te wszystkie wybryki - kontynuował z pogardą - nie byłabyś teraz dla mnie ciężarem. - Podeszedł do drzwi, trzymając się za głowę. Cameron życzyła mu w duchu, żeby ból był nie do zniesienia. - Później przyniosę ci coś do jedzenia. Pamiętaj, jeśli wystawisz choćby czubek nosa zza tych drzwi, Jenkins zacznie zabijać czarnych strzałem w tył głowy, i to będzie twoja wina. Ostrzegam cię. Czy to jasne? W milczeniu pokiwała głową.

- Jasne? - powtórzył głośniejszym głosem. - Nie słyszę.

- Tak - odparła głucho.

Grant wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Co robisz? - Manu stał przy niewielkim ognisku, które rozpalili, żeby upiec skradzione ziemniaki. Przyglądał się Naomi uważnie, z napięciem. Bał się do niej podejść.

Naomi mruczała coś pod nosem w ojczystym języku i rozsypywała przed sobą szczyptę słodko pachnących ziół. Jej głos był spokojny i pełen wewnętrznej siły.

- To zaklęcia - odparła. Manu odsunął się krok do tyłu.

- Wielkie nieba!

Naomi dmuchnęła w gryzący dym i uśmiechnęła się z rozmarzeniem. To był jeden z powodów, dla których go kochała. Manu był wielki i silny. Mógł zabić człowieka gołymi rękami, ale umiał przyznać się do strachu. Sięgnęła do sakwy i wyjęła z niej niedużą murzyńską grzechotkę. Potrząsała nią zgodnie z rytmem własnych myśli.

- A co teraz robisz? - szepnął Manu.

- Przywołuję duchy. Słyszysz, jak nadlatują?

Manu wyteżył wzrok w ciemności. Jedyne przeraźliwe wycie kojotów, dochodzące znad rzeki Missisipi, przerwało ciszę. Pewnie przyszły się napić.

- Słyszę tylko, jak burczy mi w brzuchu - stwierdził i wzruszył ramionami. Roześmiała się cicho i zamknęła oczy. Manu mówił dalej. Opowiadał o tym, co się stało w Elmwood, i zastanawiał się, czy to samo może się wydarzyć się w Atkin's Way. Naomi wdychała zapach ziół i czuła, jak obejmują ją potężne ramiona jej rodzimych bóstw.

Kiedy usłyszała głos, na który czekała, z szacunkiem pochyliła głowę. Potrząsnęła grzechotką i wyśpiewała słowa, których sama nie rozumiała... Nie musiała ich rozumieć. Cichy kobiecy głos powiedział jej, co teraz powinna uczynić. Nieważne, czego pragniesz, tłumaczyła bogini, idź za moim wezwaniem. Idź na drugi brzeg rzeki.

Głos zamilkł. Dym ze spalonych ziół uleciał z wiatrem.

Naomi podniosła się z kolan. Nie wiedziała, ile czasu minęło, odkąd zapadła w trans. Manu właśnie wyciągał ziemniaki z ogniska.

- Czas coś zjeść. - Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

Uradowana Naomi odwzajemniła jego uśmiech. Już wiedziała, co należy zrobić, i to dodawało jej sił do dalszych działań

- Czas coś zjeść - powtórzyła za Manu i schowała grzechotkę. - A potem czas na miłość. - Poglądziła go po twarzy. - Musimy się rozstać, Manu.

Roześmiał się cicho.

- Co ty opowiadasz, słoneczko?

- Idę do Baton Rouge - powiedziała po francusku z wyraźnym akcentem. Nauczyła się tego od matki.

- Nic nie rozumiem. Manu nie idzie do żadnego Baton Rouge, tylko prosto na Północ. Objęła go i przesunęła palcami po jego muskularnych ramionach.

- Zgadza się. Pójdiesz na Północ i sprawdzisz, czy moja mama bezpiecznie dotarła do Tennessee. Zabierzesz się z innymi.

Kiedy zdał sobie sprawę, co chciała mu powiedzieć, posmutniał.

- A ty nie idziesz. Pokręciła głową.

- Pójdę, ale jeszcze nie teraz. - Przytuliła się do niego mocno.

Kiedy nie mogła znaleźć kapitana Logana, postanowiła wrócić do Elmwood. W lesie spotkała Shema i kilku innych niewolników, którzy opowiedzieli jej, co się stało. Nie miała pojęcia, co począć. Wtedy zwróciła się o pomoc do bogów i już wiedziała, jak powinna postąpić.

- Jaki masz plan? - zapytał Manu, patrząc na nią czarnymi oczami.

- Wybiorę się w małą podróż - odparła. - Nie będzie mnie kilka

dni, a potem powędruję na północ i tam spotkam się ze swoim mężczyzną.

Manu potrząsnął głową.

- Nie podoba mi się to. Wcale a wcale. Pogładziła go po policzku.

- Nikt nas nie pytał, czy to nam się podoba. - Wspięła się na palce, żeby sięgnąć jego ust. - Po prostu tak musi być.

- Zaczekam tu na ciebie - szepnął, ale chyba wiedział, że Naomi nie zmieni zdania.

Potrząsnęła głową.

- To zbyt niebezpieczne. Łowcy niewolników przeczesują lasy.

Musisz iść z innymi.

Przyciągnął ją do siebie i oparł głowę na jej piersi.

- Nie jestem pewien, czy mogę iść bez ciebie.

Cameron obudziła się późnym popołudniem i zjadła trochę zimnego mięsa, które przyniósł jej Grant. Po kąpieli przebrała się w nocną koszulę i znowu położyła do łóżka. We śnie słyszała strzały i przeraźliwy krzyk Taye, a także płacz dzieci. Widziała, jak biedna Sukey bez życia pada na ziemię. Ale przede wszystkim widziała Jacksona. Śmiał się jej prosto w twarz. Dlaczego nie przyszedł? Nieustannie zadawała, sobie to pytanie. Budziła się i znowu zasypiała z ciężkim sercem. Dlaczego Jackson jej nie pomógł?

Rano umyła się w resztkę wody i włożyła jasnoniebieską plisowaną suknię, w sam raz na dłuższą podróż. Wzięła też duży słomkowy kapelusz z błękitną wstążką i parasolkę. Kiedy Grant



zapukał, była już spakowana i wyglądała przez okno.

- Wejź! - zawołała od razu.

Rozpoznała odgłos jego kroków. Poza tym to nie mógł być nikt inny. Byli sami w domu. Ona i jej brat, piękna i potwór.

Grant ubrał się elegancko w zielone spodnie i surdut. Miał różową kamizelkę, a pod pachą trzymał modny kapelusz.

- Jesteś gotowa? To bardzo dobrze. - Rozłożył ręce. - Doprawdy wyglądasz ujmująco, siostrzyczko. - Mówił tak, jakby nic się nie stało. Jakby ojciec wciąż żył, a Fort Sumter nie został ostrzelany. - Możesz pójść ze mną na aukcję. Potem wyjeżdżamy. Nie mogę się doczekać, kiedy znów zobaczę Baton Rouge i starych przyjaciół. A ty?

Cameron wyjrzała przez otwarte okno. W oddali stały chaty niewolników. Jenkins zwołał żołnierzy. Wyprowadzili Murzynów na zewnątrz i skuli kajdanami. Kobiety i dzieci stały stłoczone w słońcu. Wśród nich była Taya. Wciąż miała na sobie stare bryczesy Granta. Chodziła między kobietami, próbując je pocieszyć.

- Nie zmienisz zdania? - zapytała Cameron.

- Nie. - Potarł się po policzku. - Możesz pójść ze mną albo zaczekać tutaj.

Popatrzyła na niego. Nigdy nie zachowała się tchórzliwie. Zamierzała obejrzeć aukcję niewolników. Chciała na własne oczy ujrzeć ludzką podłość, której nie zdołała powstrzymać w samą porę. Robiła to dla Taya. Grant wziął parasolkę, leżącą przy oknie i podał ją Cameron. Chciał ująć siostrę za ramię, jakby wybierali się na spacer.

- Idziemy? - zapytał wesoło.

Cameron wyszarpnęła mu parasolkę z dłoni i wyszła z pokoju.

Taye stała w cieniu kwatery i osłaniała oczy przed jaskrawym słońcem. Był dopiero czerwiec, ale panował upał nie do wytrzymania. Obejmowała przerażoną młodą dziewczynę i przyglądała się Jenkinsowi. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co tu widziała. Wszystkich Murzynów ustawiono w długim szeregu i zakuto im nogi w kajdany.

Spojrzała w stronę cmentarza i zatrzymała wzrok na kopcu świeżo usypanej ziemi. Nie płakała po śmierci matki. Jeśli istniało Niebo, to jej ukochana Sukey znów była szczęśliwa u boku senatora. Taye dobrze wiedziała, że największą radość sprawiał jej promienny uśmiech Davida Campbella.

Na dziedzińcu stały powozy sąsiadów, którzy chcieli wziąć udział w aukcji. Taye usłyszała, jak ktoś głośno powiedział, że przybył już licytator i można zaczynać. Ze smutkiem patrzyła na długi szereg Murzynów, maszerujących w stronę stajni. Rankiem zbudowano tam niewielki podest, na którym niewolnicy mieli być wystawieni na widok klientów. Kobiety szły nieco z tyłu. Taye ruszyła za nimi. Przechodząc przez podwórze, spojrzała na główny budynek, który kiedyś, przez wiele lat, był jej prawdziwym domem.

Ciekawe, co z Cameron? Z pewnością Grant wściekł się na wieść o pożarze i ucieczce niewolników. Taye modliła się w duchu, żeby Grant nie skrzywdził Cameron. Przecież to nie jej wina, pomyślała. Próbowwała tylko spełnić życzenie ojca. Chciała pomóc tym, którzy w

życiu mieli mniej szczęścia od niej.

Grupka kobiet stanęła na lewo od platformy. Najpierw licytowano mężczyzn. Taye z przejęciem patrzyła, jak ludzie, których znała, raz po raz trafiają do nowych właścicieli. Kiedy obserwowała całe to niecodzienne zajście, jej myśli powędrowały gdzieś bardzo daleko...

Wspominała tańczącą i roześmianą mamę. Cameron na rączym wierzchołku, skaczącą przez furtkę, i jej rude włosy rozwiane na wietrze. Pomyślała nawet o panu Burlu. Słodki i czarujący Thomas. Od śmierci senatora Taye starała się o nim zapomnieć. Dlaczego postanowił zniknąć z jej życia? Tamtego wieczoru był tak bardzo szczery. Pierwszy raz wyznał, co do niej czuje. Czemu go odtrąciła? Owszem, zdawała sobie sprawę, że nigdy nie będą razem, ale przynajmniej mogła być dla niego miłsza. Dlaczego nie przyznała się do swoich uczuć, skoro on dał jej do tego tak świetną okazję?

Któryś z żołnierzy skinął na kobiety. Murzynki zaczęły wchodzić na platformę, Taye spostrzegła Cameron i aż nią zatrzęsło. Jej przyjaciółka stała tuż obok Granta. Nad głową trzymała zgrabną parasolkę. Popatrzyła na Taye. Nie powiedziała słowa, ale coś dziwnego zamigotało w jej oczach. Coś jak poczucie winy. A może nadzieja? Chciała jej coś powiedzieć? Może obiecywała, że spróbuje jej pomóc bez względu na to, co się jeszcze stanie?

Taye uśmiechnęła się dzielnie.

Właśnie zabrano młodą niewolnicę, która stała tuż przy niej. Dziewczyna zanosila się spazmatycznym płaczem.

Taye wyprostowała się i z dumnie uniesioną głową ruszyła w stronę podestu. Nie płakała. Nie okazała słabości, na którą wszyscy czekali. Była niczym Cameron Campbell. Weszła po chwiejnych schodkach.

- Chryste, tylko nie ona! - nagle krzyknął Grant. Licytator uniósł wzrok i lekko odchylił rondo

słomianego kapelusza. Taye jak zahipnotyzowana przyglądała się kropelkom potu, spływającym po jego twarzy.

- Jaka „ona”?

- Tamta. - Grant nerwowo wskazał laską na Taye. - Zabierzcie ją z podestu. Ona nie jest na sprzedaż. Zabieram ją ze sobą.

W chwilę później Taye zemdląa.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Cameron siedziała na krawędzi koi w prywatnej kajucie i zimną wodą przemywała twarz Taye. Łódź płynęła powoli na południe w kierunku Baton Rouge. Wszystko wskazywało na to, że dotrze do portu zgodnie z planem.

Kiedy Mulatka zemdlała na aukcji w Elmwood, Grant kazał zanieść ją do powozu. Nad brzeg Missisipi dotarli, zanim licytacja dobiegła końca. Cameron nie zdążyła pożegnać się ze swoim ukochanym Elmwood i z ludźmi, którzy przez tyle lat byli jej wierni.

Teraz miała inne zmartwienie. Taye straciła przytomność, więc mogła doznać jakiegoś urazu głowy albo zachorować. W powozie Cameron usiadła z dala od brata i kołysała Taye w ramionach. Piękna Mulatka budziła się co pewien czas, mruzczała coś niezrozumiale, a potem znów zasypiała.

Cameron w końcu zdała sobie sprawę, że biedna Taye była po prostu wyczerpana. Zemdlała ze strachu przed Grantem albo z poczucia ulgi, że nie zostanie sprzedana jak zwykła niewolnica. Biorąc pod uwagę, jak bardzo przeżyła śmierć matki, to był prawdziwy cud, że nie popadła w obłąd.

Taye zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy.

- Cameron - szepnęła.

- Dzień dobry, śpiochu.

Mulatka rozejrzała się po maleńkiej kajucie. Pomieszczenie miało

zaledwie dwa na trzy jardy. Oprócz koi, na której teraz leżała, stała w nim pojedyncza, rozkładana prycza. Na szczęście była to prywatna kajuta. Podróżowały same i nawet Grant ich nie nachodził. Spędził noc w kabinie kapitana, gdzie oczywiście pił i grał w karty.

Taye podparła się na łokciu i usiadła.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała sennie.

- Na łodzi. Płyniemy do Baton Rouge.

- Myślałam, że mnie sprzeda, i było mi to zupełnie obojętne.

Cameron ujęła przyjaciółkę za rękę i pociągnęła ją delikatnie, żeby się położyła.

- Cicho, maleńka. Na razie nie chcę tego słuchać.

Taye była posłuszna jak dziecko. Bez słowa sprzeciwu ułożyła głowę na poduszce. Wyciągnęła rękę i pogładziła Cameron po policzku. W jej oczach malowały się cierpienie i smutek. Cameron poczuła, jak z żalu ściska się jej serce.

- Nie byłam całkowicie nieprzytomna - wyjawiała Taye. - Słyszałam, co mówił Grant w powozie. Wiem, co zamierza zrobić.

Przez cały ten czas, kiedy zajmowała się Taye, Cameron starała się nie myśleć o zamiarach brata. Prawda była taka, że nadal nie zmienił planów. Chciał sprzedać Taye do jednego ze znanych domów publicznych w Baton Rouge za możliwie najwyższą cenę. Dom nosił nazwę „Juchoir”, co po kreolsku znaczyło tyle co „Grzęda”. Przezornie zamienił już słowo z właścicielem przybytku, niejakim Peppinem Toussantem. Taye mogłaby pracować nocą, a w dzień - razem z innymi kobietami - pełnić rolę służącej. Grant z zachwytem oznajmił siostrze,

że za niebieskooką Mulatkę Peppin zapłaci sporą sumę. Dziewice zawsze były w cenie.

- Nie pozwolę mu na to. Przysięgam, że go powstrzymam. Nie dopuszczę do tego, żeby cię sprzedał.

- To już nie ma żadnego znaczenia. Mamy nie ma. Nie ma też Elmwood. - Taye uśmiechnęła się smutno. - Mój kochany pan Burl zniknął na dobre. Budowałam zamki na lodzie...

Cameron lekko potrząsnęła ją za ramię.

- Nie możesz się poddawać. Musisz walczyć. Nie puścimy mu tego płazem.

- On ma do tego prawo.

- Oczywiście, że nie ma. Nie wolno ci tak myśleć!

Mulatka skuliła się, jakby przypuszczała, że przyjaciółka chce ją uderzyć. Cameron ogarnął wstyd. Taye zachowywała się jak skrzywdzone dziecko. Potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie. Kiedy Cameron znów się do niej zwróciła, posłużyła się łagodnym tonem, którym przemawiała do swoich ukochanych koni.

- Jesteś wolna. Grant nie może cię sprzedać.

- Nie mam na to żadnych dowodów. Chyba że ty je masz.

- Nie pozwolił mi wejść do gabinetu papy. Szkoda, bo zyskałam niemal pewność, że uda mi się je znaleźć.

Taye odwróciła się na drugi bok, plecami do Cameron.

- To już zupełnie nieistotne. Jej głos zabrzmiał obco.

Cameron popatrzyła na nią z westchnieniem. Wprawdzie nie mogła powstrzymać wojny, wskrzesić ojca i uratować niewolników, ale

była w stanie ocalić Taye przed zemstą swojego brata. Taki był główny cel jej obecnej podróży. Grant zdradzał wszelkie cechy choroby umysłowej. Dobrze wiedział, że nigdy nie zdobędzie Taye, więc postanowił zrujnować jej życie.

Poprzedniego dnia wygłosił napuszoną mowę. Wytknął siostrze jej wszystkie wady i nie pozostawił suchej nitki na Taye i tragicznie zmarłym senatorze. Cameron dobrze pamiętała dzień, w którym Taye wpadła do strumienia. Ojciec rozzłościł się wtedy na syna, ale dość szybko mu wybaczył. Grant jednak wyraźnie się zmienił. Wbił sobie do głowy, że mają go za tchórza.

Cameron wstała z koi, żeby wziąć chleb, ser i szklanekę mleka, które przyniosła z mesy. Miała nadzieję, że Taye zechce coś zjeść. Ostatnio bardzo schudła. Jeśli tak dalej pójdzie, nic z niej nie zostanie, pomyślała ze smutkiem. Zastanawiała się, jak może jej pomóc.

Baton Rouge to ludne i hałaśliwe miasto. Cameron ostatni raz była tu z ojcem rok temu, ale zapamiętała je inaczej. Miasto zmieniało się w zawrotnym tempie, lecz to nie znaczy, że na lepsze. Wszystko - ulice, chodniki, a nawet witryny sklepowe - wyglądało tandetnie. Było wręcz oczywiste, że wojna jeszcze tutaj nie dotarła. Cameron z ciekawością wyglądała przez okno wynajętego powozu, który wiózł ich szeroką aleją.

Czy tutaj nikt nie zdawał sobie sprawy, że na północy walczą ludzie? Jedni ginęli w imię własnych przekonań, inni za wolność. Oparła głowę o szybkę. Czuła się zupełnie oderwana od świata, który ją



otaczał. Od rana do wieczoru zastanawiała się, jak uratować Taye. W jej głowie zaczął świtać pewien plan. Przypuszczała, że prędzej czy później pojawi się szansa ucieczki. Grant oznajmił, że kiedy dojadą do domu, zostaną rozdzielone i nie będą mogły wychodzić bez pozwolenia. Nie chciał, żeby znów uknuły za jego plecami jakiś podstęp.

Cameron spojrzała na siedzącą obok przyjaciółkę. Miała szeroko otwarte oczy, ale sprawiała wrażenie nieobecnej. Przypominała Sukey w kilka dni po pogrzebie senatora. Teraz, kiedy Cameron podejrzewała, że Taye może być córką Davida Campbella, zachowanie gospodyni stało się dla niej bardziej zrozumiałe. Straciła umiłowanego mężczyznę i ojca ukochanej córki.

Poklepała Taye po dłoni. Jeszcze za wcześnie, żeby dzielić się z nią tymi przypuszczeniami, uznała. Nawet jeżeli Taye rzeczywiście jest jej siostrą, Cameron postanowiła zachować tę informację dla siebie. Potrzebowała konkretnych dowodów. Istniało jednak podejrzenie, że nigdy nie pozna prawdy. Ci, którzy mogli rzucić światło na tę sprawę, nie żyli.

Cameron ścisnęła przyjaciółkę za rękę. Nie chciała, żeby ktoś ją skrzywdził. Zamierzała zabrać ją z Baton Rouge i bezpiecznie przemycić na Północ. Co prawda, nie wiedziała, jak to zrobi, ale była głęboko przekonana, że jej pomysł ma pełne szanse powodzenia.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Grant i uśmiechnął się tak, jakby byli na niedzielnej przejażdżce. - Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. - Spojrzał na Cameron i mimowolnie dotknął szramy na

policzku, która wydawała się teraz jakby większa. Blizny mają to do siebie, że latem często puchną. - Pójdziecie prosto do swoich pokoi - dodał i wskazał na Taye. - Niech dobrze przygotuje się do pierwszej pracy.

Cameron miała ochotę uderzyć go w twarz, ale wiedziała, że nie tędy droga. Z Grantem trzeba było obchodzić się delikatnie, więc tylko kiwnęła głową.

- Jak chcesz. - Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło, ale wiedziała, że to konieczne. Odwróciła się, żeby brat nie dostrzegł pogardy w jej oczach.

Na razie, pocieszyła się w duchu. Na wszystko przyjdzie odpowiednia pora...

Niemal cały następny tydzień Cameron przesiedziała w swoim niewielkim, ale przytulnym pokoju w miejskiej rezydencji ojca. Była odcięta od reszty świata. Nie widywała nikogo oprócz Granta i jego wiernej służby. Całymi dniami zajmowała się planowaniem ucieczki.

Pewnego wieczoru Grant zaprosił ją na kolację. Ubrała się elegancko i skorzystała z zaproszenia, udając posłuszną siostrę. Nie widziała Taye, ale słyszała w korytarzu krzątanicę służących i krawcowych.

Grant nie starał się już więcej uwodzić Taye. Cameron była mu za to bardzo wdzięczna. Na razie mogła tylko czekać na jakąś okazję, żeby uchronić przyjaciółkę od dalszej niedoli. Prawdę mówiąc, była już zmęczona tym wyczekiwaniem. Z zaskoczeniem przyjęła kolejną

wizytę Granta.

- Nie będzie mnie dzisiaj na kolacji - oznajmił, wchodząc do jej pokoju. Miał na sobie kosztowny jedwabny surdut, różową kamizelkę, nieskazitelnie białą koszulę i wykrochmalony fular.

Cameron poczuła, że serce podchodzi jej do gardła, więc pospiesznie odwróciła głowę, żeby Grant nie dostrzegł strachu w jej oczach.

- Co się stało? Zwykle wychodzisz dużo później. Uśmiechnął się szeroko.

- Dziś jest nasz wieczór. Mój i Taye. Cameron wstrzymała oddech.

- Wiesz, że nie podoba mi się to, co robisz - powiedziała, starając się, aby jej głos zabrzmiał obojętnie.

- A ty wiesz, że nie obchodzi mnie, co sobie myślisz. - Przesunął ręką po twarzy. - Upokorzyła mnie, więc teraz ja ją upokorzę.

- Mogę się z nią pożegnać? - cicho zapytała Cameron.

Grant przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, widać było, że bije się z myślami.

- Zawołam cię - zdecydował w końcu. - Powiesz mi, czy jest dobrze ubrana na taką okazję.

- Zgoda - odparła.

- Potem wrócisz do siebie. Jeżeli dalej będziesz grzeczna, to w przyszłym tygodniu może cię gdzieś zabiorę. Do teatru albo na obiad. Co ty na to?

A żebyś zdechł, odpowiedziała mu w duchu, lecz skinęła głową.

- Dziękuję. Nie chcę siedzieć sama. Odwrócił się i wyszedł na korytarz.

- Zawołam cię około siódmej.

Mały zegar w sypialni Cameron wydzwonił siódmą. W drzwiach pojawiła się służąca.

- Pan Grant czeka w salonie - oznajmiła.

Na korytarzu Cameron zobaczyła siedzącego na podłodze mężczyznę w kowbojskim ubraniu. Miał rewolwer wetknięty za pas i dużym nożem czyścił paznokcie. Cameron wcale nie musiała pytać, po co tam siedzi. Wiedziała, że to strażnik. Minęła go bez słowa.

Po chwili weszła do salonu. Taye już tam była. Miała na sobie piękną jasnoniebieską suknię z dekoltem i bufiastymi rękawami. Spod rąbka spódnicy wystawał kawałek koronkowej halki. Czarne i błyszczące włosy były poskręcane w drobne loczki. Cameron nawet z drugiego końca pokoju poczuła zapach perfum.

- Taye? - zagadnęła, próbując zapanować nad głosem.

Grant siedział na fotelu z kieliszkiem w ręku i z zadowoleniem przyglądał się kobietom.

- Obróć się, Taye - polecił. - Musisz być bardziej posłuszna.

Taye zrobiła, co jej kazał.

Miała jeszcze bardziej szkliste spojrzenie niż w zeszłym tygodniu. Patrzyła na Cameron tak, jakby w ogóle jej nie widziała.

- Jak ci się podoba? - zapytał Grant, sącząc whisky. - Całkiem ładniutka, prawda? Peppin oszaleje na jej widok. Zgarniemy sporo

pieniędzy. Rzadko trafia się Mulatka o niebieskich oczach, i w dodatku dziewczica.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

Taye rzeczywiście prezentowała się wspaniale. Jej suknia była arcydziełem krawieckiego kunsztu. Wyglądała w niej niezwykle młodo. Cameron przyjrzała się przyjaciółce z niepokojem. Podbiegła do niej i mocno ją przytuliła. Taye nie odwzajemniła uścisku.

- Nie martw się, wyciągnę cię z tego, szykuj się do ucieczki - szepnęła jej do ucha w nadziei, że Grant tego nie zauważy.

Wydawało jej się, że w oczach Taye zamigotał dawny blask.

- Co o tym myślisz? - Grant podniósł się z fotela i przetarł okulary. - Pasuje?

- Jak najbardziej - odrzekła Cameron, starając się nie myśleć o przeznaczeniu tej pięknej sukni.

- Idziemy! Muszę odwiedzić jeszcze kilka miejsc, zanim dotrzemy do „Juchoir”.

Puścił Taye przodem.

- Tylko nie próbuj żadnych sztuczek - ostrzegł, wskazując palcem na siostrę. - Natychmiast wracaj do pokoju, żeby Jules mógł mieć na ciebie oko. Jak będziesz grzeczna, jutro wybierzemy się na przejażdżkę.

Bezradna Cameron patrzyła przez okno, jak Grant i Taye wsiadają do powozu. Potem okręciła się na pięcie, wyszła z salonu i pobiegła po schodach na górę.

Z łatwością wymknęła się przez okno nad małym kuchennym daszkiem. Strażnik nawet nie podejrzewał, że zniknęła. Dzięki Bogu, kilka lat temu, kiedy senator Campbell kupował dom w Baton Rouge, Grant uparł się na pokój z ładniejszym widokiem od dziedzińca. Cameron nigdy nie udałoby się uciec oknem wychodzącym wprost na ulicę.

Szła główną aleją ubrana w bryczesy, koszulę i parę butów. Słońce już prawie zaszło i nad Luizjaną zapadał pogodny wieczór. W powietrzu unosiło się mnóstwo nieprzyjemnych woni - zgniłych warzyw, brudu i spoconego ciała. Z każdego zakamarka bił smród. Aż ją kręciło w nosie...

Po chwili minęła elegancką dzielnicę i dotarła na obskurne obrzeża miasta. W ciągu niespełna godziny znalazła to, czego szukała. Starła się nie myśleć o tym, ile ryzykuje. W starej drewnitni przebrała się w skradzione ubrania. Twarz wymazała ryżowym pudrem, a policzki przyprószyła różem. Nie miała lusterka, w którym mogłaby się przejrzeć, więc tylko modliła się, żeby jej starania przyniosły oczekiwany efekt. Tak mocno ścisnęła gorset tandetnej lawendowej sukni, że piersi prawie wyskoczyły jej zza dekoltu. Miała nadzieję, że w tym przebraniu łatwiej wmiesza się w tłum dziewcząt w „Juchoir”.

Kiedyś już je widziała. W Baton Rouge wylegały na ulice po zmroku, a nawet nawoływały klientów przez okna. Sukces tkwi w odpowiednim zachowaniu, pomyślała. Mogła się przebrać, ale czy potrafi ukryć to, kim jest - rozpieszczoną córką senatora Davida Campbella, do niedawna opływającą we wszelkie luksusy?

Przemknęła bocznymi alejkami i pospieszyła ulicą, gdzie pomiędzy innymi domami publicznymi stał słynny „Juchoir”. Tutaj mężczyźni przychodzili grać w karty, wypić, zjeść coś i zabawić się z dziewczyną. Rzecz jasna wszystko miało swoją cenę...

Cameron wzięła głęboki oddech i weszła na pokryty brudnymi deskami chodnik. Wyraźnie kręciła biodrami i rzucała ponętne spojrzenia każdemu mężczyźnie. Nauczyła się tego przez miniony tydzień, patrząc z okna na kobiety lekkich obyczajów; szukające klientów w pobliżu posiadłości Granta.

Nie zdążyła zrobić nawet dziesięciu kroków, a już ktoś na nią zagwizdał. Zanim dotarła do tylnych drzwi przybytku pana Toussanta, zaczepiło ją dwóch pijaków. Po cichu weszła do środka i znalazła się w kuchni.

- Co tu robisz, cukiereczku? - Za wielkim osmolonym piecem stała gruba Murzynka ze złotymi zębami. - Jak pan Toussant zobaczy, że się lenisz, wyleje cię na zbity pyszczek.

Cameron próbowała wczuć się w swoją rolę. Podeszła do pieca.

- A może mnie wywalić. Nic mnie to nie obchodzi- powiedziała zuchwale. - I tak zamierzałam odejść.

Murzynka zmarszczyła grube brwi.

- Patrzcie ją, jaka odważna. Zmykaj z mojej kuchni i zabieraj się do roboty.

Lekko popchnęła Cameron w kierunku prowadzących do drugiej izby drzwi. W jej głosie brzmiało niekłamane współczucie. Cameron uśmiechnęła się i weszła do pokoju, jakby była stałą bywalczynią tego

domu. Szybko odnalazła główny salon. Już z korytarza usłyszała szczebiotanie kobiet, poczuła zapach cygar, perfum i whisky. Wślizgnęła się do pokoju i od razu zaczepił ją jakiś brodaty mężczyzna.

- Witaj, moja słodziutka. - Musnął ustami jej policzek, więc zaczęła udawać nieśmiałą. - Toussant mówił, że nie ma dzisiaj rudych. Przysięgam, skopię mu tyłek. Jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką tutaj widziałem... przynajmniej w tym tygodniu. Jestem George Atwall z Biloxi. Cholernie mi miło.

Cameron uśmiechnęła się i powiodła wzrokiem po pokoju. Za nic w świecie nie chciała przegapić przyjazdu Granta. Słyszała, jak wieczorem przechwalał się przed Julesem. Aukcję zaplanowano dopiero na dziesiątą, ale przecież zawsze mógł zjawić się wcześniej. Bez wątpienia miał ochotę osobiście przedstawić wszystkim atrakcję wieczoru. Nie przepuściłby takiej okazji.

- Jak masz na imię, moja droga? - zapytał Atwall i zamaszystym gestem przytulił ją do siebie.

- Tawny - odpowiedziała łagodnym głosem, muskając palcami klapy jego surduta.

- Tawny? Och, co za słodkie imię. Nie uwierzysz, lecz kiedyś znałem pewną dziewczynę...

Cameron nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Wciąż rozglądała się po mocno zadymionym salonie. Grant i Taye jeszcze nie przyjechali. Miała więc trochę czasu, żeby znaleźć najlepszą drogę ucieczki. Z kokieteryjnym uśmiechem na twarzy policzyła wyjścia i spojrzała na schody. Nagle stanęła jak wryta. Nie, to niemożliwe! Z



niedowierzaniem przetarła oczy.

Zmarszczyła czoło i poczuła, jak wzbiera w niej złość. Przecież to nikt inny tylko ten skurczybyk Jackson Logan!

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Cameron szybko odwróciła się w stronę stojącego obok niej Atwalla. Prawdę mówiąc, niewiele brakowało, żeby roześmiała się na całe gardło. Sytuacja była wręcz absurdalna. Najpierw uciekła przez okno, ukradła ubranie, a teraz udawała, że jest dziwką. A najbardziej ubawiła ją obecność Jacksona Logana.

George Atwall opowiadał o swoich interesach w Baton Rouge, a Cameron raz po raz rzucała okiem w stronę kapitana. Gawędził z dwiema prostytutkami: blondynką i wyraźnie farbowaną brunetką. Pochłonięty rozmową, nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co się działo wokół.

Co teraz? - zachodziła w głowę Cameron. Owszem, mogła skutecznie ukrywać się przed bratem, ale jak uniknąć spotkania z Jacksonem? A może poprosić go o pomoc? Nie, postanowiła. Przecież nie posłuchał wezwania Naomi. Gdyby w porę przyjechał do Elmwood, na pewno nie doszłoby do najgorszego.

George Atwall pochylił się i szepnął jej coś nieprzyzwoitego do ucha. Jeszcze parę tygodni temu byłaby zażenowana, ale teraz tylko się zaśmiała. Tak naprawdę nie zwracała uwagi na to, co mówił. Musiała

po prostu odegrać swoją rolę. Na dobrą sprawę nie mogła winić za wszystko Jacksona. Przecież nawet nie wiedziała, czy Naomi rzeczywiście go szukała.

Znów na niego spojrzała. Kapitan Jackson Logan...

Blondynka beczelnie się do niego wdzięczyła. Miała na sobie skąpą koronkową sukienkę z obcisłym stanikiem, który ledwie zakrywał sutki. Jej policzki pokrywała gruba warstwa różu, a oczy były obrysowane czarną kredką. W jasne włosy wplotła maleńkie ptasie piórka. Co za rozpustnica! Z uwielbieniem patrzyła na Jacksona brązowymi oczami, najwyraźniej próbując go zachęcić, żeby poszedł z nią na górę. Cameron spojrzała na szerokie, wiodące na piętro schody. Wiedziała, co się dzieje w tamtych pokojach.

Jackson przyglądał się blondynce z uśmiechem na twarzy. Rozpustnik, najgorszy łajdak! - oburzała się w duchu Cameron. Zachowuje się jak na eleganckim balu, a nie w pierwszym lepszym domu publicznym!

Cameron patrzyła na niego spod oka i zastanawiała się, co on tutaj właściwie robi. Nagle zrobiło jej się bardzo przykro. Dlaczego Jackson, do wszystkich diabłów, zadawał się z dziwkami?!

George z Biloxi próbował ją pocałować w ucho.

- Wybacz, kolego - powiedziała z figlarnym uśmiechem - chyba ktoś mnie woła. Zaraz wracam, przyrzekam.

Gładko wyślizgnęła się z jego objęć.

- Zaczekaj! - Atwall ruszył za nią, ale jakaś dziewczyna w pomarańczowej sukni złapała go za rękę i pociągnęła za sobą.

- Dokąd się wybierasz, mój drogi? - zagadnęła.

Cameron przepchnęła się przez tłum gości na drugą stronę salonu. Musiała zapomnieć o dumie, jeśli naprawdę chciała uratować Taye. Jackson mógł jej w tym pomóc. Pytanie brzmiało: Jak porozmawiać z nim na osobności? Odpowiedź była prosta: grać swoją rolę do końca.

Cameron, kusząco kręcąc biodrami, podeszła do Jacksona. Siedział na niebieskim wygodnym fotelu z szerokim oparciem. Blondynka zalotnie kucała obok niego, a brunetka usiadła na niskim taborecie, tuż przy jego nogach.

- Witaj, przystojniaku - powiedziała Cameron, dając Jacksonowi lekkiego kuksańca.

- Moje uszanowanie, najdroższa. Miło mi. - Odwrócił głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Przez krótką chwilę Cameron bała się, że odprawi ją z kwitkiem. Potem zauważyła, że jest rozbawiony. - Miło mi cię poznać.

Cameron westchnęła z ulgą. Zyskała pewność, że Jackson nikomu nie zdradzi jej prawdziwej tożsamości. Domyślała się, że może jej dokuczać, ale będzie przy nim bezpieczna. Próbowwała uśmiechnąć się uwodzicielsko, lekko mrużąc oczy, jak inne dziewczęta. Wydęła dolną wargę, wiedząc, że inni też jej się przyglądają. Nie mogła wzbudzić żadnych podejrzeń.

- Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej. Mamy spore zaległości, Złociutki.

Blondynka obruszyła się, wyraźnie rozgniewana.

- A ty coś za jedna? Nigdy cię tutaj nie widziałam. Cameron z trudem zapanowała nad przerażeniem.

- Tawny. A ty? - zapytała.

- Lacey. Lacey Silk we własnej osobie. Wszyscy mnie tu znają. Cameron przesunęła dłonią po szerokim ramieniu Jacksona. Już się nie bała. Przede wszystkim potrzebowała jego wsparcia i pomocy.

- Wkrótce i Tawny będzie tu dobrze znana....

- Masz rację, moja droga - zażartował Jackson, rozbawiony wymianą zdań między nią a Lacey.

Uszczypnęła go prosto w kark, tuż pod kucykiem. Jackson zachnął się odruchowo, a Cameron pochyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Zagryzła wargi, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Może się wyrwiemy? - zaproponowała.

- Gdzieś, gdzie będziemy sami? - zapytał z sarkazmem. - Gdzie będziemy mogli lepiej się poznać, Tawny? - z naciskiem przeciągnął ostatnie słowo.

Przysunął się tak blisko, że gdyby Cameron pochyliła się nieco, dotknęłyby ustami jego warg. Dałaby wiele, żeby móc go teraz pocałować. Wiedziała, że to niedorzeczne, ale przecież cała ta sytuacja była absurdalna.

- Właśnie o tym myślałam - odparła z westchnieniem, nie odrywając spojrzenia od jego twarzy.

- Hej, chwileczkę - zaprotestowała Lacey. Odsunęła na bok brunetkę. - Nie wiem, kim jesteś i co sobie wyobrażasz, ale ja byłam pierwsza. Lepiej stąd zmiataj - zagroziła.

Cameron rzuciła szybkie spojrzenie Jacksonowi, ale on wciąż siedział w fotelu i patrzył na nią z wyczekiwaniem. Ręce skrzyżował na piersi.

- A kto powiedział, że byłaś pierwsza? - zapytała Cameron, biorąc się pod boki.

- Kto? Ja! - Lacey dał krok naprzód i popchnęła ją wyzywającym ruchem.

Cichy pomruk przebiegł przez salę. Cameron poczuła na sobie wzrok wszystkich obecnych. Nie miała wyboru. Musiała jak najszybciej porozmawiać z Jacksonem. Najlepiej na osobności. Niewiele myśląc, także popchnęła rywalkę. Lacey rzuciła się na nią z pazurami, ale Cameron odsunęła się w ostatniej chwili i dziewczyna runęła na podłogę. Wrzasnęła i podniosła się, poprawiając różową halkę.

- Ty głupia suko! Już ja ci pokażę!

Cameron zacisnęła pięści, gotowa do odparcia kolejnego ataku. Klienci gwizdali i tupali.

- Zaraz, zaraz... Co się tutaj dzieje?

W polu widzenia pojawił się wysoki mężczyzna w czerwonym szlafroku z wyhaftowanym smokiem. Wyraźnie był wściekły. W jego wyszminkowanych ustach tkwiło grube cygaro.

- Peppin, mój przyjacielu! - natychmiast zawołał Jackson.

Wyglądało na to, że postanowił przerwać całe to przedstawienie, zanim Cameron naprawdę popadnie w tarapaty.

Peppin Toussant uśmiechnął się szeroko.

- Och, pan kapitan Logan. Nikt nie uprzedził mnie o pana wizycie.

Mówił charakterystycznym dialektem mieszkańców Południa, w dodatku z francuskim akcentem. Wyciągnął rękę do Jacksona.

- Miło cię znów widzieć, Peppin - przywitał się z nim Logan.

- Co tu mamy? - zapytał Toussant, rzucając okiem na kobiety.

Kiedy spojrział na Cameron, widać było, że jej nie zna. - Matty cię zatrudnił? - spytał.

Od razu pokiwała głową, wdzięczna za dobrą wymówkę.

- Ta zołza chciała mi wykraść klienta! - wykrzyknęła Lacey.

Peppin uciszył ją jednym spojrzeniem i odwrócił się do Jacksona.

Dym z cygara fantazyjnie unosił się nad jego głową.

- Znów się o ciebie biły?

Lacey zrobiła się czerwona, jakby miała zaraz wybuchnąć.

- Ja byłam pierwsza, a potem przyszła ta ruda! - obstawała przy swoim.

- Uspokój się, Lacey, *mon amour*. - Peppin uniósł muskularną rękę i dziewczyna natychmiast zamilkła. - Jestem pewien, że możemy dojść do porozumienia. Prawda, kapitanie Logan, *mon ami!*

- *Oui*. Bez dwóch zdań - odrzekł Jackson. Przyciągnął do siebie Cameron i Lacey. - Wezmę obie.

Gruchnął śmiech. Klienci powrócili do przerwanych rozmów. Peppin uniósł brwi, które po bliższych oględzinach też wyglądały na pomalowane.

- Jak tam interesy?

- Nigdy nie było lepiej. - Jackson mrugnął do niego porozumiewawczo. - A teraz wybacz...

Ruszył w kierunku schodów, ciągnąc za sobą dziewczęta.

Cameron próbowała się wyrwać, ale ostrzegawczo ścisnął ją za nadgarstek. Dał jej do zrozumienia, że i tak pójdzie z nim na górę.

- Idziemy do ciebie - szepnął do Lacey. - Dobrze zapłacę.

Blondynka wbiegła po schodach.

- Jestem od niej lepsza.

Źrenice Cameron rozszerzyły się ze złości. Jackson na wszelki wypadek szarpnął ją za ramię.

- Chodźmy... Tawny - wycedził przez zęby, znów kładąc nacisk na jej przybrane imię - zanim powtórnie ściągniesz na siebie uwagę.

Cameron wiedziała, że nie ma wielkiego wyboru. Czas płynął nieubłaganie. Zgodnie z tym, co wskazywał porcelanowy zegar w salonie, za godzinę miała rozpocząć się licytacja Taye.

Poszli wzdłuż długiego korytarza. Cameron starała się nie słuchać chichotów, donośnych męskich głosów i czegoś, co niedwuznacznie brzmiało jak skrzypienie łóżka. Nad jej górną wargą zebrały się kropelki potu.

- Tutaj... - Lacey otworzyła drzwi na końcu korytarza.

Jackson przepuścił przed sobą Cameron. W pomalowanym na różowy kolor pokoju w oknie wisiały czarne zasłony, a w powietrzu unosił się zapach tanich perfum. Jackson zamknął drzwi i sięgnął do kieszeni marynarki.

- Dziękuję, moja droga. A teraz chciałbym, żebyś wyszła stąd na

kilka minut. - Wyciągnął z kieszeni plik banknotów.

Lacey zmarszczyła brwi, zdziwiona.

- Nie chcesz, żebym... no wiesz... - Wskazała na łóżko.

- Nie dzisiaj, kochanie. - Przeliczył pieniądze. - Prawdę mówiąc, Tawny i ja znamy się od dawna. Musimy... - odchrząknął - dokończyć pewną sprawę.

- Chcesz mi zapłacić za nic? - Lacey spojrzała na pieniądze i zmarszczyła przypudrowany nos. - Chyba nie zamierzasz jej zabić i narobić mi bałaganu?

Jackson spojrzał na Cameron z taką miną, jakby rzeczywiście miał mordercze myśli.

- Płacę ci, żebyś trzymała swoją słodką buzię na kłódkę - powiedział z wolna do Lacey. - Zajmij się czymś, najlepiej przez godzinę.

- Aha. - Kiwnęła głową.

- Umowa stoi?

Lacey uśmiechnęła się chytrze.

- Za jednego dolara więcej mogę iść do kuchni i napić się kawy.

Dodał jej jeszcze trzy zielone banknoty i Lacey wyszła na korytarz.

- Dobranoc! - zawołał za nią, wciąż udając dżentelmena.

- Dobranoc, słodziutki - odparła czule. Jackson zamknął za nią drzwi na zasuwę. Cameron z ulgą usiadła na łóżku.

- Jak dobrze, że jesteś... - Westchnęła i ukryła twarz w dłoniach.

- Co ty robisz, do diabła? Znowu w coś się bawisz? Przebierasz



się za dziwkę?

Podszedł do stolika przykrytego koronkową serwetą i nalał sobie brandy, którą Lacey trzymała dla klientów.

- Och, Jackson... - Rozplakała się i szlochając, powiedziała: - Tyle się zmieniło. To straszne.

Na dobrą sprawę nie zauważyła, kiedy wziął ją w ramiona. Nie wiedziała, czy to ona pierwsza go pocałowała, czy to on zdusił jej płacz pocałunkiem. To nie miało znaczenia. Czuła się przeraźliwie samotna i całkiem zagubiona.

- Och, Jackson!

Objął ją w pół, przewrócił na łóżko i dalej całował.

- A niech mnie diabli! I pomyśleć, że jak głupi próbowałem o tobie zapomnieć.

Cameron wplotła palce w jego ciemne włosy i mocniej przyciągnęła go do siebie. Niecierpliwym ruchem powiodła jego dłoń po swoim ciele. Jackson usiadł na łóżku, zdjął surdut i rzucił go na podłogę. Zasypał pocałunkami twarz Cameron.

- Już nie pamiętam, ile razy ostatnio o tobie śniłem - szepnął.

Cameron zdjęła mu krawat i koszulę. Rzuciła je na podłogę. Jackson na pozór niezgrabnie szarpnął za jej gorset. Pomogła mu rozsupłać płataninę kokardek i wstążek.

- Cameron - szepnął z rosnącą namiętnością.

Zarzuciła mu ręce na szyję i kuszącym ruchem złożyła głowę na miękkiej poduszce. Przesunęła palcami po jego nagim, umięśnionym torsie. Była wręcz zafascynowana tym silnym ciałem. Tyle razy

marzyła o tej chwili, a teraz wszystko działa się naprawdę.

Po miłosnej ekstazie Cameron pomyślała, że wciąż jest zakochana w Jacksonie. Przewrócił się na bok i wziął ją w ramiona. Cameron chciała wstać, ale złapał ją za biodra i przyciągnął do siebie.

- Jeszcze chwilę - szepnął. - Pozwól, że zostanę z tobą trochę, zanim znów wszystko diabli wezmą.

- Przewrócił się na wznak. - Wiem, że tak będzie.,

- Westchnął, zanim zdążyła coś powiedzieć. - Nie wytrzymamy ze sobą dłużej niż pięć minut.

Na dobrą sprawę nie zdawała sobie sprawy, ile czasu spędziła z Jacksonem. Niemal zupełnie zapomniała, że musi ratować Taye. Później zastanowię się nad tym, co zrobiłam, przemknęło jej przez głowę. Jackson pocałował ją w czoło. Ten gest wydał jej się niezwykle czuły. Och, rozmarzyła się, gdyby ta chwila mogła trwać przez całą wieczność.

- Potrzebuję twojej pomocy, Jacksonie - powiedziała, wracając do rzeczywistości. - Grant zamierza wystawić Taye na aukcji. Musimy ją ratować.

- Wiem.

Uniosła brwi w geście zdumienia i poczuła, jak ogarnia ją gniew.

- Wiesz?

Przesłał jej swój chłopięcy, łobuzerski uśmiech.

- A jak sądzisz? Po co tutaj jestem?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Wiedziałaś o tym? - Cameron jak oparzona zerwała się z łóżka.  
- Ty łajdaku!

Wyrwała mu spod głowy różową poduszkę i uderzyła go z całej siły.

Jackson roześmiał się i skrzyżował ręce, żeby odeprzeć jej atak.  
Cameron uderzyła go jeszcze raz, i jeszcze. Z każdym ciosem robiła się coraz bardziej wściekła.

- Dlaczego pozwoliłeś mi się tak wygłupiać. Mogli mnie złapać! A ta okropna Lacey... Niewiele brakowało, żeby mnie pobiła! Ty łobuzie! Jak mogłeś zaciągnąć mnie na górę i... i... - Popatrzył na skotłowane łóżko i cudowne, zupełnie nagie ciało Jacksona. - Nie masz mi nic do powiedzenia?

- No cóż, muszę przyznać, że jesteś najładniejszą dziwką w całej okolicy...

- Och! - wrzasnęła ze złością. - Ty draniu- Cisnęła w niego poduszką. - Daleko ci do dżentelmena!

Jackson roześmiał się, odrzucił poduszkę na bok i wstał z łóżka.  
Cameron odwróciła się od niego. Miała ochotę się rozplakać.

- Och, przestań. - Zbliżył się do niej od tyłu i objął ją w pasie.  
- Zostaw mnie w spokoju. - Odepchnęła go łokciem. - Pomóż mi się ubrać. Musimy zejść na dół i pomyśleć, jak wyciągnąć stąd Taye.  
- Jak sobie życzysz. - Włożył brązowe bryczesy.

- Ty jesteś tutaj panią, a ja twoim wiernym sługą.  
Cameron ze złością zmrużyła bursztynowe oczy.  
- Poczekaj tylko, już ja ci pokażę, co o tym wszystkim naprawdę  
myślę.

Rzuciła w niego pantoflem i usiadła na łóżku, żeby naciągnąć  
pończochy.

Kiedy Cameron i Jackson zeszli do salonu, wielki zegar właśnie  
wybijał dziesiątą. Na parterze czekał tłum mężczyzn, palących cygara i  
sączących drinki.

- Wszyscy przyszli zobaczyć Taye - szepnęła Cameron.

Jackson wziął ją za rękę.

- Będzie dobrze.

Jeszcze mu nie wybaczyła, że ją oszukał, ale wiedziała, że jest  
zdana wyłącznie na jego pomoc. Musiała uratować Taye od straszego  
losu.

- Jesteś pewny, że nam się uda?

- Najprostszy plan jest zwykle najlepszy. Zaufaj mi.

Cameron odwróciła się w stronę drzwi.

- Już jest!

Rozpoznała głos Peppina Toussanta.

- Proszę odsunąć się, panowie. Pozwólcie, żeby nasi goście  
weszli do salonu.

Jackson przytrzymał ją za rękę. Zostali tuż przy wejściu do sali.  
Cameron widziała tylko tłum podekscytowanych mężczyzn,

wypatrujących zapowiedzianą atrakcję.

- Jest tam? - szepnęła, trzymając się kurczowo Jacksona.

- Tak. Grant też. - Jego głos zabrzmiał sucho.

- Nic jej się nie stało?

- Wygląda na wystraszoną. Poza tym jest cała i zdrowa.

Cameron zamknęła oczy, modląc się, żeby jak najszybciej było po wszystkim.

Taye stanęła na taborecie, żeby kupujący mogli ją lepiej obejrzeć. Cameron widziała ją tylko przelotnie. Jasnoniebieskie oczy Mulatki były zupełnie szkliste, a usta odrętwiałe.

Wszyscy mówili jednocześnie, więc hałas był nie do zniesienia. Cameron usiłowała nie słuchać sprośnych komentarzy, ale czuła, że twarz płonie jej ze wstydu. Była zażenowana i zgorszona zachowaniem brata. Jackson nachylił się nad nią. Zadrżała i na chwilę zamknęła oczy.

- Kiedy zacznie się licytacja, wymkniesz się przez kuchnię. Na ulicy znajdziesz wynajęty powóz. - Z niecierpliwością machnął ręką. - Podstaw go pod kuchenne drzwi i czekaj tam na mnie.

- Jesteś pewien, że uda ci się wyjść niepostrzeżenie?

- Tak. Znam to miejsce. Sprawdziłem je od razu po rozmowie z Naomi.

Cameron popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Znalazła cię?

Pokiwał głową. Monsieur Toussant właśnie tłumaczył dalsze zasady licytacji.

- A skąd bym wiedział, co się dzieje? - zapytał Jackson.

Nie spuszczał oka z tłumu.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś? - szepnęła zirytowana Cameron.

Nie patrzył na nią. Uwagę skupił na tym, co działo się w salonie.

- Bo nie pytałaś; spotkaliśmy się dwa razy. Początek aukcji - wyszeptał i klepnął ją w pośladek.

- Idź i przestaw powóz. Potem wsiądziemy na mój statek. Naomi już tam na nas czeka. Mam przeczucie, że zanim Toussant i twój brat zorientują się, że zostali nabrani, będziemy daleko.

Jackson wziął szklanekę brandy od jednej z dziewcząt i wmieszał się w tłum klientów; Chciał, żeby ktoś inny rozpoczął licytację, zanim on wkroczy do akcji. Oparł się o ścianę i wrócił myślami do Cameron. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Kiedy wyjeżdżał z Elmwood tuż po pogrzebie senatora, był przekonany, że stracił ją na zawsze. Spotkali się przypadkowo na przyjęciu u Hitchów i pozwolił jej odejść. Potem pluł sobie w brodę, że nie spróbował jej zatrzymać.

Stawka wynosiła już siedemdziesiąt pięć dolarów. Tłum coraz bardziej się ożywiał. Jackson spokojnie popijał brandy i wciąż myślał o Cameron. Nadal czuł słodki zapach jej delikatnej skóry. Musiał ją zabrać na statek, nie mógł jej zostawić.

- Daję osiemdziesiąt - zadeklarował Peppin Toussant. -  
Osiemdziesiąt dolarów po raz pierwszy...

Jackson rzucił okiem na pobladłą twarz Taye. Dobry Boże, przecież to jeszcze dziecko... Jak ten parszywy drań, pomyślał pod adresem Granta mógł zrobić coś takiego dziewczynie, z którą wy-

chowal się praktycznie od dziecka? Przecież Taye była dla niego niczym siostra. Jak śmiał naruszyć dobre imię rodziny Campbellów?!

Tymczasem Grant dumnie przechadzał się po salonie. Palil cienkie francuskie cygaro i spod oka spoglądał na kobiety, jakby był jakimś wytwornym dandysem. Jackson miał szczerą ochotę zacisnąć palce na jego chudej szyi.

- Osiemdziesiąt po raz drugi...

- Sto dolarów - leniwie wycedził Jackson, wciąż opierając się o ścianę.

Wszystkie oczy skierowały się w jego stronę. Rozmowy ucichły. Kapitan Logan był dobrze znany w niektórych kręgach Baton Rouge. Toussant uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Sto dolarów od kapitana Logana.

- Kapitan Logan? - Grant wyjął cygaro z ust I wyciągnął szyję. - Czy to kapitan Jackson Logan?

- *Oui*. - Toussant roześmiał się rubasznie. - Tu trzeba mieć jaja!

- Nie! - Grant podbiegł do Peppina. - Nie sprzedam jej Loganowi.

To wykluczone - zakwiczal jak zarzynana świnka.

Toussant odwrócił się do Granta. Był od niego o głowę wyższy.

- Nie ty tutaj decydujesz. Sprzedałeś ją. Od momentu, gdy przekroczyłeś próg tego domu, Mulatka należy do mnie. Dobiliśmy targu. - Mówił z uśmiechem na ustach, ale stanowczym tonem.

Grant zrobił krok do tyłu.

- Czy ktoś jeszcze ma ochotę na ten smakowity kąsek? - zawołał

Toussant i pocałował Taye w rękę.

Piękna Mulatka stała sztywno, wbijając wzrok w tłum mężczyzn, ale sprawiała wrażenie, jakby nie widziała ani nie słyszała tego, co się wokół działo. Wyglądała niemal jak biblijna królowa Saba o twarzy anioła.

- Panowie, chyba nie chcecie stracić takiej okazji! - zachęcał Peppin. - Czy ktoś da sto dziesięć?

- Sto pięć - zawołał podstarzały Kreol.

- Czyżbym słyszał sto dziesięć? - Toussant rozejrzał się po salonie. - Kapitanie? Dorzuci pan jeszcze pięć dolarów?

Jackson pokiwał głową.

- Dam sto dwadzieścia pięć dolarów w złocie i to jest moje ostatnie słowo.

Mężczyźni wzniesli okrzyki zdumienia, a kobiety wzdychały z zachwytem.

- Po raz pierwszy... po raz drugi... po raz trzeci. Czarna dziewczyna z Missisipi sprzedana panu Loganowi. Przypominam, że wypożyczam ją panu wyłącznie na tę jedną noc.

- Ma tutaj zostać - wybełkotał Grant. Miał na twarzy ropiejącą wysypkę, co sprawiało dość odrażające wrażenie. - Zwycięzca nie może opuścić budynku. Taka była umowa....

Toussant wziął Taye za rękę i pomógł jej zejść z taboretu. Poruszała się w odrętwieniu, niczym lunatyczka.

- Właściwej wymiany dokonamy na zapleczu - zdecydował Toussant. - Pieniądze za kociaka...

Roześmiał się i cała sala wybuchnęła śmiechem. Jackson oddał



swoją szklanę przechodzącej kelnerce.

- Dziękuję, słodziutka.

Z kieszeni surduta wyciągnął pękata sakiewkę. Wręczył pieniądze Peppinowi i wziął Taye pod ramię. Jeśli go nawet rozpoznała, nie było tego po niej widać.

- Bardzo dziękuję. Interesy z tobą to czysta przyjemność. A teraz, jeśli pozwolisz, zamierzamy spędzić ze sobą miły wieczór.

Toussant zważył sakiewkę w dłoni.

- Dobrej zabawy, kapitanie.

- Lepiej nic nie kombinuj - zakpił Grant.

Od czasu, kiedy Jackson widział go po raz ostatni, znacznie przybrał na wadze. Wyglądał teraz jak wypchana łasica.

Jackson puścił tę uwagę mimo uszu i udał się w kierunku schodów. Taye szła obok niego, stawiając maleńkie kroczki. Była wychudzona i blada, a jej skóra sprawiała wrażenie przezroczystej.

- Słyszysz? - zahuczał Grant i poszedł za nimi, ciągnąc za sobą chorą nogę. - Ona jest teraz własnością Peppina. Nie pozwoli ci tak łatwo...

Jackson odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

- Chcesz iść z nami na górę? - zapytał z przekąsem. - Może chciałbyś popatrzeć? W gruncie rzeczy od dawna wyglądasz mi na takiego, co tylko dużo gada. Lepiej, żebym cię tu nie spotkał, gdy zejdziesz na dół. Zrozumiano? - Pokazał mu plecy. - Chodźmy, Taye - zachęcił ją łagodnie.

Grant wciąż czekał na dole, kiedy szli na górę. Jackson objął

Mulatkę ramieniem i pomógł jej wejść po schodach. Przeszli przez długi korytarz, minęli pokój Lacey i zeszli bocznymi schodami dla służby. Weszli do kuchni, nie zwracając uwagi na Murzynkę, która stała przy piecu, rozdziawiając usta. Po chwili znaleźli się na ulicy

Cameron stała przy powozie. Z góry padało na nią światło gazowej latarni. Była niczym blask słońca na końcu ciemnego tunelu.

„Inverness” - statek Jacksona - łagodnie kołysał się na fali. Cameron zeszła do kajuty i zobaczyła na stole świeży chleb z serem i szkocką whisky. Płynęli w dół Missisipi i czuła, że sprzyjają im dobre wiatry.

W powozie Jackson zachowywał się tak, jakby wracali z teatru lub wystawnej kolacji. Powiedział, że jego nowy statek zbudowano w Szkocji. Parowy „Inverness” rozwijał szybkość nawet trzynastu węzłów. Podobno mógł przełamać każdą blokadę. Cameron słuchała tego z roztargnieniem. Chciała jak najprędzej wywieźć Taye z Baton Rouge.

Zapaliła lampę wiszącą nad koją.  
- Nie śpisz? - zapytała cicho.  
- Nie. - Głos Taye był nie do poznania. Brzmiał ponuro i przygnębiająco.

Cameron usiadła na skraju łóżka. Nalała trochę szkockiej do szklanki z wodą i podała ją przyjaciółce.

- Wypij.  
Taye usiadła i wzięła szklankę w dwie ręce, jak małe dziecko. Już po pierwszym łyku skrzywiła się i splunęła.

- Fe, niedobre...
- Musisz wypić jeszcze kilka łyków.

Mulatka posłusznie spełniła polecenie i oddała szklanke.

Cameron jednym haustem wypila reszte trunku. Szkocka whisky, w odróżnieniu od amerykańskiej, miała delikatny korzenny posmak, ale nie była gorzka. Nic dziwnego, że senator Campbell tak bardzo ją lubił. Pokroiła ser na drewnianej desce i ułożyła go na kromce chleba.

- Zjedz coś.

Taye wzięła kanapkę i znów się położyła.

- Nawet ci nie podziękowałam - powiedziała z namysłem, niczym polna mysz przygryzając skórke od chleba.

- Wcale nie musisz. Ty dla mnie zrobiłabyś to samo.
- Ryzykowałeś życie, Cameron. Kapitan Logan też.

Na wspomnienie Jacksona Cameron nalała sobie drugą porcję whisky. Nie widywała go często od czasu, gdy weszli na pokład. Raz wyszedł w mundurze ze swojej kabiny. Rzeczywiście wyglądał jak pirat. Rozkazał pierwszemu oficerowi podnieść kotwicę i płynąć pełną parą.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo mi wstyd za Granta - wyznała Cameron, próbując dobrać odpowiednie słowa. - Tak mi przykro. Nie wiem, co go opętało.

- To nie twoja wina. Wyraźnie coś w nim pękło po śmierci senatora.

Cameron w milczeniu pokiwała głową i pociągnęła łyk whisky. Od razu poczuła się lepiej. Ktoś zapukał do drzwi kajuty.

- Proszę! - zawołała Cameron.

Weszła Naomi. Cameron czym prędzej zerwała się z łóżka i chwyciła dawną służącą w ramiona. Była jej wdzięczna za to, co uczyniła.

- Och, dziękuję, bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co, panno Cameron - nieśmiało odparła Murzynka.

Cameron odsunęła się, żeby na nią spojrzeć.

- Bałam się, że coś ci się stało.

- Lepiej niech panienka powie prawdę. Pewnie panienka myślała, że biedna Naomi i jej chłopak uciekli ze wszystkimi pieniędzmi - odrzekła z uśmiechem Naomi i sięgnęła za pas brudnej sukienki.

Wyciągnęła jakieś zawiniątko.

- Wydałam trochę, żeby się tu dostać. Tu jest to, co zostało.

Cameron odsunęła jej rękę.

- Zatrzymaj. Reszta miała być dla ciebie. - Spojrzała na leżącą w łóżku Taye. - Oddałabym wszystko, żeby ją uratować.

- Przepraszam, że to mówię, panienko, ale zawsze uważałam, że panicz Grant ma źle w głowie.

Cameron roześmiała się.

- Chyba żartujesz...

Sięgnęła po butelkę whisky. Trunek zaczynał coraz bardziej jej smakować. Przynosił wewnętrzny spokój.

- Jest tu ten twój mężczyzna? - zapytała Cameron. - Chciałam mu podziękować. To on uratował większość niewolników. Gdyby nie jego łódź...

- Manu został, żeby zaprowadzić moją matkę na Północ. Wkrótce mamy się spotkać. - Uśmiechnęła się szeroko. - Myślimy o podróży na zachód.

Cameron też się uśmiechnęła.

- Jeszcze nie wiemy, co dalej z nami będzie, ale żywimy nadzieję, że damy sobie radę.

- Dobrze panienkę znów widzieć. - Naomi pochyliła głowę. - Ciebie też, Taye.

- Masz gdzie spać?

Murzynka przytaknęła bez wahania.

- W lesie spotkałam dwie inne niewolnice. Nie mogłam ich tak zostawić, więc wzięłam je ze sobą. Pan kapitan Logan to bardzo dobry człowiek. Powiedział mi, że mogą zostać na statku tak długo, jak tylko będą chciały. Mamy tam na dole przytulne miejsce do spania.

- W takim razie dobrej nocy. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję.

Naomi wyszła, a Cameron dołała sobie whisky. Dopiero teraz czuła się naprawdę dobrze. Wszystko, co dzisiaj zaszło, wydawało się złym snem.

- Pociągnęła łyk trunku. - Zjesz coś jeszcze? - spytała przyjaciółkę.

Taye pokręciła głową i wygodniej ułożyła się na łóżku.

- Może wiesz, dokąd płyniemy? Cameron wzruszyła ramionami.

- Nie miałam czasu, żeby z nim porozmawiać - odparła. - Liczę na to, że jak najdalej stąd.

Taye odwróciła głowę.

- Myliłyśmy się co do niego - orzekła z wyraźnym przekonaniem, mimo woli powtarzając wcześniejsze słowa Naomi..

- To bardzo dobry człowiek.

Cameron zmarszczyła brwi i jednym haustem opróżniła szklaneczkę whisky.

- To nicpoń, łajdak i... pirat!

- Zastanów się! Uważasz, że ktoś inny tak szybko by zapłacił sto dwadzieścia pięć dolarów w złocie, żeby mnie ratować? Przecież mnie prawie nie zna!

- Jesteś bardzo zmęczona. Sama nie wiesz, co mówisz. - Cameron gwałtownie zamrużyła oczami. Wszystko wokół nabrało łagodniejszych kształtów. Niezdarnie wyciągnęła rękę i poklepała Taye po ramieniu. - Prześpij się. Porozmawiamy jutro.

Taye skinęła głową i posłusznie przewróciła się na drugi bok. Cameron była trochę przygnębiona jej zachowaniem. Widać było, że przyjaciółka jeszcze nie doszła do siebie po ostatnich przeżyciach.

Właśnie sięgała po butelkę, żeby nalać sobie kolejną porcję whisky, kiedy ponownie rozległo się pukanie do drzwi.

- T-tak? - Cameron podniosła się i zachwiała, ale nie z powodu ciągłych przechyłów statku.

Do kabiny wszedł Jackson.

- Śpi?

Cameron spojrzała na skuloną Taye.

- Chyba tak - odparła i zakryła usta, żeby nie dostać czkawki.

- To dobrze. Chodź ze mną. - Jackson złapał ją za rękę i

pociągnął za sobą.

- Zaraz, zaraz! Zaczekaj! Co robisz? Dokąd mnie zabierasz?

Wyprowadził ją na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

- Do mojej kajuty. A gdzie będziesz spała? - Nachylił się i zmarszczył czoło. - Piłaś?

Otarła usta wierzchem dłoni.

- Pomyślałam, że Taye powinna się napić na wzmocnienie.

Jackson zaśmiał się cicho.

- Wygląda na to, że nie tylko ona...

Wyprowadził ją na otwarty pokład. Statek kołysał się lekko i słysząc było głęboki pomruk turbiny. Cameron spojrzała na wiszące na rejach lampy. W nocy wielki parowiec wyglądał upiornie.

- A jeśli nie zechcę pójść z tobą do kajuty? - zapytała. Przecież nie jest jego własnością. Nie miał prawa rozkazywać jej jedynie dlatego, że kiedyś mimo woli uległa uniesieniu.

Jackson złapał ją mocno za nadgarstek i pociągnął do kąta.

- Nie obchodzi mnie, co o tym myślisz. Tej nocy chcę przespać chociaż kilka godzin, trzymając cię w ramionach. - Spojrzał na nią z wyraźnym rozbawieniem. - Muszę mieć cię na oku. Nie chcę, żebyś znów wpakowała się w kłopoty.

Otworzył drzwi kajuty, która wydawała się znacznie większa od tej, w której spała Taye. Było w niej duże łóżko, stół, a nawet małe okrągłe okienko. Pod ścianą stał duży drewniany kufer i krzesło. Brakowało luksusów, jak w sypialniach w Elmwood, ale całość sprawiała przytulne wrażenie.

Cameron uśmiechnęła się.

- Całkiem tu przyjemnie.

Jackson usiadł na krześle i zdjął buty.

- Kapitan zazwyczaj ma porządne lokum.

Zakryła dłonią usta i zachichotała. Nie miała pojęcia, co ją rozśmieszyło. Może sposób, w jaki to powiedział?

Jackson zdjął koszulę i powiesił ją na oparciu krzesła. Cameron jak zahipnotyzowana przyglądała się, kiedy ściągał spodnie i zupełnie nagi szedł w stronę łóżka. Miał piękne ciało... Przypomniła sobie, co ostatnio czuła, leżąc w jego ramionach.

- No chodź - powiedział. - Zaraz zacznie świtać, a ja z samego rana obejmuję pierwszą wachtę.

Usiadł na skraju łóżka i wsunął rękę pod cienki materac. Cameron miała wrażenie, że schował tam pistolet. Stała na środku kajuty i czuła, jak kręci jej się w głowie. Była zdezorientowana. Najwyraźniej za dużo wypila. Jackson leżał z rękami założonymi pod głową.

- Nie pomożesz mi się rozebrać? - spytała.

- Nie.

Zakłopotana zmarszczyła brwi.

- Nie rozbierzesz mnie?

- Nie możesz sama się rozebrać?

Zrzuciła jeden pantofel, a potem drugi i szybko ściągnęła skradzione ubranie.

- O... oczywiście, że mogę.



- Zrób to i chodź do łóżka.

Podeszła do niego, zostawiając sukienkę na podłodze.

- Nie chcesz się ze mną kochać? Uśmiechnął się po swojemu

- Chyba dość wrażeń na dzisiaj, nie uważasz?

Bez słowa weszła do łóżka i położyła się obok Jacksona. Zgasił lampkę i Cameron od razu zasnęła. Pierwszy raz od śmierci ojca poczuła się naprawdę bezpieczna.

scandalous

# CZĘŚĆ TRZECIA

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Cameron obudziła się rano w pustej kabinie. Była sama, najwyraźniej Jackson gdzieś wyszedł. Nie była tym rozczarowana. Wystawiła nogi za łóżko i usiadła. Ziewnęła leniwie i wyciągnęła ręce nad głowę. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak dobrze jej się spało. Zaschło jej w ustach. Podeszła do stolika i zajrzała do dzbanka. Na szczęście była w nim czysta, zimna woda. Wypiła kilka łyków i rozejrzała się po kajucie. Z niepokojem spostrzegła, że jej skradziona lawendowa suknia zniknęła. Co prawda, wcale jej nie polubiła, ale nie miała w co się ubrać. Przecież nie mogła wyjść na pokład w samej bieliźnie. Co by o niej pomyślała załoga Jacksona?

Wtedy zauważyła parę ciemnych bryczesów i białą koszulę przewieszoną przez oparcie krzesła. Na podłodze stała także para butów. Wzięła spodnie i uważnie im się przyjrzała. Na Jacksona byłyby zdecydowanie za małe. Miały wąski krój i były trochę za ciasne. Musiała wsunąć je na gołe nogi, żeby się w nie zmieścić. Potem wciągnęła koszulę przez głowę. Usiadła na krześle i sięgnęła po buty. W cholewy była wetknięta para czystych skarpet. Cameron z niemałym zaskoczeniem stwierdziła, że wszystko pasuje na nią jak ulał.

Rozejrzała się w poszukiwaniu lusterka. Nie znalazła go, ale w kufrze wyszperała szczotkę i krótką wstążkę, którą Jackson związywał kucyk. Nawet nie próbowała rozczesać plątaniny rudych loków. Przyglądała je tylko i upięła w koński ogon. Miała ochotę wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć świeżego powietrza. Przy okazji chciała też sprawdzić, co słychać u Taye.

Kiedy wyszła z kajuty, oślepiło ją jasne słońce. Uświadomiła sobie, że musiała spać co najmniej do południa. Była głodna, ale najpierw postanowiła odwiedzić przyjaciółkę. Wystawiła twarz do słońca i poszła w kierunku kabiny Taye. Nad leniwie płynącą Missisipi było gorąco i parno. W powietrzu unosił się zapach torfu, który przywodził jej na myśl dom i rzekę Pearl.

- Dzień dobry, śpiochu - usłyszała nagle. Jackson zjawił się jak duch, znikąd. W blasku słońca opalona skóra nabrała oliwkowej barwy.

Cameron przysłoniła oczy dłonią, żeby na niego spojrzeć.

- Dzień dobry.

- Jak się dziś miewasz? - W jego głosie zabrzmiała nuta żartobliwej ironii.

- Wyśmienicie, dziękuję.

Jackson milczał i tylko przyglądał się Cameron.

- Po... posłuchaj, Jackson. Musimy porozmawiać o naszych planach - powiedziała. - Twoich, moich i Taye. Ja...

- Panno Cameron! - Podbiegła do nich Naomi z dwoma młodziutkami, na oko szesnastoletnimi niewolnicami. Były do siebie tak bardzo podobne, że Cameron nie miała żadnych wątpliwości, że są

bliźniaczkami. - Dzięki Bogu, wreszcie panienkę znalazłam. Do czego to podobne, żeby w pobliżu spali mężczyźni. - Pokręciła głową. - To nie żarty. Całą noc czuwałam z kijem w dłoni, żeby bronić dziewcząt.

Cameron wzdrygnęła się.

- Ale przed czym?

Naomi spojrzała na Jacksona.

- Przed marynarzami! Jackson westchnął ciężko.

- Tego właśnie się obawiałem. Ostrzegałem moich ludzi, żeby nie próbowali żadnych sztuczek, ale większość załogi świeżo zamustrowała się na pokład. - Ręką przeczesał włosy. - Pierwszy oficer tym się zajmie, ale Naomi ma rację. Ona i pozostałe panie - wskazał na bliźniaczki, które stały bez ruchu, wbijając wzrok w swoje nagie stopy - będą spały w kwaterze pod pokładem. Tam, gdzie będę mógł mieć na wszystkich oko.

Cameron uśmiechnęła się do dwóch chudziutkich niewolnic.

- Domyślam się, że podróżujecie razem z Naomi - zagadnęła. - Miło mi was poznać.

Żadna z dziewcząt nie odpowiedziała.

- Są nieśmiałe i wystraszone - wyjaśniła Naomi.

- To jest Dorcas, a to Efia. Już na pierwszy rzut oka widać, że wyszły z tego samego łona. Trudno je rozróżnić.

- Cieszę się, że Naomi zdołała wam pomóc - powiedziała

Cameron i odwróciła się do Jacksona.

- Nie potrzeba nam więcej kłopotów.

Jackson jedynie chrząknął w odpowiedzi. Cameron nie zwróciła

na to najmniejszej uwagi i mówiła dalej:

- Gdzie znajdziesz dla nich miejsce?

- Najlepiej u Taye.

Cameron pomyślała, że kajuta jest trochę za mała dla czterech osób, ale nie chciała narzekać.

- Naomi może spać razem z Taye, a dziewczęta na górnej koi - zaproponował Jackson. - Koję mamy dość wąskie, ale wszystkie wspomniane panie są nadzwyczaj szczupłe.

- Dziękuję, kapitanie. - Naomi z uśmiechem pokiwała głową. - Zawsze mówiłam pannie Cameron, że dobry z pana człowiek.

- Chwileczkę - wtrąciła Cameron - a gdzie ja będę spała? Nie jestem pewna, czy wystarczy miejsca dla...

Jackson popatrzył na nią spod oka.

- Ty śpisz ze mną.

Cameron zachnęła się. Wprost nie mogła uwierzyć, że powiedział to przy Naomi.

- Słucham?!

- Nie będę powtarzał.

Odwrócił się do Naomi, lekceważąc Cameron.

- Jeden z moich oficerów odprowadzi was na dół. Weźmiecie swoje rzeczy i pójdziecie do Taye. Tam będziecie bezpieczne. A potem pospacerujcie trochę po pokładzie, rozprostujcie nogi i nacieszcie się słońcem. Tylko trzymajcie się z dala od załogi.

Naomi ukloniła się grzecznie.

- Dziękuję panu.

Dziewczęta także się ukłoniły, najpiękniej jak umiały.

- To jeszcze nie wszystko... - zaprotestowała Cameron.

- Wszystko - przerwał jej Jackson i dodał: - Idź Już, Naomi.

Cameron nie wierzyła własnym uszom. Odprawił dziewczynę, która jeszcze tydzień temu była jej służącą. Wiedziała, że musi przywyknąć do nowych zwyczajów, ale wciąż była zaskoczona jego zachowaniem.

- Nie możesz mi rozkazywać - obruszyła się. Jackson odszedł kawałek dalej.

- Mogę. To mój statek.

Cameron poszła za nim, próbując dotrzymać mu kroku. Przez chwilę szli równym rytmem.

- Nie jestem twoją własnością! - zawołała Cameron.

Marynarz, który szorował pokład, z ciekawością spojrział w jej stronę.

- Nie rób scen... - półgłosem polecił Jackson.

- Sam zaczęłeś. Nie będę z tobą spała - oznajmiła Cameron, ściszej głos. - Co pomyśli o mnie załoga?

Rzucił jej wymowne spojrzenie.

- Wczoraj w nocy widzieli cię wymalowaną i w fioletowej sukni. Dojdą do wniosku, że jesteś jedną z moich dziewcząt.

- Jedną z dziewcząt? Tylko tyle dla ciebie znaczę? Jeszcze jedna „dama do towarzystwa”, kolejna zdobycz, którą możesz zaciągnąć do łóżka i wyrzucić. - Walczyła ze łzami. - A niech cię diabli!

- Czas dorosnąć, moja droga. Nie jesteś już córeczką papy, a ja

nie jestem twoim ojcem. Najwyższa pora, żebyś podjęła rozsądną decyzję, co dla ciebie jest najważniejsze.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nie miała, pojęcia, dlaczego tak bardzo zabolą ją te słowa. Mimo wspólnie spędzonej nocy niczego od niego nie oczekiwała. Nie domagała się żadnych przyrzeczeń ani obietnic. A jednak...

- Posłuchaj - Jackson wyciągnął rękę, ale Cameron się odsunęła - mam dużo pracy. Trwa wojna.

Potrząsnęła głową.

- Tutaj wojna nie dotarła. W Baton Rouge codziennie czytałam gazety. - Mówiła tak, jakby chciała utwierdzić się w tym przekonaniu. - Prezydent Lincoln powiedział, że nie ma wojny.

- Nazywaj to, jak chcesz. Wojna wybuchła. A teraz, jeśli pozwolisz, muszę sprawdzić beczki z terpentyną. Jeśli zostały źle zabezpieczone, mogą się stać niemałym zagrożeniem dla statku. Jak wiesz, opuściliśmy Baton Rouge w pośpiechu. Cameron ze wstydem odwróciła wzrok. Nawet nie przyszło jej do głowy, że „Inverness” mógł nie być gotowy do rejsu. Ratując Taye, na pewno wypłynęli niezgodnie z wcześniejszym planem.

- Kucharz przygotowuje nam dzisiaj kolację - ciągnął Jackson. - Mam w kajucie butelkę wina. Usiądziemy i porozmawiamy o dalszych planach. A teraz idź do Taye. Pytała o ciebie rano, ale nie chciałem cię budzić. Uznałem, że powinnaś porządnie się wyspać.

Cameron zacisnęła usta. Prawdę mówiąc, miała ochotę trochę się pokłócić. Wolałaby z góry poznać zamiary Jacksona. Skoro wiózł

terpentyne, to na pewno zamierzał ją gdzieś pokątnie sprzedać. Północ nie przyjmowała ani nie wysyłała żadnych towarów na Południe. Zbuntowane stany nie płaciły podatków, a w połowie kwietnia prezydent Lincoln kazał zamknąć wszystkie porty i ogłosił blokadę wybrzeża. Ponieważ oficjalnie nie uznał ataków Południa za działania wojenne, tylko raczej za przejaw rebelii, przemytnicy nie byli sądzeni jak przestępcy. Osadzano ich w więzieniu tylko na czas „buntu”. Mimo to Cameron nie chciała być aresztowana za oszustwa Jacksona.

- Chcę porozmawiać teraz - oświadczyła. Jackson odwrócił się do niej tyłem.

- A ja nie.

Miała szczerą ochotę rzucić w niego butem, ale nie zdołałaby go tak szybko ściągnąć. W końcu uległa. W kajucie Jacksona znalazła „Moll Flanders” Daniela Defoe i resztę popołudnia przesiedziała z Taye. Wspólnie czytały książkę. Wieczorem zabrała przyjaciółkę na spacer po pokładzie. W pewnym momencie zatrzymały się i oparły o reling. Missisipi błyszczała w zachodzącym słońcu. Monotonny łoskot parowej turbiny brzmiał uspokajająco.

- Taye? - odezwała się Cameron. - Dziś wieczór zjem kolację z Loganem.

Na pozór mówiła beznamiętnym tonem, ale kogo próbowała oszukać? Przecież Taye wiedziała, że jej przyjaciółka minioną noc spędziła w kajucie kapitana. Wszyscy o tym wiedzieli...

Cameron była trochę zawstydzona, ale w obliczu tego, co wydarzyło się w ciągu dwóch ostatnich, tak krótkich miesięcy, jej miłosne



rozterki nie miały znaczenia.

- Bardzo dobrze. - Mulatka klepnęła ją w ramię. - Musicie porozmawiać.

Cameron ruszyła, ale wolnym krokiem. Taye ciągle wyglądała na wyczerpaną, więc nie chciała, żeby się zmęczyła.

- Jak to?

Taye spojrzała na Cameron. W jej błękitnych oczach błysnęło rozbawienie.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, co o tym wszystkim myślę?

- Oczywiście.

- Nigdy nie słuchałaś tych, którzy próbowali ci coś wytłumaczyć.

Cameron spojrzała na rzekę.

- Chcę znać całą prawdę, mów.

- Myślę, że powinnaś zastanowić się nad tym, co rzeczywiście czujesz do kapitana Logana.

- Podły drań. Nienawidzę go z całego serca.

- Mówię poważnie. To dobry człowiek.

- Dobry człowiek? Wiesz, co teraz wiezie? Terpentynę.

Potajemnie załadował ją w Baton Rouge i chce gdzieś sprzedać. To według ciebie jest dobry człowiek?

- Przecież wiesz, że w ogóle nie interesuję się wielką polityką.

Nie wiem, co robi Jackson ani w jakim celu. Ty też tego nie wiesz. To nie zmienia faktu, że to dobry człowiek.

Bursztynowe oczy Cameron zabłysły jak dwie gwiazdy.

- Obiecałaś, że mnie wysłuchasz - przypomniała jej Taye.

- Dobrze. Słucham...

- Gdybyś nie była taka uparta, zrozumiałabyś, że wciąż ci na nim zależy. Myślę, że i ty nie jesteś mu całkiem obojętna.

Cameron wychyliła się przez reling.

- Jest wojna. Stoimy po dwóch różnych stronach.

- Przecież pan Logan nigdy nie popierał niewolnictwa.

- Masz rację - szybko odparła Cameron. - Popiera wyłącznie Jacksona Logana.

- Posłuchaj głosu serca! - zawołała Taye. - Inaczej popełnisz błąd, którego będziesz żałowała całe życie. Tak jak ja... - dokończyła ciszej.

Cameron chwyciła ją za ramiona. Chociaż Taye nie lubiła męskich strojów, z ulgą zamieniła sukienkę od Granta na parę bryczesów i koszulę. Za to Efia przyjęła od niej suknię ze wzruszeniem i wdzięcznością.

- O czym ty mówisz? Jaki błąd popełniłaś? Taye odsunęła się od niej o pół kroku i stanęła tuż przy relingu.

- Tamtej nocy, kiedy zmarł senator, Thomas znalazł mnie na korytarzu. To było zaraz po tym, gdy nadeszła wiadomość o ataku na Fort Sumter. On próbował mnie pocieszyć. Usiedliśmy po ciemku na schodach i zaczęliśmy rozmawiać. Poprosił mnie o rękę.

- A ty się nie zgodziłaś?

- Co miałam odpowiedzieć? To biały człowiek, a ja jestem Mulatką, córką niewolnicy.

- Wkrótce nie będzie niewolników.

- Przecież dobrze wiesz, co chcę powiedzieć - szepnęła Taye.

- Boisz się własnych marzeń - orzekła Cameron. W tym momencie bezbłędnie rozumiała przyjaciółkę. - Boisz się nadziei.

Taye skinęła głową, patrząc na odległy brzeg rzeki. Przyglądała się wysokim trzcinom, tańczącym na wietrze. Nad głowami dziewcząt przemknął sznur pelikanów. Przez chwilę obie podziwiała pełen wdzięku lot wielkich ptaków.

Cameron oparła się o reling.

- Pozwoliłaś mu odejść?

- Wiem, że już nigdy więcej się nie zobaczymy.

- To nieprawda - zapewniła ją Cameron. - Wprawdzie nie wiem, dlaczego wyjechał, ale obawiam się, że to robota Granta. Mam przecucie, że Thomas będzie próbował cię odnaleźć.

- Nie mów tak. - Głos Taye drżał jak nadbrzeżne trzciny. - Nie chcę tego słuchać.

Cameron przytuliła ją i oparła głowę na jej ramieniu.

- Nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, już ja się o to postaram.

Taye kiwnęła głową i otarła łzy.

- Dziękuję - szepnęła i odwróciła się w stronę przyjaciółki. - Idź już. Jackson czeka z kolacją. To wasz wieczór. Zobaczymy się rano. - Mocno chwyciła przyjaciółkę za rękę.

- Nie możemy stale lękać się swoich marzeń. - Cameron się uśmiechnęła.

Taye przytaknęła bez słowa. Cameron pomachała jej na dobranoc i odeszła w stronę kajuty kapitana. Miała wystarczająco dużo czasu,

żeby się umyć, zanim przyszedł Jackson. Z butami w ręku wkroczył do kabiny. Ubranie miał wprawdzie suche, ale jego włosy błyszczały wilgocią. Wyglądał tak, jakby przed chwilą się wykapał.

- Wpadłeś do wody? - zapytała Cameron i przycupnęła na krawędzi łóżka. W kajucie nie było zbyt wielu wygod.

Jackson uśmiechnął się krzywo i postawił buty przy drzwiach, na podłodze.

- Wyciągnęliśmy kilka wiader wody, więc nareszcie mogłem porządnie się wykapać. Chyba jednak nie jestem prawdziwym marynarzem. Nic potrafię przez miesiąc wytrzymać bez mycia.

Podszedł do kufra i wyjął z niego tę samą szczotkę do włosów, którą rano czesała się Cameron.

- Wiesz, jak to działa? Pociągasz za sznurek - zademonstrował jedną ręką - i woda leje ci się na głowę.

- Wystarczy jej do końca rejsu? Nawet na pełnym morzu?

- Mam na pokładzie spory zapas słodkiej wody. W razie potrzeby można nałapać deszczówki.

Cameron zamachała nogami jak małe dziecko. Taje rzeczywiście miała trochę racji. Lubiała Jacksona, potrafił być dobrym towarzyszem zwłaszcza wtedy, gdy nie zachowywał się jak bufon.

Ktoś zapukał i zaraz potem do kajuty weszło dwóch służących. Jeden przyniósł mały drewniany stolik i dodatkowe krzesło, a drugi trzymał tacę z jedzeniem, które pachniało wręcz kusząco. Jackson zwracał się do nich uprzejmie, a nawet z nimi żartował. Kiedy wyszli, zamknął drzwi na zasuwę. Cameron oblizała spierzchnięte usta.

Wciąż stał boso. Włosy okalały przystojną twarz. Odsunął krzesło.

- Mademoiselle... - zwrócił się do Cameron.

- *Merci.*

Zajął miejsce koło niej i ściągnął ze stołu dużą, lnianą serwetę, którą przykryto jedzenie.

- Och - westchnęła Cameron. Od kilku tygodni nie widziała tak obfitego posiłku. - Gotowane krewetki.

- Małże, ryby. Musisz koniecznie spróbować ryżu. Wprawdzie nie wiem, co to takiego - nałożył na jej talerz porcję ryżu z pomidorami i papryką - ale jestem pewien, że będzie ci smakowało. Matka mojego kucharza pochodzi z Haiti, a jego ojciec jest Kreolem.

Cameron obrała krewetkę i ugryzła kawałek mięsa.

- Och, Jacksonie, to wyśmienite. Otworzył butelkę z winem.

- Niestety, nie mam kieliszków - rzekł przeproszającym tonem i nalał im czerwonego trunku do niskich szklanek. - Rzadko miewamy na statku okazję do tak wytwornej kolacji.

- Tak jest dobrze. - Cameron pociągnęła łyk wina. - Wyborne.

- Cieszę się, że ci smakuje. - Nałożył sobie kilka krewetek. -

Przedstawię ci swoje plany, a ty powiesz mi, co o nich sądzisz.

„Inverness” płynie na Bahamy. Muszę tam rozładować towar i wziąć następny transport. Zastanawiałem się, gdzie powinniście wysiąść. To kolonia brytyjska, więc Taya będzie zupełnie bezpieczna. - Dolał wina. - Próbowałem przekonać Naomi, żeby wam towarzyszyła, ale ona wybiera się do Nowego Orleanu. Podobno ma chłopaka gdzieś w

poblizu Elmwood.

Cameron uśmiechnęła się i wypła kolejny łyk wina.

- Nie popłynę z tobą na Bahamy. Zamierzam wsiąść w Nowym Orleanie. Wracam do domu.

- Dobrze wiedziałem, że to powiesz. - Jackson pokręcił głową. - Posłuchaj, nie zacumujemy w Nowym Orleanie. To pierwsze miejsce, w którym twój brat będzie nas szukał. Jeśli ma trochę rozumu, dogada się z kapitanem portu. Zostawiłem w Baton Rouge połowę mojego załadunku, więc wszyscy wiedzą, że wcześniej czy później będę musiał tam wrócić. - Nie pozwolił jej dojść do słowa..

- Naomi przesiądzie się na inny statek. Paliwa powinno nam starczyć do Biloxi. Musisz być rozsądna.

- Nigdy nie dołączę do bandy przemytników!

- Cameron zerwała się od stołu i rzuciła na blat serwetkę. -  
Dobrze wiesz, co o tym myślał mój ojciec!

Jackson odłożył serwetkę na talerz. Zachowywał się w miarę spokojnie, ale widać było, że jest zły. Twarz mu poczerwieniała.

- Przestań. Nic nie wiesz o mojej pracy.

- Ojciec miałby mi za złe, że tu w ogóle jestem! - wykrzyknęła.

Nie wiedziała, co w nią wstąpiło. Przed chwilą cieszyła się ze wspólnej kolacji z Jacksonem, a teraz była na niego wściekła. - Przyznaj się, że zostałeś zwykłym przemytnikiem! - Skrzyżowała ręce na piersiach. - Świadomie przeciwstawiasz się rozkazom Lincoln. Grant miał rację. Jesteś piratem! Zarabiasz tyle, że mimo wojny stać cię na wykwintne stroje.

- Chcesz porozmawiać o pieniądzach? -Jackson podniósł się z krzesła. - Proszę bardzo. Jak chcesz opłacić swoją podróż z Baton Rouge do Biloxi? Co z Taye? Z Naomi? A z bliźniaczkami?

Cameron przyglądała mu się wstrząśnięta.

- Byłeś przyjacielem mojego ojca.

- Wiesz, ile kosztowało wykupienie Taye. To niemała kwota. -  
Podszedł do niej. - Jak spłacisz długi?

- Nie mam pieniędzy! Grant zabrał mi wszystko, czego nie dałam niewolnikom.

Spojrzał na nią tak, jakby chciał ją rozebrać wzrokiem. Był niczym wilk podczas polowania...

- Nic nie szkodzi. Dla mnie masz coś dużo cenniejszego od złota.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Cameron dumnie uniosła głowę.

- Jeszcze ci mało? - zapytała z przekąsem. - Moim zdaniem, aż nadto zapłaciłam za bilet.

Jackson zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę. Kajuta była ciasna, ale nawet na pokładzie żaden z marynarzy na pewno nie ośmieliłby się przyjść jej z pomocą.

Zmarszczył brwi. Był wyraźnie wściekły, a mimo to usiłował mówić spokojnie.

- Zachowujesz się tak, jakby myśł o naszej wspólnej nocy napawała cię wstrętem.

- Bo to prawda! - zawołała zajadle.

Jackson doskoczył do Cameron. Krzyknęła i próbowała się odsunąć, ale był zbyt szybki i silny. Złapał ją za ramiona, a kiedy się cofnęła, poczuła za sobą ścianę. Wiedziała, że już nie ucieknie. Jackson chwycił ją za przeguby i gwałtownie ją pocałował. Cameron chciała go kopnąć, ale tak mocno przywarł do niej całym ciałem, że nie mogła unieść kolana. Próbowała z nim walczyć. Gwałtownie szarpała głową, ale z każdym ruchem czuła, jak narasta w niej pożądanie.

Nienawidziła go. Nienawidziła też siebie za to, że mimo wszystko chyba go kocha...

- Chodź ze mną - szepnął jej do ucha.

- Nie! Ratunku! - zawołała, ale bez przekonania. - Niech ktoś mi



pomoże!

- Głuptasie. Nikt tu nie przyjdzie.

Ręce i nogi miała jak odrętwiałe. Ze złości ugryzła go w ucho.

- Oszalałaś? Przecież to boli.

- I bardzo dobrze - rzuciła zdyszana.

Przez chwilę patrzył na nią ze złością, a potem wziął ją na ręce i rzucił na łóżko.

- Nie, Jacksonie...

- Tak, Cameron. Kusisz mnie, kiedy jestem do czegoś ci potrzebny, a potem udajesz cnotkę.

- Nic nie rozumiesz. Tamta noc... to był błąd.

- Pragnęłaś mnie. Nie możesz pogodzić się z tym, że panienka Cameron Campbell też ma swoje potrzeby.

Kiedy ściągał koszulę, Cameron czmychnęła na drugi brzeg łóżka, jak najdalej od Jacksona. Czowała się jak uwięzione zwierzę. Nie chodziło tylko o jego zachowanie - przerażały ją jego słowa. Jak się stąd wydostać? A co gorsza, w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że nigdy nie ucieknie od najskrytszych uczuć.

Kapitan ściągnął spodnie, uklęknął na łóżku i złapał ją mocno.

- Jacksonie, proszę... - błagała.

- Tak już lepiej. To właśnie chciałem od ciebie usłyszeć.

- Możemy porozmawiać?

- Za późno. - Pchnął ją na plecy i zdjął jej buty. Jednym rzucił w krzesło, a drugim o ścianę.

- Cameron, dlaczego wszystko utrudniasz?

Nieoczekiwanie wzięła jego twarz w dłonie i zasypała ją pocałunkami. Jego skóra była szorstka, ale przyjemna w dotyku. Pachniał deszczówką i mydłem.

- Nie wiem - szepnęła. - Nie wiem, Jacksonie. Spojrzała mu w oczy, które teraz wydawały się bardziej czarne niż szare.

- Co teraz zrobimy? Jesteś dla mnie jak narkotyk. Nie wiem, czy będę mógł żyć bez ciebie.

Wiedziała, co chciał jej powiedzieć. W tej chwili pragnęła być z nim, ale miała świadomość, że nie mogą żyć wiecznie we własnym świecie, w którym ich nagie ciała były splecione w miłosnym uścisku. Bała się, że kiedy Jackson wypuści ją z ramion, znów będzie na niego zła. Nie chciała, żeby kolejny raz odszedł od niej, głośno trzaskając drzwiami.

- A możemy o tym teraz nie myśleć? - szepnęła, gładząc go po policzku. - Tylko dzisiaj. Przez ten krótki moment...

- Och, Cameron, jesteś taka niewinna. Pocałował ją w czoło i mocno przytulił.

- Prześpij się trochę - rzekł, całując ją w rękę.

- A potem pozwolisz, że się tobą zajmę.

Cameron zamknęła oczy, rozbawiona tą propozycją.

- Obiecujesz? - zapytała cicho, jakby w obawie, że czar pryśnie.

- Obiecuję.

- Wątpię, czy uda ci się dogonić Logana - powiedział Peppin Toussant, puszczając chmurę dymu z francuskiego cygara. Siedział w

wygodnym fotelu w prywatnym apartamencie na tyłach „Juchoir”. -  
Minęły dwa dni, odkąd uciekł, a jego statek to jeden z najszybszych  
parowców na południu. Mówią nawet, że „Inverness” jest w stanie  
przełamać każdą blokadę. - Położył stopę na podnóżku.

- Pamiętaj, jeśli go nie złapiesz, musisz mi zwrócić tyle, ile ci  
dałem za dziewczynę.

- Nie bądź śmieszny.

Grant krążył w tę i z powrotem po pokoju. Było mu gorąco.  
Zdażył już zapomnieć, jak bardzo uciążliwe bywają letnie miesiące nad  
Zatoką Meksykańską. Zwłaszcza Luizjana, położona na bagnistych  
terenach w delcie Missisipi, była niezwykle gorącym i wilgotnym  
stanem.

- Dopadniemy go.

Toussant odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- My, monsieur Campbell? Peppin Toussant wie, z kim nie warto  
zadzierać. Żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie chce mieć wroga  
w osobie Jacksona Logana. To niebezpieczny typ.

- Ja się go nie boję - rzucił Grant i poczuł pod palcami, że coś mu  
się sący z policzka. Kiedy spojrział na białą rękawiczkę, zobaczył na  
niej ślady krwi.

- To jesteś głupi. Powinieneś się bać. - Toussant pokręcił głową. -  
Słyszałem o nim takie rzeczy, że na samą myśl o tym cierpie skóra.. -  
Zawiesił głos, skrzywił się i zaklął pod nosem po francusku. - Co ty  
masz na twarzy, do diabła! Złapałeś syfilis?

Zażenowany Grant szybko opuścił rękę. Wciąż chodził po

pokoju, ciągnąc za sobą chorą nogę. Przesunął dłonią po tłustych włosach. Rano nie znalazł czasu, żeby się wykapać. Czuł zgniły odór własnego ciała. A może to był smród krwawiącej rany? Jeszcze raz potarł twarz.

- Zatrudniłem kilku ludzi z psami wytresowanymi do tropienia Murzynów. Jeżeli Jackson zacumował, na przykład, w Nowym Orleanie, to może już ją mają. Musieli się gdzieś zatrzymać. Przecież zostawił w porcie większość swoich towarów: mąkę, cukier, beczki ze słodką wodą. Wszystko jest w Baton Rouge.

- Obyś miał rację, Campbell. - Toussant pociągnął łyk mocnej czarnej kawy z porcelanowej filiżanki, która w jego olbrzymiej dłoni wyglądała wręcz jak zabawka. - Masz mi zwrócić pieniądze albo dziewczynę.

- Dostaniesz ją! - zawołał Grant. - Mówię ci, że ją dostaniesz. - Ściszył głos, jakby mówił wyłącznie do siebie. - Nie chciała mnie. Pewnie uważała, że jestem wstrętny. To przez tę nogę.

Chciał tylko ją upokorzyć, ujrzeć strach na jej pięknej twarzy.

- Daję ci dwa tygodnie - oznajmił Toussant. - Jeśli przez ten czas nie pojawisz się z dziewczyną, chcę z powrotem moje pieniądze.

Niestety, Grant nie miał w banku żadnych oszczędności. Pokażną sumę przepuścił przy karcianym stoliku. Sporo kosztowało go też wynajęcie tropicieli, którzy szukali Taye i jego wścibskiej siostry. Przeczynał, że to ona wciągnęła Logana w tę awanturę. Owinęła go sobie wokół małego palca.

Trudno było zwrócić tak pokaźny dług, zwłaszcza że Toussant

zażyczył sobie całej sumy w złocie. Grant nie informował go o swoich kłopotach. W gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia, gdyż zamierzał odnaleźć Taye i przywlec ją tu z powrotem. Może po roku spędzonym w „Juchoir” piękna Mulatka przyjmie moją propozycję? - pomyślał z cichą nadzieją. A nuż wydam się jej mniej odrażający?

- Dobrze. Idź już. - Toussant wskazał na drzwi. Grant, zaskoczony nieuprzejmym zachowaniem

Peppina, spytał:

- Słucham?

- No, przecież mówię. Zjeżdżaj. Nie potrzeba mi takich jak ty pod tym dachem. Przynosisz pecha.

- Takich jak ja? - Grant podszedł bliżej. - Przypominam ci, że jestem Campbellem, synem senatora Davida Campbella.

Toussant roześmiał się na całe gardło.

- Nigdy nie dorastałeś do pięt swojemu ojcu. Wyjdź, zanim każę cię wyrzucić.

Grant pochylił głowę i potulnie wyszedł z pokoju. Wstydził się łez, które mimo woli napłynęły mu do oczu. Nie mógł uwierzyć, że Cameron i Taye znów go ośmieszyły. Poprzysiągł sobie, że odnajdzie je za wszelką cenę.

- Wcześniej panienska wstała - zauważyła Naomi. Czekala na szalupę, która miała przewieźć ją na inny statek.

Słońce dopiero się pojawiło. W małej zatoczce, w której zakotwiczył statek, rzeka była wyjątkowo spokojna. Jackson starał się

nie budzić Cameron, ale otworzyła oczy, kiedy tylko wypuścił ją z objęć.

- Śpij - szepnął. - Jeszcze wcześniej. Uświadomiła sobie, że umilkł szum turbiny napędzającej statek, i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Dobiliśmy do portu? Jackson ubierał się powoli.

- Jesteśmy w pobliżu Nowego Orleanu. Pozwoliłem Naomi wysiąść. W zamian zabieram stąd innego pasażera.

Cameron z trudem wygramoliła się ze skotłowanego łóżka. Była naga, ale nie czuła najmniejszego wstydu.

- Idę z tobą. Nie mam już dla niej pieniędzy, ale chcę jej podziękować i życzyć szczęścia.

- Tylko się ubierz - rzucił z humorem.

Cameron była zadowolona, że może pożegnać się z Naomi.

Wyciągnęła ręce i serdecznie uścisnęła piękną Murzynkę.

- Powodzenia - powiedziała - i jeszcze raz dziękuję.

- Niech panienska trzyma się z dala od kłopotów, panienko

Cameron - odparła Naomi, śmiejąc się wesoło. Wyglądała na uszczęśliwioną. Cieszyła się, że już niedługo przesiądzie się na inny statek i znów zobaczy swojego chłopaka. - Na nią też proszę uważać.

Cameron spojrzała na Taye, która właśnie zmierzała w ich stronę. Męski strój skutecznie zakrywał kobiece kształty. Gdyby nie długie włosy, z daleka wyglądałaby całkiem jak chłopiec.

- Taye - uśmiechnęła się Cameron - już wstałaś?

- Chciałam pożegnać się z Naomi.

- Musimy iść - oznajmił jeden z marynarzy, w czerwonej chustce na głowie. - Kapitan za godzinę chciałby stąd odpłynąć. Trzeba się pośpieszyć.

Taye objęła Naomi.

- Dziękuję - szepnęła z przejęciem. - Jestem ci bardzo wdzięczna.

- Panienska zajmie się moimi dziewczętami, prawda? Obie chciały iść ze mną, ale Naomi bardzo się spieszy. Panienska dopilnuje, żeby bezpiecznie dotarły do rodziny w Delaware, dobrze?

- Obiecuję - powiedziała Cameron.

- Płynie szalupa - odezwał się marynarz. - Wsiadaj na nią, jak tylko weźmiemy pasażera.

Taye potarła ramiona, jakby było jej zimno.

- Kto to jest? Cameron pokręciła głową.

- Jackson mi nie powiedział.

Usłyszały czyjś głos, a potem ktoś złapał za linę i wspiał się po sznurowej drabince, zwisającej z burty. Nagle rozległ się zdławiony okrzyk Taye i zaraz potem szepł:

- Thomas...

Na pokład wszedł Thomas Burl.

- Panienska Taye? - spytał z niedowierzaniem. Natychmiast podbiegł do niej i nieporadnie chwycił ją w ramiona. - Dobry Boże, panienska Taye! - zawołał. Twarz mu poczerwieniała, a oczy zasły łzami. - Bałem się, że już nigdy cię nie zobaczę.

- Och, Thomasie, przepraszam. Przepraszam za to wszystko, co powiedziałam wtedy w Elmwood.

- Taye ukryła twarz na jego piersi. - Tak mi okropnie przykro.

Ja...

Cameron z zachwytem popatrzyła za nimi. Thomas zaprowadził Taye na rufę, gdzie mogli spokojnie porozmawiać bez świadków.

Naomi puściła oko do swojej dawnej pani i wesoło zamachała ręką.

- Jeszcze się spotkamy, panienko. Czuję to w kościach - oznajmiła, po czym zniknęła za burzą.

- Podnieść kotwicę. - Cameron usłyszała za sobą głos Jacksona. Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. - Wiedziałeś, że to właśnie Thomas dosiadzie się w Nowym Orleanie?

- No cóż... Jestem kapitanem tego statku - odparł z powagą w głosie. - Oczywiście, że to wiedziałem.

Cameron nie posiadała się ze zdumienia.

- To dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Posłał jej chłopięcy uśmiech.

- Bo nie pytałaś - odparł.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Po południu „Inverness” bez przeszkód minął Nowy Orlean i popłynął dalej w dół Missisipi. Jackson wyjaśnił im, że od ujścia rzeki pozełgają na północ Zatoki Meksykańskiej, w kierunku Biloxi. W ciągu trzech dni powinni dotrzeć do portu. W delcie postanowił rzucić na noc kotwicę. Nie miał dokładnych map, więc wołał nie płynąć po ciemku.

Trzy dni, pomyślała Cameron. Miała trzy dni, żeby nacieszyć się Jacksonem. Na dobrą sprawę jeszcze nie uporała się z własnymi uczuciami. Najważniejsze, że się nie bała. Wiedziała, że go kocha, ale do tej pory nie oczekiwała od niego żadnych deklaracji. Nie była na tyle głupia, aby chcieć więcej, niż mogła dostać. Jackson zamierzał ją zostawić na Bahamach. Oczywiście robił to tylko, jak twierdził, „dla jej dobra”. Krótko mówiąc, znowu chciał ją porzucić.

Cameron nie miała już siedemnastu lat i nie była taka naiwna jak niegdyś. Woląa przejąć inicjatywę. Zdecydowała, że wysiadzie w Biloxi i wróci do Elmwood. Taya mogła popłynąć dalej, na Bahamy. Cameron najpierw chciała pożegnać rodzinne strony, a dopiero potem pojechać do Nowego Jorku, do Stuartów.

Wiedziała, że będzie tęsknić za Jacksonem. Dałaby bardzo wiele, żeby słodkie chwile, które spędzili razem, trwały w nieskończoność. Obawiała się jednak, że na Bahamach ich rozstanie okaże się jeszcze trudniejsze. Nie mogła zmusić Jacksona, żeby ją pokochał. Najlepszym

rozwiązaniem była podróż do Elmwood, a stamtąd do Nowego Jorku.

Skrzypnęły otwierane drzwi. Cameron uniosła głowę znad „Moll Flanders”.

- Jackson...

Uśmiechnął się, ale sprawiał wrażenie roztargnionego. Za nim wszedł do kajuty Thomas.

- Dzień dobry, panno Cameron - przywitał się zakłopotany.

Do tej pory nie miała okazji z nim porozmawiać.

- Thomas! - Zerwała się z łóżka i podbiegła do niego, żeby go uścisnąć. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię znowu widzę....

Zarumienił się, wyjąkał coś, ale nie powiedział nic więcej.

- Tak szybko wyjechałeś. - Cameron odsunęła się, żeby na niego spojrzeć. - Nie wiedzieliśmy, co się stało. Martwiłam się o ciebie.

Wbił wzrok w podłogę i bezradnie opuścił ręce.

- Przepraszam, że nawet się nie pożegnałem. Właśnie mówiłem Taye, jak mi przykro, ale to naprawdę była gardłowa sprawa. - Przymknął oczy. - Nie chodziło o mnie, panno Cameron, ale... o innych.

Cameron od dawna podejrzewała w tym rękę Granta. Teraz już była tego prawie pewna. To nie najlepszy moment na takie rozmowy, uznała. Jackson i Thomas z pewnością chcieli zostać sami.

- Najważniejsze, że jesteś cały i zdrowy. - Uśmiechnęła się. - Pewna młoda dama od dawna na ciebie czeka.

Thomas zrobił się czerwony jak burak. Bardzo schudł od ich ostatniego spotkania i jakby nieco stracił z dawnego uroku. Jednak

spojrzenie piwnych oczu było tak samo szczere jak przedtem.

- Pójdę sprawdzić, co u dziewcząt. Zostawiam was samych.

Jackson nic nie powiedział, ale wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Był jej niezmiernie wdzięczny, że będzie mógł spokojnie porozmawiać z Thomasem.

Cameron nie miała najmniejszego pojęcia, dlaczego Burl w ogóle zjawiał się na statku. W co Jackson go wciągnął? Podświadomie czuła, że chodzi tu o coś więcej niż zwykłe spotkanie. Młody prawnik wystrzegał się nielegalnych interesów. Czyżby chciał przed czymś powstrzymać kapitana Logana? Tak byłoby najlepiej, pomyślała Cameron.

- Zobaczymy się na kolacji? - Spojrzała na Jacksona. Kiwnął głową.

- Zaprosiłem Thomasa i Taye. Mam cichą nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

Cameron podeszła do drzwi. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jackson zapytał ją o zdanie, jakby to istotnie miało dla niego jakieś znaczenie. Tak jakby był jej mężem.

- Przeszkadza? - zapytała. - Ani trochę.

Zacumowali w dużej zatoce. Wieczorem na statku zapanowało wyjątkowe ożywienie. Cameron przycupnęła na beczce z wodą i przyglądała się Jacksonowi. Nie mogła mu pomóc, więc tylko spod oka patrzyła, jak pracował. Był wymagający, ale sprawiedliwy. Marynarze - zwłaszcza ci młodszy - obserwowali go uważnie i brali z niego

przykład. Cameron była tym niezłe rozbawiona. Jak to? Ten pospolity drań, kapitan Jackson Logan, wzorem dla młodzieży?

Późnym wieczorem zjedli wspólną kolację. Tym razem majtkowie wynieśli stół z kajuty kapitana na rufę „Inverness”. W bladym świetle księżycy Logan i jego goście rozkoszowali się wyśmienitym smakiem małży i krewetek. Zapomnieli o wojnie i o tym, co sprawiło, że znaleźli się razem na jednym pokładzie. Rozmawiali o zwykłych, niemal codziennych sprawach. Taye uśmiechała się chyba po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Thomas był nieśmiały i szalenie uprzejmy, ale w oczach Mulatki co chwila migotały figlarne iskierki. Cameron spoglądała na nią z autentyczną radością.

Po kolacji Thomas zaproponował cicho, że odprowadzi Taye do kajuty. Cameron i Jackson zostali na pokładzie. Oparci o reling, wpatrywali się w ciemną otchłań wody.

- Co za upalna noc... - Cameron westchnęła i przesunęła dłonią po spoconej szyi. - Powietrze można kroić nożem.

- Masz ochotę popływać? - Jackson się uśmiechnął. - Trochę się ochłodzisz.

- Popływać? - Przyjemny dreszcz przebiegł jej po plecach. - Ale jak...

- Zejdziemy po drabince. Zrzuciłem ją już wcześniej. Lubię takie kąpiele - wyjął Jackson i zaczął ściągać buty. - Tu jest znacznie bezpieczniej niż na pełnym morzu. Nie ma rekinów.

Cameron wyobraziła sobie, jak pływa w Atlantyku wśród żarłocznych bestii. Roześmiała się głośno.

- Nie mogę wejść do wody. Nie mam więcej ubrań.

Jackson ściągnął koszulę i rzucił ją na podłogę.

- Więc lepiej ich nie zamocz. Cameron spojrzała na niego spod oka.

- Bezwstydnik.

- Mógłbym powiedzieć to samo o tobie, moja droga. Nie pamiętasz, co robisz w nocy, leżąc pod moją kołdrą?

Zarumieniła się, ale nie ze wstydu. Uznała, że nigdy więcej nie spotka takiego mężczyzny jak Jackson. Postanowiła w pełni skorzystać z tego spędzanego razem, darowanego czasu. Pewnie i tak pójdę do piekła za wszystkie występki, pomyślała z humorem. Jackson zaczął zdejmować spodnie.

- No chodź, Cameron. Gdzie podziała się twoja słynna odwaga? Gdzie kobieta, która skakała konno przez każdą przeszkodę? - Zdjął bryczesy i stanął tuż przed nią. Nie potrafiła oderwać wzroku od jego pięknego ciała. - Boisz się? - spytał wyzywającym tonem.

Cameron parsknęła śmiechem.

- Przyjmuję wyzwanie, kapitanie Logan. Jackson wspiął się na poręcz i bez słowa skoczył do wody. Cameron zawahała się. Jak to? Ona, dumna córka senatora Davida Campbella, miała niczym dzikuska pływać nago w rzece? Przecież ktoś z załogi mógłby ją zobaczyć. A jak potem wejdzie na pokład? Wyjrzała za burtę. Jackson płynął na plecach, zataczając obszerne koła. Pomachał do niej.

Cameron zdjęła buty i ściągnęła skarpety. Rozejrzała się dokoła, czy nikt nie nadchodzi. Słyszała jedynie pluskanie wody i ciche

pogwizdywanie marynarza na bocianim gnieździe. Musiało być już dobrze po północy. Większość załogi spała przed jutrzejszą wachtą.

Wzięła głęboki oddech i szybko zdjęła spodnie. Dzięki Bogu, męska koszula, którą miała na sobie, sięgała jej do kolan. Niepewnie wspięła się na reling. Gdzieś daleko w dole szumiała Missisipi.

- Chodź! - zawołał Jackson. - Nikt cię nie zobaczy. Moi chłopcy wiedzą, że lepiej nie zakłócać kąpieli kapitana.

Cameron spojrzała przez ramię. Zachwiała się lekko, zdejmując koszulę. Zamknęła oczy i skoczyła do rzeki w taki sposób, w jaki ją kiedyś uczył papa. Zanurzyła się w zimnej wodzie i wypłynęła na powierzchnię.

- A niech mnie, marzyłem o takiej dziewczynie! - wykrzyknął z zachwytem Jackson. - Tu jest jakieś dwadzieścia stóp wysokości. Nawet niektórzy z moich marynarzy boją się stamtąd skoczyć.

Uśmiechnęła się, dumna z tego, że był z niej zadowolony. Podpłynęła bliżej i złapała go za szyję.

- Teraz masz koło siebie niezłego pływaka - zauważył ze śmiechem.

- Wiem.

Jackson przepłynął pod nią i wynurzył się z drugiej strony, żeby zaczerpnąć powietrza. Cameron opłynęła go i położyła się na plecach.

- Powiesz mi, o czym rozmawiałeś z Thomasem?

- Nie.

Cameron zamilkła, urażona.

- Tu chodzi o bezpieczeństwo kraju.

- Chyba nie mówisz poważnie? - Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Coś w jego głosie sprawiło, że prawie mu uwierzyła. - Jest coś, czego o tobie nie wiem?

- Jestem od ciebie dwanaście lat starszy. Nie wiesz o mnie jeszcze wiele...

- Nie o to pytam.

Płynęła w pewnej odległości od niego. Pierwszy raz rozmawiali ze sobą poważnie i nie chciała tego popsuć nieopatrznym gestem lub słowem.

- Cameron - zaczął Jackson, ale się zawahał - chciałbym ci powiedzieć. Naprawdę...

- Ale nie zrobisz tego.

- Nie mogę - poprawił ją. Podpłynął do drabinki, ciągnąc Cameron za sobą. Złapał gruby sznur i przytrzymał ją drugą ręką. - Musisz mi uwierzyć - wyszeptał. - To wszystko.

Spojrzała mu prosto w oczy, ale w słabym świetle księżyca nic nie mogła dostrzec. A może rzeczywiście myliła się co do niego? Może nie całkiem był tym człowiekiem, za jakiego go zawsze uważała? W końcu przyjaźnił się z jej ojcem.

- Chciałabym, żebyś był ze mną całkiem szczery. Musnął jej usta.

- Też bym tego chciał.

Cameron objęła go za szyję. Ciekawe, co by zrobił, gdybym otwarcie powiedziała mu, że go kocham? - przemknęło jej przez głowę. W tym momencie przypomniała sobie jego poprzednie zachowanie i straciła ochotę do miłosnych wyznań. Bez słowa przytuliła się, a on

ucałował ją w czoło.

- Pozwól mi się nad tym zastanowić. Wiedziała, o czym mówił: o swoich sekretach.

Tylko kiwnęła głową.

- Idziemy do łóżka? - zapytał.

Pocałowała go w policzek.

- Do łóżka tak, ale chyba nie po to, żeby zaraz zasnąć.

Śmiech Jacksona rozbrzmiał głośnym echem nad spokojnymi wodami Missisipi.

Dwa dni później Cameron i Taye siedziały na dziobie statku koło beczek z wodą i grały w karty. W pobliżu cicho rozmawiały czarnoskóre bliźniaczki. Cameron już dawno polubiła Dorcas, ale Efia nie budziła jej zaufania. Stała się zachłanna. Domagała się nowych ubrań, lepszego jedzenia.

- I co o tym sądzisz? - zapytała Cameron, przyglądając się swoim kartom. - Chcesz płynąć na Bahamy?

- Thomas mówi, że to dobry pomysł.

- Nie chodzi mi o Thomasa. Przede wszystkim chcę wiedzieć, co sama o tym myślisz.

Taye spojrzała na nią błękitnymi oczami. Czy to możliwe, że jesteśmy siostrami? - zadała sobie w duchu pytanie Cameron.

Postanowiła na razie nie poruszać tego tematu. Taye ostatnio tyle przeszła... Nie, pokręciła głową Cameron, na razie, lepiej nie omawiać tej sprawy.



- A co ty zamierzasz? - zapytała Taye. Cameron westchnęła.
- Sama nie wiem. Te ostatnie dni spędzone z Jacksonem były...

Nie potrafię tego opisać.

Taye uśmiechnęła się porozumiewawczo. Przecież ona także kochała Thomasa, choć ich związek na razie był całkowicie różny od więzi łączącej Cameron z Loganem.

- Jackson uznał, że powinnam popłynąć na Bahamy - wyjawiała Cameron. Wzruszyła ramionami. - Owszem, chciałabym zostać z nim choć trochę dłużej, ale wciąż nie zdecydowałam. - Spojrzała na Taye. Wyraźnie była czymś zaniepokojona. - Co się stało?

Taye rzuciła okiem na karty. Czuła się trochę winna.

- Nic ci nie mówił?
- Niby kto?
- Jackson.

Cameron rzuciła karty na stolik.

- O co chodzi?

Taye zrobiła płaczliwą minę. Cameron natychmiast złapała ją za rękę.

- Musisz mi powiedzieć! Pamiętaj, że nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

Taye westchnęła ciężko.

- Jackson nie płynie na Bahamy. Planuje wysiąść w Biloxi.

Thomas i pierwszy oficer przejmą komendę nad statkiem... Na pewno nie chodzi o ciebie! - dodała szybko.

- Jak to: Jackson wysiada? - Cameron w ogóle nie mieściło się w

głowie, że ktoś taki jak Thomas Burl mógłby przejąć dowództwo nad parowcem. Przecież nie miał pojęcia o żegludze... Nieważne.

- Ani słowem o tym nie wspomniał.

- Pewnie nie chciał cię zdenerwować. Nie chciał zepsuć... - Taye próbowała znaleźć odpowiednie słowo. Doskonale wiedziała, co ostatnio zaszło między Cameron a Jacksonem. - Nie chciał zepsuć... - powtórzyła bezradnie.

- Próbujesz go bronić? Taye wstała.

- Mam wrażenie, że obie w ogóle nie wiemy, co tutaj właściwie się dzieje.

- Być może masz rację, ale niech mnie diabli, jeśli się tego nie dowiem.

- Okłamałeś mnie - odezwała się Cameron. Jackson podniósł drewnianą skrzynkę i przeniósł ją na drugą stronę ładowni. Mokre włosy lepiły mu się do spoconego czoła. Pod pokładem było gorąco jak w piecu.

- Nieprawda.

- Musisz przyznać, że nie powiedziałaś mi wszystkiego! - zezłościła się nie na żarty.

- Naprawdę zamierzałem popłynąć na Bahamy, ale Thomas przekazał mi ważną wiadomość. Muszę wysiąść w najbliższym porcie i pojechać na Północ.

Ruszyła za nim, kiedy szedł po następną skrzynię.

- Wiedziałaś o tym, odkąd Thomas zjawił się na statku. Cały czas

próbowałaś mnie udobruchać. Chcę wiedzieć, co tu się dzieje!

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Do diabła! Ja też wysiądę! Stanowczo pokręcił głową.

- Nie możesz jechać ze mną. Spiesz mi się. To będzie

niebezpieczna podróż. Cameron wzięła się pod boki. Jak mogła być taka głupia? Miała cichą nadzieję, że wszystko się zmieni, a znów padła ofiarą podłych sztuczek.

- Nie pojedę z tobą. Wrócę do Elmwood. Jackson rzucił ładunek na ziemię, odwrócił się

I złapał ją za rękę.

- Nie możesz wysiąść w Biloxi i pojechać do Elmwood.

Wyszarpnęła mu się.

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić! Chcę wrócić do domu i nikt mnie nie zatrzyma.

- Na chwilę przestań się wściekać i lepiej mnie wysłuchaj. Taye nie może wrócić do Elmwood. Nie wysiądzie w Biloxi. Thomas dowiedział się przypadkiem, że Grant albo Toussant zatrudnił tropicieli, którzy mają ją znaleźć i sprowadzić z powrotem do Baton Rouge. Uważają ją za skradzioną własność „Juchoir”. - Nachylił się do niej. - O to ci chodzi, Cameron? Chcesz oddać Taye w ręce tych bydlaków?

Szybko odwróciła głowę, żeby Jackson nie zauważył łez w jej oczach. Wiedziała, że nie mogę mu ufać! - pomyślała ze smutkiem. Od samego początku podświadomie czekała, że coś przerwie tę sielankę.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytała, nie patrząc na Jacksona  
Stał nieco za nią, bez najmniejszego ruchu.

- Jutro rano, zapewne bladym świtem. Im mniej osób będzie  
wiedziało, że wyjeżdżam, tym lepiej. Zazwyczaj w pełni ufam moim  
ludziom, ale tym razem wolę zachować daleko posuniętą ostrożność.

Cameron niewiele z tego zrozumiała, ale nie zamierzała pytać o  
nic więcej. Teraz to nie miało znaczenia. Już myślała, że stali się sobie  
bliscy a tymczasem Jackson Logan znowu ją porzuca.

- Mogłeś o wszystkim wcześniej mnie powiadomić - zauważyła  
nadaśana. - Zdecydowałam, że popłynę z tobą na Bahamy.

- Powinnaś zostać na statku. W tej sytuacji „Inverness” nie  
weźmie kursu na Bahamy, ale z pewnością trafi na bezpieczne wody.  
Podejrzewam, że ruszy do Baltimore.

Cameron zrobiła zrozpaczoną minę. Naprawdę chciała wrócić do  
domu.

- Wsiadam tutaj. Nic mnie nie powstrzyma.

- Proszę bardzo. Wsiadaj. Nie było tej rozmowy. - Stała do  
niego tyłem, ale usłyszała, jak przesuwają kolejną skrzynię. - Rób, co  
chcesz. Zresztą i tak mnie nie posłuchasz!

Niemal wykrzyczał ostatnie słowa, ale Cameron była już daleko.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Cameron przykucnęła na rufie, wśród skrzyń i beczek. Statek wciąż czekał na rozładunek. Dobrze wiedziała, że „Inverness” musi stąd odpłynąć, zanim ktoś z wrogów Jacksona zauważy, że parowiec rzucił kotwicę w Biloxi. Jeżeli Grant zgłosił kradzież niewolnicy, to miejscowe władze na pewno wszczęły śledztwo.

Statek dopłynął do Biloxi po zachodzie słońca. Teraz było już grubo po północy. Wczesnym wieczorem Jackson przyszedł do kajuty, ale Cameron nawet się do niego nie odezwała. Wziął tobołek na plecy i oznajmił oschle, że w tej sytuacji prześpi się gdzie indziej. Na odchodnym obiecał jej szczerą rozmowę.

Omal się nie roześmiała. Szczerą rozmowę? Niespełna pięć minut później Jackson zszedł z pokładu. Cameron nie wiedziała, dokąd się wybiera, lecz podświadomie czuła, że już go nie zobaczy.

Oczywiście nie zamierzała zostać tu całkiem sama. Postanowiła, że uda się do Elmwood. Przed podróżą na Północ chciała zabrać z domu kilka osobistych pamiątek. Popatrzyła na Taye, która także schowała się za jedną z beczek.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - Spojrzała w błękitne oczy przyjaciółki. Nad ich głowami świecił księżyc w pełni. - Powinnaś zostać z Thomasem. On na pewno by cię obronił.

Taye uśmiechnęła się nieśmiało.

- Thomas w pełni rozumie, że chcę wrócić do domu. Martwi się o

nasze bezpieczeństwo. Chciał nam dać kogoś do ochrony.

Powiedziałam mu, że nie trzeba. Nie będziemy narażać niewinnych ludzi. - Wyżej uniosła głowę. - Stąd jest przecież całkiem niedaleko do Elmwood.

Cameron westchnęła. Owszem, dla parowca płynącego po Missisipi sto siedemdziesiąt mil rzeczywiście nie stanowiło problemu. Co innego piesza wędrówka, w dodatku w towarzystwie trzech czarnych niewolnic. Zakrawało to na szaleństwo.

- Wy też nie chcecie zostać na statku? Bliźniaczki przykucnęły tuż za plecami Taye.

Obydwie jak na komendę potrząsnęły głowami. Ich ogromne oczy błyszczały w ciemności.

- Chcą iść z nami na Północ. Błąkały się po lesie, zanim znalazła je Naomi. Nie znały drogi do domu. Zamierzały jechać do Delaware, bo tam mają rodzinę. Sądzę, że nie powinny się z nami rozstawać. W naszym towarzystwie poczują się bardziej bezpieczne.

Wprawdzie Cameron nie miała pojęcia, jak dojdą do domu, ale była uparta. Skoro dziewczęta chciały do niej dołączyć, nie mogła ich odwozić od tego zamiaru.

- Macie wszystko ze sobą? - zapytała rzeczowo.

- Nie będziemy przystawać w miastach. Pójdziemy prosto do Jackson, ale leśną drogą. Może tak się zdarzyć, że będziemy wędrować w nocy, wyłącznie przy świetle księżyca. - Spojrzała na Taye. - Mówiłaś, że masz trochę pieniędzy?

- Thomas dał mi całe swoje oszczędności. Nie jest tego zbyt

wiele...

- No cóż... - Cameron popatrzyła na trap, po którym kilka minut wcześniej Jackson zszedł do portu. - Ruszamy w drogę. Chyba wiem, jak najszybciej stąd się wydostać.

Jackson zatrzymał się na rogu ulicy, żeby zamienić parę słów z marynarzem w czerwonej koszuli. Cameron obserwowała go podczas rozmowy z Taye. Minutę później zniknął za zakrętem. Jeżeli szedł na Północ, powinien bez kłopotu wyprowadzić je z Biloxi.

We cztery ruszyły gęsiego w stronę trapu.

- Thomas nie przyjdzie się z tobą pożegnać? - szepnęła Cameron do Taye.

- Powiedział, że w ogóle nie chce słyszeć o naszych planach. Nie będzie współnikiem zbrodni.

- Mulatka uśmiechnęła się do własnych myśli.

- Prawdę mówiąc, jest przekonany, że uciekniemy stąd dopiero rano, zanim marynarze rozładują towar.

Cameron się uśmiechnęła.

- Nasi panowie będą mocno zaskoczeni.

Złapała Taye za rękę i we dwie pobiegły w kierunku ulicy. Po chwili dotarły do zakrętu, za którym zniknął Jackson. Szedł wąskimi uliczkami przez ciche zaułki miasta. Cameron zobaczyła tylko kilka bezpańskich psów. Trzy czarnoskóre dziewczęta sunęły za nią niczym cienie. Minęły pijanego marynarza, siedzącego na beczce z wodą, i kilka jadących ulicą powozów. Nagle do ich uszu dotarły dźwięki muzyki i spostrzegły na wpół nagą Murzynkę, tańczącą w świetle

ogniska. W oddali słyszały śmiechy i huczną zabawę.

Cameron starała się trzymać w bezpiecznej odległości, ale nie traciła z oczu Logana. Wyglądało na to, że czegoś szukał. Ciekawe czego? Czytał rozklejone na ulicy plakaty. Kiedy znów skręcił w główną aleję, Cameron dała znak dziewczętom, żeby nie podchodziły bliżej. Ostrożnie wyjrzała zza rogu i zobaczyła, że stanął przed sklepem rzeźnika. Przedstawił się żołnierzowi w szarym mundurze wojsk Konfederacji i został wpuszczony do środka.

Ten łotr pomnażał zyski, zadając się z wrogiem, uznała Cameron. Jak mogła wpaść na pomysł, że kiedyś będą razem? Owszem, kocha go, ale nie potrafiłaby żyć z człowiekiem, który popiera niewolnictwo. To było dla niej nie do pomyślenia.

- Co on robi? - spytała Taye. - Może powinniśmy gdzieś się schować, zanim ktoś nas zobaczy?

- Nie wiem, którądy dalej - szepnęła Cameron - a przecież nie zapytam nikogo o drogę. Tylko spójrz na mnie. - Wskazała na swoje buty, bryczesy i koszulę. - Mogą mnie zaaresztować. Wyglądam jak marynarz z dwiema niewolnicami.

- Raczej trzema - poprawiła ją Taye. - Bez dokumentów nikt nie uwierzy, kim naprawdę jestem.

Cameron złapała ją za rękę.

- Nie martw się. Na pewno cię z tego wyciągnę.

- Wiem.

Po niespełna godzinie Cameron znowu usłyszała głos Jacksona. Wyjrzała zza rogu i kazała dziewczętom schować się za beczkami,



stojącymi przy ścianie najbliższego budynku. Cała ulica śmierdziała gnijącym mięsem i trutką na szczury.

- Dziękuję, że pan przyszedł, kapitanie Logan - odezwał się dystyngowany młody mężczyzna w szarym oficerskim mundurze. Nie wyjął cygara z ust. Był szczupły i wyglądał jak większość młodych mężczyzn z plantacji Missisipi. W pewnym sensie nawet przypominał Granta.

- Teraz pan rozumie, panie kapitanie - znacząco powiedział Jackson. - Biorę tylko złoto.

Oficer zachichotał.

- Mówili mi, że chytry lis z pana.

Jackson uśmiechnął się uroczo. W jakiś niemal diabelski sposób umiał zjednywać sobie ludzi.

Cameron zmarszczyła brwi. Miała ochotę uciec, byle znaleźć się jak najdalej od Jacksona. Nagle powietrze przeszył głośny wrzask. Cameron z przerażeniem spostrzegła Efię, która gramoliła się na jedną z beczek.

- Szczur! Szczur! - piszczła Murzynka. - Och dobry Boże!

Wielki, cuchnący szczur!

Za jednym razem wypowiedziała więcej słów niż przez cały rejs do Biloxi.

- Stój, kto idzie? - krzyknął żołnierz, stojący na straży.

- Co się tam dzieje, chłopcze?

Cameron usłyszała głos oficera. Próbowała ściągnąć Efię z beczki. Musiały czym prędzej uciekać.

- Szybciej - warknęła, ale czarna dziewczyna wcale nie miała ochoty postawić nogi na chodniku.

- Nie mogę, tam jest wielki szczur.

- Wielkie nieba, Efi, szczur jest już pewnie w połowie drogi do Waszyngtonu.

Na ulicy rozległ się odgłos podkutych butów. Wszyscy trzej mężczyźni zbliżali się w ich stronę.

- Biegnij, Taye! - wrzasnęła Cameron. - Zabierz Dorcas! Uciekaj!

- Zatrzymać je! - spokojnie rozkazał oficer. Żołnierzy było coraz więcej. - To mogą być szpiedzy.

- Dokąd się wybieracie? - rozległ się znajomy głos Jacksona. - Stój, Taye, albo cię zastrzelę.

Taye stanęła jak wryta i spojrzała na Cameron. Jej oczy były ogromne ze strachu. Cameron zostawiła Efię i pomału odwróciła się w stronę Jacksona.

- Miałś nie łązić za mną, Fanny - powiedział leniwym tonem.

Fanny? Jaka Fanny?! Na szczęście Cameron była wystarczająco inteligentna, żeby zrozumieć, co się dzieje. W tej chwili musiała zaufać Jacksonowi. Prawdę mówiąc, nie miała wyboru.

Jackson spojrzał na oficera.

- Mogę to wyjaśnić, George.

- Mam taką nadzieję.

Żołnierze wyciągnęli rewolwery. Dziewczęta znalazły się w pułapce.

- To trochę krępujące...

Oficer wepchnął w usta następne cygaro.

- Zamieniam się w słuch, kapitanie Logan. - Wydmuchał dym nosem.

- To tylko interesy, George. - Jackson zrobił przeproszącą minę.  
- Nie mają wpływu na naszą transakcję.

- Jak to? Sprzedajesz kradzione niewolnice? Nie chcę żadnych problemów.

- Ależ skądże! Nie są kradzione. To uciekinierki. Oficer zmarszczył brwi.

- Nie obchodzi mnie, czym zajmujesz się po godzinach pracy, ale to trochę wstrętne, nie uważasz? Sprzedajesz je jak mięso. - Wyjął z ust cygaro i wskazał na Cameron. - A ta? Nie jest czarna. - Przyglądał się jej z zainteresowaniem. - Ładna.

- Ta? - Jackson wyciągnął rękę i złapał Cameron za włosy.

- Auć!

Ból był nie do zniesienia. Cameron nie spodziewała się, że może być tak brutalny. Próbowali go kopnąć, ale złapał ją w pasie i ścisnął mocniej.

- To już inna historia....

Oficer ze śmiechem patrzył na ich szarpaninę. Jackson przerzucił sobie Cameron przez ramię jak sakwę. Rozwścieczona Cameron wierzgała nogami, ale nadaremnie. Był zbyt silny.

- Słucham dalej.

- Uciekła z burdelu.

- Ty sukinsynu! - wrzasnęła Cameron. - Puść mnie. Już ja ci

pokażę!

George zachichotał.

- Dzielna sikoreczka...

- Muszę ją odwiedzić z powrotem do Baton Rouge. Wyznaczyli za nią nagrodę. Nie masz pojęcia, co czasami znajduję pod pokładem.

Oficer zamyślił się na chwilę.

- Chyba słyszałem, że naraziłeś się komuś z Baton Rouge. -

Podrapał się po głowie. - Mógłbym przysiąc, że chodziło o kradzież niewolnicy. Ktoś ciągle wypatruje cię w porcie.

- To tylko plotki, George. Nie mają nic wspólnego z prawdą.

- Jackson porozumiewawczo mrugnął do niego. - Lepiej będzie, jak sobie pójdę. Umówiłem się z człowiekiem, który kupi ode mnie niewolnice. - Spojrzał na Cameron. - Obiecuj, że będziesz grzeczna, to może cię puszczyć.

- Logan, jak ty sobie z nimi poradzisz? Dam ci kawałek sznura.

Hej, tam! - Oficer zawołał jednego z żołnierzy. - Przynieś panu kapitanowi mocny kawałek sznura.

Chłopak za moment wrócił z całym naręczem cienkiej linki.

Jackson przycisnął Cameron do ściany.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się i złapał za koniec sznura. - Fanny, bądź dobrą dziewczynką, wysuń ręce. Cameron nienawistnie spojrzała na Jacksona. Gdyby wzrok mógł zabijać, byłby trupem.

- Szybciej - wycedził przez zaciśnięte zęby - wynośmy się stąd.

Posłusznie wyciągnęła przed siebie ręce, które Jackson związał w nadgarstkach.

- Gotowe. - Zrobił supel i mocno pociągnął.

Cameron drgnęła, kiedy sznur wbił się jej w skórę, ale natychmiast zacisnęła usta i nic nie powiedziała. Pomyślała, że rozprawi się z Jacksonem, kiedy zostaną sami.

- No dobrze, moje panie, ruszamy w dalszą drogę.

George puścił dym z cygara.

- Tamtych nie zwiążesz? Jackson zrobił skwaszoną minę.

- Nie, są posłuszne. Z tą zawsze miałem najwięcej kłopotów.

Spod oka zerknął na Cameron i nagle klepnął ją w pośladek.

Odwróciła się, żeby go kopnąć, ale zrobił błyskawiczny unik.

Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

- Miło robić z tobą interesy - powiedział George. - Powodzenia, pewnie się zobaczymy.

- Idziemy - rozkazał Jackson i poprowadził kobiety w dół ulicy.

- Co ty wyprawiasz? - warknęła Cameron, kiedy znaleźli się poza zasięgiem głosu.

- Zamilcz i nawet się nie odwracaj, jeżeli nie chcesz skończyć z kulą w głowie. - Położył jej rękę na plecach i popchnął w stronę następnej przecznicy.

Kiedy znaleźli się nieco dalej od świateł miasta, Cameron zatrzymała się w pół kroku.

- Rozwiąż mnie! - rozkazała. Była tak wściekła, że miała ochotę splunąć na Jacksona.

- Niby dlaczego? - spytał. Tak blisko pochylił się w jej stronę, że prawie dotknął twarzą czubka jej nosa.

- Jak to?! Nie masz najmniejszego prawa tak mnie traktować!

- Bądź trochę ciszej, z łaski swojej - grzecznie wtrąciła Taye.

Cameron nie odrywała wzroku od Jacksona.

- Rozwiąż mnie! - zażądała stanowczym głosem.

- Dlaczego mnie śledzisz? Zdajesz sobie sprawę, na co się narażasz? Zresztą nie tylko siebie... - Znacząco popatrzył na pozostałe dziewczęta. - Wojna dotarła nawet do Wirginii.

- Gdzie?! - zawołała. - A co mnie to obchodzi?

- Zmienisz zdanie, kiedy żołnierze Unii wejdą do Missisipi.

Zaczął rozwiązywać węzły na jej dłoniach. Cameron jęknęła z bólu. Ostry sznur przeciął jej skórę. Nie zamierzała słuchać o wojnie. Chciała po prostu dotrzeć do domu.

- Nie śledziłam cię. Wracam do Elmwood.

- Pod oknami głównej kwatery pułku Konfederatów?

Taye podeszła bliżej.

- To nie miejsce na kłótnie - powiedziała zdecydowanym tonem.

- Musimy jak najszybciej zabrać stąd bliźniaczki. Nie chcę, żeby zagnały jakiejś krzywdy.

- Cholera! - zaklął Jackson. - Powinienem zabrać was z powrotem na statek, ale wtedy nie zdążę na spotkanie w Jackson.

- Jedziesz do Jackson? - Cameron poczuła, jak jej serce zabiło mocniej. Tak bardzo chciała wrócić do domu, że łzy napłynęły jej do oczu.

Ku jej zaskoczeniu, ton jego głosu się zmienił, a twarz złagodniała.

- Nie mogę zabrać cię do domu. To zbyt niebezpieczne. -  
Odgarnął jej włosy z czoła. - Chciałbym, żebyś mi zaufała.

Popatrzyła na niego z rozpaczą.

- Też bym tego chciała...

Jackson zerknął na Taye i bliźniaczki, które przez cały czas trzymały się za ręce. Westchnął ciężko.

- Dobrze, jednak zabiorę was na statek. - Wskazał palcem na Cameron. - I nie chcę słyszeć ani słowa! Wiesz, co powiedział George. Szukają nas. To sprawka Granta i Peppina.

Cameron poczuła się jak zbity pies.

- Jak uważasz - rzekła obojętnym tonem.

Może jednak Jackson miał trochę racji? Nie chciała narażać Taye. Postanowiła, że zostawi ją pod opieką Thomasa Burla i sama uda się do Elmwood.

Bez dalszej dyskusji wrócili nad rzekę. Zanim dotarli do portu, usłyszeli strzały.

- Co to? - spytała wystraszona Efia. W oddali słychać było głośne okrzyki i ostrą wymianę ognia. Coś się paliło.

Jackson zaklął i odwrócił się w stronę kobiet.

- Taye, zostaniesz tutaj z dziewczętami. Muszę sprawdzić, co się tam dzieje. Wiem, że Cameron i tak pójdzie za mną. Przynajmniej będę miał na nią oko.

Taye uśmiechnęła się.

- Tak jest, panie kapitanie. - Przegoniła dziewczęta za stertę świeżego drewna, które wciąż jeszcze pachniało żywicą. - Będziemy

cichutko jak myszki - Popatrzyła na Efię. - Prawda?

Obydwie Murzynki kiwnęły głowami. Jackson rzucił okiem na Cameron.

- Idziesz? Pobiegnę za nim.

Gdy dotarli do głównej ulicy, wiodącej do portu Jackson wyciągnął rewolwer.

- Kiedy ci powiem, że masz biec, to biegniesz bez pytania, jasne?

Przytaknęła bez słowa.

Wkrótce znaleźli się na przystani. Cameron aż się zachłysnęła z przerażenia. Parowiec powoli odchodził od mola, pod ciągłym ostrzałem z nabrzeża. Kilku marynarzy odpowiadało ogniem.

- „Inverness”...

- Kazałem Thomasowi zaraz stąd odpłynąć.

Cameron przykucnęła obok Jacksona. Ciężki parowiec z hukiem turbiny z wolna nabierał prędkości.

- To moja wina - wyszeptała.

- Thomas na pewno da sobie radę. Nic im się nie stanie.

- Nie wiedziałam, że zna się na żegludze.

- Jego ojciec był kupcem. Thomas dorastał na pokładzie statku.

Potem wysłano go do szkoły prawniczej, żeby miał łatwiejsze życie.

Cameron w osłupieniu patrzyła na strzelaninę. Któryś z napastników wskoczył do szalupy, ale natychmiast został zasypany gradem kul i musiał schronić się w wodzie. Położyła rękę na ramieniu Jacksona.

- Lepiej stąd chodźmy.



Spojrzał na nią groźnie, ale nie był zły.

- Siła przed prawem - mruknął z wisielczym humorem.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Dokąd się pan wybiera? - zapytała żartem. Podał jej rękę.

- Pospiesz się, Fanny. Nie mamy czasu.

- Znowu Fanny? Miałam cię o to zapytać. Dlaczego właśnie

Fanny?

Pół godziny później Jackson, Cameron, Taye i bliźniaczki znaleźli się na peryferiach miasta.

- Nie możemy iść prosto do Elmwood - wyjaśnił Jackson. -

Staniemy się łatwym celem.

- Mówiłeś, że wybierasz się na Północ. Jak chcesz tam dotrzeć?

- Przydałyby się konie. Nawet gdyby udało się je pożyczyć albo ukraść, to byłoby zbyt podejrzane.

Dwoje białych ludzi i trzy niewolnice, każda na swoim koniu - mówił półgłosem, żeby nie urazić Taye.

Cameron spojrzała na sklep; szyld głosił, że należy do braci James. Taye, Efia i Dorcas siedziały na ziemi. Wszystkie trzy były wyraźnie zmęczone. Taye jeszcze nie zdążyła otrząsnąć się po ostatnich przeżyciach, a bliźniaczki wyglądały na przestraszone. Popatrzyła na prowadzącą do Elmwood drogę. Sama doszłaby na miejsce bez większego trudu, ale musiała myśleć także o innych.

- Jak się przemkniemy? - zapytała z mimowolnym westchnieniem.

Jackson podrapał się po brodzie pokrytej dwudniowym zarostem.

- Hm, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.
- Mów. Zrobimy wszystko, co rozkażesz.
- Powinniśmy zniknąć, zanim miasto zacznie budzić się do życia.

Zaraz gruchnie wieść, że „Inverness” stał w porcie.

- Powiedz mi, co robić. Nie boję się. Pogładził ją po policzku.
- Wiem.

Głęboko zaczerpnął tchu i mówił dalej:

- Musisz znaleźć przebranie dla siebie i dla Taye. Ona ma wyglądać jak zwykła niewolnica.

Cameron posłusznie pokiwała głową.

- Tobie potrzebna będzie prosta sukienka. Nie powinnaś rzucać się w oczy. Najlepiej, jak znajdziesz też czepek. Nie chciałbym, żeby ktoś was rozpoznał. Chociaż lubię cię w tym, co masz na sobie... -

Pociągnął ją za rękaw cienkiej białej koszuli.

- Daj mi pół godziny. Uśmiechnął się.
- Racja, zapomniałem. Lubisz kraść cudze ciuchy.

Cameron zrobiła urażoną minę.

- A co potem?

Niespodziewanie usłyszeli tętent i natychmiast schowali się w ciemnościach. Jackson złapał Cameron za rękę.

- Poszukam jakiegoś wozu.
- Jak chcesz kupić wóz o tej porze, nie wzbudzając niczyich podejrzeń? - z powątpiewaniem zapytała Cameron. Była prawie

czwarta nad ranem.

- A kto powiedział, że chcę go kupić? Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Kradzież?

Pochylił się w jej stronę.

- Ty kradniesz cudze suknie.

- To jednak nie to samo.

- Pieniądze będą nam potrzebne, żeby kupić coś do jedzenia.

- Dlaczego nie masz przy sobie większej sumy? - Cameron odgarnęła włosy z czoła. W Biloxi było bardzo duszno, ale bliska obecność Jacksona sprawiała, że zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco.

- Chciałem udawać zwykłego robotnika. - Wskazał na szare spodnie i tanią koszulę. - Na tych drogach lepiej nie nosić przy sobie większych kwot. To niebezpieczne.

- Wciąż nie wiem, co naprawdę robisz. Dlaczego zszedłeś ze statku?

Jackson potrząsnął głową.

- Nie mogę ci powiedzieć. - Nachylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Cameron nie miała najmniejszych wątpliwości, że przestał się na nią gniewać. - Założę się, że szybciej znajdę wóz z zaprzęgiem niż ty chociaż dwie sukienki.

Cameron uwielbiała, kiedy traktował ją jak równą sobie. Uśmiechnęła się szeroko.

- Przyjmuję zakład, panie kapitanie. Wziął ją za rękę i zbliżył usta do jej dłoni.

- Uważaj na siebie.

Kiwnęła głową i zniknęła w ciemnościach. Nie wiedziała, czy bardziej spieszo jej do Elmwood, czy do pieszczot Jacksona.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

Tuż po wschodzie słońca dogoniło ich czterech żołnierzy.

Jackson delikatnie położył rękę na udzie Cameron.

- Gotowa? - szepnął.

Naciągnęła czepek na czoło, żeby zakryć twarz. Wygrała zakład. Pokonała Jacksona, wracając po pięciu minutach z płócienną spódnicą, bawełnianą bluzką, dwoma czepkami i skromną sukienką dla Taye. Znalazła też wiadro, kilka ziemniaków, cebulę, a nawet dzbanek z oderwanym uchem. Dzięki temu mogli gdzieś stanąć na noc.

Jackson pochwalił ją zupełnie szczerze. Sam wrócił z dwoma wymęczonymi końmi i małym powozem. Dodatkowo przywiózł kilka koców i parę innych drobnych rzeczy, które mogły przydać się w drodze. Cameron spojrzała przez ramię na Taye.

- Gotowa?

Taye szybko kiwnęła głową. Cameron usiadła prosto i poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Wszystko w porządku - szepnęła.

- W takim razie pozwól, że ja będę mówił - powiedział cicho Jackson. - Siedź cicho, bez względu na to, co będzie się działo. Damy

radę.

- Dzień dobry! - zawołał jeden z żołnierzy. Podjechał bliżej i uważnie im się przyjrzał.

Jackson ściągnął cugle i pokiwał głową.

- Dzień dobry panu. - Mówił tak, jakby żuł garść tytoniu.

Cameron patrzyła przed siebie, próbując się nie roześmiać.

- Dokąd to Bóg prowadzi? - zapytał żołnierz, patrząc na siedzące z tyłu Murzynki.

Cameron rozpoznała dystynkcje oficera, widoczne na mundurze. Jackson uchylił słomianego kapelusza. Znalazł go w stajni, kiedy kradł konie.

- Na północ od Jackson. Jesteśmy z Fell's Point.

- Zatrzymał powóz. - Zna pan tę miejscowość? Tytoniu tylko trochę, za to całe mnóstwo bawełny.

- Nic mi to nie mówi - wyniośle odparł oficer.

- Nie jestem stąd.

Jackson miał czymś wypchany cały policzek. Ciekawe co to? Cameron znów odwróciła wzrok. Oficer wskazał na Taye, Dorcas i Efię.

- To twoje Murzynki? Jackson roześmiał się rubasznie.

- Chyba nie wyglądam na człowieka, który mógłby pozwolić sobie na własnych niewolników? Należą do mojego pana. Właśnie je kupiłem. - Zaczął przeszukiwać kieszenie. - Chce pan zobaczyć ich papiery? Gdzieś je tutaj miałem. Nie wiem, co mi tam napisali, nie umiem czytać. Pan Josh zabronił mi sprowadzać Murzynów bez

papierów. Spojrzał na Cameron. - Fanny, gdzie, do licha, są te dokumenty?

Cameron skrzywiła się, jakby ugryzła cytrynę.

- Muszą gdzieś być, Amos - odparła. - Znowu nie pamiętasz, gdzie je schowałeś?

- Wielkie nieba! Kobieto, nigdy mnie nie słuchasz. Przecież sto razy ci powtarzałem: sprawdź, czy je na pewno włożyłem do kieszeni. - Przeszukiwał ubranie.

Oficer jeszcze raz rzucił okiem na kobiety.

- To niepotrzebne - mruknął. - Uważajcie po drodze. W lasach roi się od zbiegów.

- Fakt, Murzynom nie wolno ufać. - Jackson dał sobie spokój z poszukiwaniami. - Mój pan skopałby mi tyłek, gdybym którąś stracił. - Zachichotał, jakby ubawiony z własnego dowcipu.

Oficer spojrzał przez ramię na żołnierzy.

- Lepiej już jedźmy, panowie. - Poprawił kapelusz. - Z Bogiem! Jackson szarpnął lejce.

- Wio! - krzyknął i konie ruszyły.

Cameron siedziała sztywno, póki żołnierze nie zniknęli im z pola widzenia. Potem zmęczonym ruchem oparła głowę na ramieniu Jacksona.

- Naprawdę nie możemy podróżować w nocy? Nie wiem, czy znowu to wytrzymam.

Jackson spojrzał za siebie.

- Pusto, moje panie. Możecie zdjąć więzy, ale nadal trzymajcie

sznur w rękach. - Ponownie spojrzął na Cameron. - To był dobry pomysł, żeby je związać. Dzięki temu staliśmy się bardziej wiarygodni.

- A co zrobisz, kiedy w końcu ktoś zechce zobaczyć dowód zakupu? - zapytała nieufnie.

- Nie wiem. Może zacznę strzelać? A może oddam ciebie w ramach wykupu?

Miała ochotę dać mu kuksańca.

- Musisz wymyślić dla mnie lepsze imię, Amos. Nie chcę być Fanny przez tak długą drogę.

Jackson roześmiał się na całe gardło.

Grant krążył po pustym, zaciemnionym domu i zastanawiał się, co zrobi, kiedy skończy mu się zapas whisky. Owszem, mógł przywieźć ze sobą kilka flaszek więcej. Potarł rozognioną szramę na policzku. Chryste, co to jest? Żaden lekarz w Baton Rouge nie umiał mu pomóc. Po części właśnie dlatego musiał wrócić do domu. Nie potrafił znieść tego, że ludzie spoglądali na niego jak na trędowatego. Nawet Murzyni nie bardzo chcieli się z nim zadawać w obawie, że złapał syfilis.

Przyłożył do twarzy zimną szklanekę. Ból był tak silny, że nie mógł spać ani jeść. Poszedł głównym korytarzem. Dom stał pusty zaledwie od kilku tygodni, a już przypominał ruderę. Większość mebli zniknęła, a te, które zostały, pokrywała gruba warstwa kurzu. W ciemnościach wyglądały jak zgromadzenie duchów. Grant się wzdrygnął. Nic już nie było takie jak przedtem. Powoli wszedł na

schody. Wiedział, że mimo woli znalazł się w poważnych tarapatach. Ciężyły na nim spore długi - kupił nowy powóz, ubrania i nieco złota. Toussant żądał zapłaty za Taye, a Grant nie miał ani pieniędzy, ani dziewczyny. Wprawdzie dostał wiadomość, że statek Logana przybił do portu w Biloxi, ale podobno Mulatki nie było na pokładzie. Nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziała.

Złoto, które otrzymał za sprzedaż niewolników, zdążył roztrwonić, więc nie mógł też zaciągnąć kredytu w żadnym banku. Sporna pozostawała także kwestia dziedziczenia Elmwood. Thomas Burl złożył do sądu stanowego wniosek o wydanie odpisu ostatecznej wersji testamentu senatora Davida Campbella. Och, gdyby Grant dostał Burla w swoje ręce... Nikt nie wiedział, czy taki dokument istnieje, ale Thomas okazał się na tyle sprytny, żeby zamrozić konto Campbellów.

Grant pomału wspinał się po schodach, ciągnąc za sobą niedołączną nogę. Dodatkowo jeszcze ta dziura w twarzy... Wściekły, rozdrapał ją brudnymi paznokciami. Ból przeszył mu cały policzek i trysnęła żółta ropa. Mimo cierpienia odczuł chwilową ulgę.

Naomi rozmasuje mi nogę, pomyślał. Czasem to pomagało. Dopisało mu szczęście, że zdołał ją złapać tak blisko domu. Szkoda, że żołnierze zabili jej rosłego jak drzewo kochanka. On także by się teraz przydał. Silny niewolnik to pewny zarobek.

Grant w ponurym nastroju szedł ciemnym korytarzem. Miał mało nafty, więc nie palił światła. Zresztą nie potrzebował. Lubił ciemność poza chwilami, kiedy miewał koszmary. Nie wiedzieć czemu ostatnio śniły mu się pająki. Nigdy wcześniej nie czuł przed nimi strachu, ale od



pewnego czasu zaczęły go wręcz przerażać.

Pociągnął kolejny łyk whisky. Miał lekką głowę i zdrtwiałe usta. Jeszcze kilka łyków i może wreszcie będzie mógł zasnąć. Był głodny, ale nie zostało już nic do jedzenia. Ludzie, którzy mieli pilnować domu, przede wszystkim zajęli się jego spiżarnią. Ostatecznie mógł poszukać jakiejś nędznej strawy w kwaterach niewolników.

Stanął przed drzwiami sypialni i ściągnął koszulę. Był spocony, ale nie miał siły, żeby się wykapać. Zbyt wiele kosztowało go przyniesienie wody. Wyjął klucz z kieszeni, włożył go do zamka i przekręcił. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

- Naomi? - zawołał zrozpaczonym głosem.

Po krótkiej chwili usłyszał brzęk łańcuchów i westchnął z ogromną ulgą. Naomi była nadal przykuta do łóżka. Jeszcze nie jestem całkiem sam, pomyślał z przejęciem.

Cameron usiadła przy małym ognisku, które rozpalił Jackson. Dziewczęta poszły spać. Zeszłej nocy żadna z nich nie zmrużyła oka, więc wszystkie były bardzo zmęczone. Zatrzymali się w ruinach starego młyna, dzięki czemu mieli dostęp do świeżej wody. Tu nikt nie powinien nas zauważyć, pomyślała Cameron. Jackson wziął wiadro.

- Idę po wodę. Pójdiesz ze mną?

Cameron dorzuciła gałęzi do ognia i wstała. Była wyczerpana, ale szczęśliwa. Wracała do domu. Na myśl o Elmwood czuła, jak wstępują w nią nowe siły. A może to była zasługa Jacksona?

Wziął ją za rękę i poszli razem przez las. Cameron czuła się przy

nim bezpiecznie. Ostatnie tygodnie utwierdziły ją w tym przekonaniu. Wołała, kiedy Jackson był w pobliżu. Wiedziała, że tym razem bez przeszkód wróca do Elmwood. A potem... to już inne zmartwienie.

- Myślę, że dalsza podróż do Jackson zajmie nam jeszcze ze dwa dni - powiedział. - Jeśli będzie zbyt duży ruch, będziemy się ukrywać. Wtedy wyruszymy dopiero wieczorem. Nie chcę przypadkiem spotkać któregoś z twoich sąsiadów.

- Oczywiście.

Jackson wyteńczył wzrok, żeby na nią spojrzeć. Blask księżyca ledwie przedzierał się przez drzewa.

- Nie jesteś dzisiaj zbyt rozmowna.

- To ze zmęczenia - odparła zrezygnowanym tonem.

- Posłuchaj, odszedłem, bo nie chciałem kłótni.

- Niczego nie obiecywałeś. Nie musisz się tłumaczyć. Mocniej ścisnął ją za rękę.

- Nie ułatwiasz mi tego. Próbuję ci powiedzieć, że odszedłem wyłącznie dla twojego dobra. Potem chciałem do ciebie wrócić. Na pewno bym cię odnalazł.

Bardzo chciała mu wierzyć, lecz nie mogła. Już kiedyś ją zostawił. Do trzech razy sztuka - mówi stare przysłowie. Już dawno przestała być małą dziewczynką. Wszystko się zmieniło...

Niespiesznie dotarli na brzeg strumienia i usiedli na trawie. Przez chwilę słuchali rechotania żab i śpiewu świerszczy.

- A niech to, Cameron - odezwał się Jackson.

- Zupełnie nie wiem, co z tobą zrobić.

Roześmiała się cicho.

- Nic nie musisz robić. Zaprowadź mnie tylko do Elmwood.

Potem dam sobie radę. Niepotrzebna mi twoja pomoc - dodała burkliwie.

- Wiem. Potrafisz zadbać o siebie lepiej niż niejeden mężczyzna.

Jednak chcę ci pomóc.

- Śmieszne. Ty masz swoje... - Machnęła ręką,

- Masz swoje życie. Muszę wrócić do domu, zanim wyjadę na Północ. Po prostu muszę.

- Nie chcę zostawić cię zupełnie samej. Co z twoim bratem?

Ciężka sprawa...

Cameron przyglądała mu się w milczeniu. Jackson zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Chcę porozmawiać z tobą o naszej przyszłości...

Popatrzyła na niego spłoszona. Bała się, że padną słowa, których wolałaby nie słyszeć.

- Cicho - szepnęła. - Mamy niewiele czasu, Najlepiej nic nie mów.

Po prostu mnie kochaj. - Objęła go za szyję. - Możesz to zrobić? - zapytała zalotnie.

Dwa dni później Cameron stanęła na krętej polnej drodze, prowadzącej do Elmwood. Jackson dał im wóz, konia i większość zapasów.

- Pamiętaj, że nie możecie tu zbyt długo zostać - przestrzegł.

Cameron spojrzała na niegdyś uczęszczaną drogę, która zaczęła

zarastać trawą.

- To tylko kilka dni - odrzekła zmęczonym tonem.

Jackson spod oka spojrział na Cameron, a potem wbił wzrok w ziemię. Na policzkach miał kilkudniowy zarost, który dodawał mu łobuzerskiego uroku.

- Zostaniemy dzień, najwyżej dwa - wtrąciła Taye. - Obiecuję, panie kapitanie. Zabiorę ją stąd siłą. Nawet gdyby trzeba było ją związać - dokończyła z uśmiechem.

Cameron zwróciła się do Jacksona:

- Zrób, co zaplanowałeś, i wracaj na statek. Nic nam się nie stanie.

Jackson przeczesał włosy palcami. Wciąż nie był pewien, czy dobrze robi, zostawiając ją tutaj samą.

- Weź to. - Wyciągnął rewolwer z za pasa. Tylko nie strzelaj bez potrzeby.

Wcisnął jej broń do ręki. Cameron spojrzała na nią z powątpiewaniem. Rewolwer był ciężki i zimny w dotyku.

- Dziękujemy, panie kapitanie - powiedziała Taye.

Bliźniaczki pomachały Jacksonowi na pożegnanie, a Cameron stała jeszcze przez chwilę.

- Idź już - szepnęła. Bała się tego rozstania. W końcu jednak odważnie wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Jackson wziął ją w ramiona.

- Znajdę cię! Przysięgam na prochy twojego ojca, że cię znajdę.

Cameron tylko skinęła głową. Słowa uwięzły jej w gardle.

Pobiegła za Taye. W dłoni wciąż trzymała ciężki rewolwer.

- Wszystko w porządku? - zapytała przyjaciółka. Cameron przytaknęła krótkim ruchem głowy.

Wcisnęła broń do sakwy, którą Taye niosła na ramieniu.

- Weź to, i tak nie wiem, jak się z tym obchodzić.

Taye chwyciła ją za rękę i z uśmiechem rozejrzała się po okolicy.

- Wracamy do domu...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Cameron zajrzała przez okno do wnętrza głównego budynku. Podwórko było zarośnięte chwastami, a w drzwiach pozostała dziura po siekierze. Ktoś najwyraźniej wdarł się do środka. Dom wyglądał żałośnie, ale Cameron i tak ze wzruszeniem rozglądała się po okolicy. Wreszcie była u siebie.

- Jestem głodna - odezwała się Dorcas. - Trochę głupio mi pytać, ale myśli pani, że jest tam coś do jedzenia, panienko?

Cameron nie odrywała wzroku od budynku. W pokojach panowała ciemność, lecz mogłaby przysiąc, że widziała przelotny cień w jednym z górnych okien. Tam mieścił się pokój Granta.

Serce zamarło jej w piersi. Przecież powinien być nadal w Baton Rouge. Nawet nie przyszło jej do głowy, że brat chciałby tu wrócić. Nienawidził Elmwood. Nie miał powodu, żeby zamieszkać w pustym

domu. Chyba że czekał na mnie, pomyślała ze strachem. Popatrzyła na Taye.

- Zabierz konia do stajni - powiedziała sztucznie spokojnym głosem. - Niech bliźniaczki rzucą mu trochę siana.

- Mam nadzieję, że jeszcze coś zostało - odparła Taye. - Chyba słyszałaś, co mówili ci chłopcy na drodze. Maruderzy kradli wszystko, co tylko mogło im się przydać.

Cameron w zamyśleniu spojrzała na górne okno.

- Co chcesz zrobić? - zapytała Taye.

- Muszę wejść do środka. - Cameron próbowała zapanować nad głosem, ale serce waliło jej jak młotem. Bała się o przyjaciółkę. - Spróbuję od tyłu.

- Nie ma pani klucza? - ni stąd, ni zowąd spytała Efia.

Cameron uważnie przyjrzała się starym murom. A może dom wcale nie jest tak pusty, jak to się wydawało na pierwszy rzut oka?

- Zostawiłam go w sieni - odparła bez zastanowienia.

Taye odprowadziła konia do stajni. Cameron po cichu przeszła na drugą stronę domu. Sucha trawa delikatnie trzeszczała pod jej stopami. W ogrodzie poczuła przyjemny zapach róż, ale kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że kwiaty są na wpół zasuszone. Nikt ich nie podlewał.

Cameron uniosła głowę, żeby spojrzeć na drugie piętro. W półmroku dostrzegła balkon, na którym kiedyś często przesiadywał ojciec. Oczami wyobraźni zobaczyła go w fotelu z cygarem w ustach. Uśmiechnęła się smutno.

Czuła ich obecność. Ich obu. Ojca... i brata.

- Gdzie jesteś, Grant? - szepnęła.

Niemal w tej samej chwili usłyszała ochryply głos brata.

- Wróciłaś? - warknął. Był bliski płaczu. Nigdy nie słyszała takiej rozpacz w jego głosie.

Grant powoli wyszedł na balkon.

- Musiałam.

- Nie musiałaś. Mogłaś uciec, choć i tak kiedyś bym cię znalazł - odrzekł sennym głosem, leniwie unosząc rękę. - Na szczęście sama do mnie przyszłaś.

- To mój dom, a ty wciąż jesteś moim bratem. Pokręcił głową.

- Nie mam siostry. Nigdy jej nie chciałem. Cameron wzdrygnęła się mimo woli.

- Jak możesz tak mówić?! Oprócz nas nie ma już innych Campbellów!.

- A co mi po takim nazwisku?

Cameron była naprawdę zła. Próbowwała spojrzeć na brata, ale on wciąż chował się w cieniu.

- Nie pozwolę ci obrażać naszego ojca! - wykrzyknęła.

- Ojca?! - Grant podszedł bliżej i wtedy zobaczyła w jego dłoni rewolwer senatora. Broń błyszczała groźnie w ostatnich promieniach słońca. - Nigdy nie byłem jego synem!

- To nieprawda. Ojciec bardzo cię kochał. Grant wybuchnął obłąkańczym śmiechem.

- Nigdy nie miał dla mnie dobrego słowa!

Cameron ujrzała twarz brata i zrobiło jej się niedobrze. Ropiejąca

rana była w jeszcze gorszym stanie niż ostatnio. Grant musiał bardzo cierpieć. Pokręciła głową.

- Nie gadaj głupstw. Odłóż rewolwer. Zaraz przyjdę do ciebie na górę i wtedy porozmawiamy.

- Nie! Stój tam, gdzie jesteś. - Trzymał rewolwer rozedrganą ręką. Twarz poczerwieniała mu ze złości. - Dobrze wiesz, że jest tak, jak mówię. Ojciec kochał wyłącznie ciebie. Dla mnie nie było miejsca.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie chciała się z nim kłócić. Zwłaszcza nie w takim stanie. Na pewno miał gorączkę. Ropiejąca rana na twarzy nie pozwalała mu trzeźwo myśleć.

- Papa zawsze cię kochał, Grant, tylko czasami nie potrafił *ci* tego okazać. - Pokręciła głową, nie spuszczać wzroku z rewolweru. - Nikt z nas nie chciał twojej krzywdy.

- Jak on mógł? - Mówił teraz bardziej do siebie niż do niej. - Uważał, że jestem tchórzem...

- Grant... - Cameron starała się ukryć drżenie głosu - przecież wiesz, że to nieprawda. Ojciec...

- Zamknij się! - Potrząsnął bronią i Cameron natychmiast zamilkła. - Zamknij się, zanim cię uciszę!

Cameron bezradnie załamała rękę. Grant wciąż trzymał rewolwer wymierzony w jej stronę, ale pod ciężarem broni ręka trochę mu opadła.

- Zupełnie nie wiem, jak to naprawdę było.

- O czym mówisz? - zapytała Cameron ze szczerym współczuciem.



- Jak to o czym? O życiu. - Popatrzył na nią. Jego oczy były pełne nienawiści. - Doskonale wiesz, że ją kochał.

- Kogo? - Cameron przyglądała mu się uważnie, starając się zrozumieć, o czym mówił. Wierzyła, że jej nie zastrzeli. Chciał tylko, żeby ktoś go wysłuchał. Zawsze lubił znęcać się nad innymi.

- Sukey - odparł z wyraźną odrazą. - Ożenił się z naszą matką, ale ta czarna zdzira była tu już wcześniej. Wiedziałaś o tym?

Cameron spuściła wzrok. Nie zdążyła pomówić z ojcem o Sukey. Nie zdołała dowiedzieć się całej prawdy.

- Myślę, że papa naprawdę ją kochał.

- Tak! Kochał ją bardziej niż naszą rodzoną matkę! - wykrzyknął Grant. Głos mu się załamał. - Bardziej niż mnie...

Otarł nos rękawem i mocniej zacisnął dłoń na kolbie rewolweru. Cameron dopiero teraz w pełni zrozumiała, że jej brat oszalał. Chyba nie powinnam stać tak blisko, pomyślała. To było niebezpieczne i naprawdę głupie. Powoli cofnęła nogę. Miała cichą nadzieję, że nic nie zauważył.

- Wiesz co? - zawołał Grant. - Ja też kocham Taye!

- Tak jak wszyscy - odparła Cameron, żeby jakoś podtrzymać tę rozmowę.

- Nie! - Splunął siarczyście. - Ja naprawdę ją kocham. Zrobiłbym dla niej wszystko, ale ona mną gardzi....

Dziwnie okazujesz miłość, uznała Cameron, ale zachowała tę uwagę dla siebie. Nie chciała dzielić się nią z bratem, zwłaszcza że wymachiwał bronią.

- Ona też uważa mnie za tchórza.

Cameron szczerze żałowała, że nie ma przy sobie rewolweru Jacksona.

- Nigdy...

- Milcz, głupia suko. - Grant podszedł do krawędzi balkonu.

Cameron mocno zacisnęła usta. Zastanawiała się, gdzie uciec, żeby jej nie trafił.

- Ty też miałaś mnie za tchórza! - wrzasnął przeraźliwie. Po chwili znów stał się nieco spokojniejszy. - Nie jestem tchórzem. Zrobiłem coś, czego nikt by się po mnie nie spodziewał. - Wycelował jej między oczy. - Zrobiłem to - powtórzył grobowym głosem.

Cameron doznała dziwnego wrażenia, jakby „stała nad własnym grobem”, posilkując się słowami Sukey. Przeszedł ją zimny dreszcz. Tym razem naprawdę bała się odezwać. Miała ochotę uciec, ale z drugiej strony coś skłaniało ją do dalszych pytań.

- Co takiego zrobiłeś?

Brat ciągle trzymał ją na muszce, a palcami drugiej ręki przesuwał po drewnianej balustradzie. Cameron zrobiła krok do tyłu.

- Nie...

Spojrzał na nią triumfalnie z diabolicznym uśmiechem na twarzy.

- Byłaś pewna, że wypadł? - Parsknął śmiechem. - Nie! Posłałem go tam, gdzie już od dawna było jego miejsce! - Stał przy samej krawędzi balkonu. - Wprost do piekła!

Cameron zakryła twarz. Łzy jak grochy płynęły jej po policzkach. Zdawało jej się, że wpadła w czarną otchłań i już nigdy

więcej nie zobaczy dziennego światła. Nigdy nie czuła się tak podle.

- Nie! - krzyknęła.

- Ojciec i Sukey nie żyją. - Grant mówił teraz z większą pewnością siebie, jakby czerpał wewnętrzną siłę z dokonanych zbrodni.

- Taye doznała upokorzenia. A ty, moja mała siostrzyczko? Ty poznałaś gorzką prawdę o rodzinie Campbellów. Ojcobójstwo... - Uśmiechnął się. - Najczarniejszy grzech ze wszystkich grzechów. Zgadzasz się, siostrzyczko? - Wybuchnął upiornym śmiechem.

Cameron ogarnęła rozpacz. Wiedziała, że Grant ją zastrzeli. Skoro zabił własnego ojca... Pomyślała, że lepiej schować się pod balkonem, niż na oślep biec przez otwartą przestrzeń.

- Wszyscy, którzy mnie kiedyś krzywdzili, już nie żyją - kontynuował Grant. - Wszyscy oprócz ciebie, kochana siostrzyczko.

- Posłuchaj mnie - Cameron słyszała bicie własnego serca - dlaczego nie możemy normalnie porozmawiać? Pozwól mi obejrzeć tę ranę na twarzy. Mogłabym...

Grant strzelił bez ostrzeżenia. Pocisk uderzył w ziemię tuż pod stopami Cameron.

- Nie! - Próbowała odsunąć się jak najdalej, widząc, że znów w nią wycelował.

Czas stanął w miejscu. Cameron wrzasnęła, kiedy zacisnął palec na spuście. Huknął strzał. Cameron usłyszała świst kuli i zobaczyła, jak Grant spada z piętra na ziemię. Obejrzała się, czując na języku gorzki smak prochu.

- Przykro mi - spokojnie powiedziała Taye. - Zabił senatora, więc

zabiłby i ciebie.

Z płaczem padły sobie w ramiona. Chwilę trwało, zanim we dwie podeszły do miejsca, w którym leżał Grant.

Cameron z góry wiedziała, że jej brat jest martwy.

- Nie żyje? - zapytała Taye, wciąż mierząc do niego z rewolweru Jacksona.

Cameron pokiwała głową. Taye ocaliła jej życie.

- Panienko Cameron? Taye?

Obie uniosły głowy. Naomi stała z lampą w ręku, brzęcząc kajdanami. Cameron zobaczyła jej posiniaczoną twarz, opuchnięte oczy i rozbite usta. Najwyraźniej ktoś się nad nią znęcał. Cameron nawet nie musiała pytać, o kogo chodzi.

- Naomi...

Murzynka spojrzała na leżące na trawie ciało. Przyświeciła sobie lampą, żeby lepiej widzieć.

- Wiedziałam, że to się tak skończy - powiedziała. - Znam przyszłość.

W bladym świetle lampy rana na twarzy Granta wyglądała jeszcze gorzej. Z bliska czuć było zapach gnijącego mięsa.

- Dobry Boże, co to jest? - spytała Cameron.

Zamknęła bratu oczy. - Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Naomi lekko rozchyliła usta.

- Może ugryzł go pająk? - spytała obojętnie, mrużąc ciemne oczy.

Cameron mogła przysiąc, że usłyszała echo niewolniczych bębnów, które milczały od tygodni.

- Starzy ludzie powiadają, że małe afrykańskie pająki skradają się nocą w poszukiwaniu odpowiedniego schronienia, w którym mogą złożyć jaja. Szukają bezpiecznego i ciepłego miejsca wylęgu dla potomstwa, które żywi się krwią. Ci sami starzy ludzie powiadają, że nie można ich wydrapać ani wydłubać, dopóki same nie zechcą wyjść. - Wątyły uśmiech zagościł na jej posiniaczonej twarzy. - Może to właśnie taki pająk ugryzł panicza Granta, a może coś innego.

Cameron spojrzała na Naomi. Raczej nie wierzyła w klątwy ani w magię wudu, ale w oczach służącej było coś dziwnego. Wstała z klęczek. Czuła się naprawdę zmęczona.

- Lepiej zanieśmy go do środka - powiedziała, zdumiona własną obojętnością. - Jutro go pochowamy i zaraz wyjedziemy.

- Słusznie, panno Cameron. Nie możemy tu zostać. Nadchodzą konfederaci. Otwarcie głoszą, że spalą wszystko, co stanie im na drodze. Nie chcą zostawić niczego, co mogłoby przydać się Jankesom.

Cameron przyglądała się Naomi. Nie chciała pytać, co się stało. Grant bez wątpienia zakuł ją w kajdany, ale na szczęście zdołała się uwolnić.

- A twój chłopak? Co się z nim stało? Oczy Murzynki zaszły łzami.

- Głupi, głupi... Nie poszedł tam, gdzie trzeba. Czekał na mnie w naszym sekretnym miejscu. - Otarła twarz wierzchem dłoni. - Nie żyje, panno Cameron. Dopadli go.

Cameron także zebrało się na płacz. Nie potrafiła uronić łzy po śmierci brata, ale była pełna współczucia dla człowieka, którego nigdy

nie poznała. Pociągnęła nosem.

- Przykro mi - szepnęła.

Naomi kiwnęła głową i odstawiła lampę.

- Widocznie tak musiało być. Kiedyś znów będziemy razem. -

Wzięła głęboki oddech i spojrzała w niebo. - Poszukamy z Taye czegoś do jedzenia. W środku jest jeszcze jedna lampa. Pomóc panience zabrać zwłoki?

Cameron przecząco potrząsnęła głową. Przez chwilę chciała być zupełnie sama.

- Poszukajcie Dorcas i Efii. Pewnie przestraszyły się strzałów.

- Obie są tutaj? - cicho zapytała Naomi, wchodząc wraz z Taye do ciemnego domu.

Cameron, niewiele myśląc, złapała rewolwer ojca i wcisnęła go sobie za pas, tak jak to robił Jackson. Złapała martwego Granta pod pachy i wtaszczyła go na werandę. Za nią ciągnęły się krwawe ślady. Kilka razy musiała stanąć, bo zwłoki były dla niej zbyt ciężkie, ale w końcu udało jej się dotrzeć do dawnego pokoju ojca.

Zamknęła drzwi i zapaliła lampę. Wielki skórzany fotel zniknął, więc usiadła na krawędzi biurka i przymknęła oczy. Mimo wszystko nie mogła opłakiwać brata. Przecież to on zabił jej ukochanego ojca.

Pomyślała o Sukey, Elmwood, o Jacksonie. Nic już nie będzie tak jak dawniej. Westchnęła z rozpaczą. Koniec wszelkich nadziei. Otarła łzy. Taye miała rację. Dom popadł w ruinę. Plantację porastały chwasty, pola były wyschnięte, a stajnie puste.

Cameron poczuła się ogromnie samotna.

A przecież jeszcze nie tak dawno Jackson trzymał ją w ramionach... Może niepotrzebnie wróciła do Elmwood? Może powinna zostać? Nie wiedziała, co z sobą począć.

Popatrzyła na sztywne ciało brata, a potem powiodła wzrokiem po pokoju. Wszystkie ściany i półki były puste. Przepadły wspomnienia. Nagle spostrzegła mały sekretarzyk babci. Chyba jako jedyny nie został okryty przed kurzem. Pewnie dlatego, że był bardzo stary i przedstawiał niewielką wartość. Nawet maruderzy go nie zabrali.

Otworzyła pokrywę i rzuciła okiem na szufladę, w której ojciec trzymał przybory do pisania. Grant najwyraźniej zabrał wszystkie dokumenty, które senator gromadził przez lata. Wyciągnęła szufladę do końca i odłożyła ją na podłogę. Wsunęła rękę głębiej i znalazła ukrytą przegrodę. Mimo woli spojrzała na martwego brata, jakby ten jeszcze mógł jej w czymś przeszkodzić.

Wyszperała plik papierów i małą sakiewkę. Pod palcami wyczuła coś jakby kamienie. Nie wiedziała, co to jest, ale miała nadzieję, że wśród papierów znajdzie dokumenty, które potwierdzałyby wolność Taye.

W szparze pod drzwiami mignął promień światła. Po chwili ktoś zapukał.

- Mogę wejść? - rozległ się głos Taye.
- Położyłam go tutaj! - zawołała Cameron. Imię brata nie chciało przejść jej przez gardło.
- Nie boję się zmarłych. - Taye spokojnie weszła do pokoju. - Co

tu robisz zupełnie sama? Myślałam, że przyjdiesz do kuchni.  
Znalazłyśmy trochę ziemniaków i brukiew. Naomi przygotuje coś do jedzenia.

Popatrzyła na plik papierów w ręku przyjaciółki.

- Co to jest?

- Nie wiem. Znalazłam to w skrytce. Podeszła do światła.

- Spójrz, tu jest twoje imię. To pismo papy.

Podawała kartkę przyjaciółce, jakby to był jakiś tajemniczy skarb.

Taye spojrzała na nią nieufnie.

- List od senatora? Do mnie?

Cameron skinęła głową. Domyślała się, co tam jest napisane.

- Sama przeczytaj - powiedziała.

Taye pokręciła głową. Wciąż trudno było uwierzyć, że ta delikatna i piękna kobieta kilka minut temu zabiła człowieka, z którym się wychowywała.

- Ty to zrób.

Cameron pomału rozłożyła list przed sobą.

- „Kochana Taye” - przeczytała odręczne pismo ojca. - „Wybacz, moja Najdroższa Córeczko, że nie odważyłem się powiedzieć ci tego osobiście...”

Taye zapało dech w piersiach.

Cameron uśmiechnęła się szeroko i czytała dalej.

- „Chcę Ci powiedzieć, że jesteśmy z Mamą z Ciebie bardzo dumni. W aksamitnej sakiewce znajdziesz pewien prezent. To wszystko dla Ciebie. Proszę, przyjmij go i zrób z nim, co chcesz. Może



kiedyś będziesz mogła cieszyć się klejnotami tam, gdzie Twój kolor skóry nie będzie miał żadnego znaczenia". - Na samym końcu widniał podpis: „Twój kochający ojciec, David Campbell".

Taye była oszołomiona.

- Mój... mój ojciec? - Z niedowierzaniem popatrzyła na Cameron, która aż pisnęła z radości i pochwyciła ją w ramiona.

- Naprawdę jesteśmy siostrami!

Taye przytuliła ją mocno do piersi, ale zaraz potem odsunęła się o pół kroku.

- Chwileczkę, czy to znaczy, że o wszystkim wiedziałaś?

Cameron energicznie potrząsnęła głową.

- Tylko się domyślałam. Nie miałam żadnych dowodów i... i...

- Nie chciałaś mi robić nadziei? - dokończyła Taye.

Cameron wcisnęła w jej dłoń aksamitną, cenną sakiewkę.

- Coś mi podpowiada, że będziesz bardzo bogata.

- Obie będziemy bogate - poprawiła ją Taye. Nadal nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

Powoli pokręciła głową.

- Zawsze marzyłam o tym, żebyś była moją siostrą.

Wysypała na rękę garść błyszczących zielonych kamieni.

- Szmaragdy, piękne...

- Są warte fortunę - wyszeptała Taye. Roztrzęsioną ręką włożyła klejnoty z powrotem do sakiewki. Wyglądała teraz jak mała, zagubiona dziewczynka. - Zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

Cameron roześmiała się z zadowoleniem.

- To ja powiem! - zawołała. - Witaj w naszej rodzinie, panno Taye Campbell!

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

Taye, Naomi, Dorcas i Efia spały na piętrze w dużym, pustym domu, który jeszcze nie tak dawno tętnił życiem. Cameron nie mogła zasnąć. Całą noc czuwała w pokoju ojca przy zwłokach brata. Nie żałowała go. Przecież Grant zabił własnego ojca. Mimo to nie cieszyła się z jego śmierci. Senator na pewno by tego nie pochwalił. Nagle uświadomiła sobie, że wraz z Taye są ostatnimi z rodu Campbellów. Chyba tym bardziej powinnyśmy wyjechać na Północ, z dala od tego stanu, pomyślała.

W drodze z Biloxi do Elmwood stało się dla niej jasne, że stan Missisipi desperacko próbuje powstrzymać niewolników przed ucieczką. Zatrudniano całe oddziały wojska i tropiciele. Cameron musiała jak najszybciej odesłać bliźniaczki w bezpieczne miejsce.

Przez całą noc modliła się, rozmyślała i wspominała. Przywoływała w pamięci letnie wieczory na werandzie przy kubku zimnej lemoniady, słodki śpiew Sukey i poczucie niezmiernej lekkości, kiedy dosiadała ukochanej Roxy. Tyle wspaniałych przeżyć związanych właśnie z Elmwood! Chciała je zachować w pamięci na

zawsze. Znow nastal świt i trzeba bylo baczniej spojrzec nie w przeszlosc, lecz w przyszlosc.

Ciekawe, gdzie podzial sie Jackson Logan? Cameron niewidzacym wzrokiem patrzyła na wschodzace slonce, zastanawiając sie, czy w jej zyciu znajdzie sie miejsce dla niesfornego kapitana. Od wyjazdu z Baton Rouge byl wobec niej wyatkowy czuly. Kochal ja? Czy jeszcze kiedyś sie spotkaja?

Rankiem wyszła z domu. Zamierzała wykopać grób na rodzinnym cmentarzu. Dobrze wiedziała, że zajmie jej to kilka godzin, nawet jeśli będzie pracować na zmianę z dziewczętami. Potem musiały się spakować i pojechać na Północ. W dalszym ciągu wiedziała bardzo mało o „podziemnym pociągu”. Słyszała tylko, że najbliższa stacja znajduje się gdzieś na granicy Missisipi i Tennessee. Przeczowała, że prędzej czy później będą musiały skorzystać z czyjejś pomocy.

Przeszła przez werandę i zaniedbany ogród matki. Bezlitosne slonce prażyło w głowę. Nie miała czepka, a nie chciała nosić stylowych kapeluszy, które zostały w jakiejś szafie. Bała się, że ktoś ją rozpozna.

Ocierając pot z czoła, dotarła na drugą stronę domu. Była głodna. Prawdę mówiąc, nie jadła nic od skromnej kolacji, którą wieczorem przyrządziła Naomi. Marzyła też o zimnej kąpieli. Może chwilę popływam w rzece, zanim dziewczęta wstaną? - przemknęło jej przez głowę.

Powoli szła wśród wysokich traw, pokrytych poranną rosą. Nie zwracała uwagi na pasące się w pobliżu stado krów i wrony latające jej

nad głową. Starła się nie patrzeć na zrujnowany dom. To był dla niej zbyt bolesny widok. Ledwie rzuciła okiem na krętą drogę, prowadzącą do Elmwood. W uszach rozbrzmiewała jej muzyka z ostatniego balu i...

Zatrzymała się i osłoniła oczy, żeby lepiej widzieć. Ktoś nadchodził. W pierwszej chwili myślała, że to tylko miraż, ale zamglona sylwetka przybysza szybko nabierała konkretniejszych kształtów. Cameron nagle pożałowała, że nie ma przy sobie rewolweru. To mógł być tylko wróg. Rozejrzała się, szukając jakiejś kryjówki lub drogi ucieczki.

Wtedy rozpoznała znajomy chód mężczyzny. Szedł nonszalancko, jakby wybrał się na niedzielny spacer. Nie, pomyślała z zapartym tchem, to chyba niemożliwe. Chciała do niego podbiec, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Szła powoli, aż wreszcie zobaczyła szeroki uśmiech na jego twarzy. Przebiegła kilka ostatnich kroków i rzuciła mu się na szyję.

- Jackson! - zawołała, zła na siebie, że nie potrafi zapanować nad emocjami. - Och, jesteś...

Obsypał ją pocałunkami.

- Tak, jestem. Prawdę mówiąc, sam nie wiem dlaczego. Szedłem tutaj pół nocy i powtarzałem sobie, że jestem beznadziejnie głupi. - Ujął twarz Cameron w obie dłonie i spojrzał jej prosto w oczy - Nie mogłem cię tak zostawić, po prostu nie mogłem.

Uśmiechnęła się szeroko. W tym momencie wybaczyła mu wszystkie dawne grzechy. Najważniejsze, że do niej wrócił.

- Mam ci tyle do powiedzenia - zaczęła i nagle z przejęciem

przyjrzała się jego twarzy. - Wielkie nieba! Co ci się stało?

Jackson miał podbite oko i spuchnięte wargi. Obojętnie wzruszył ramionami.

- Mała szarpanina. Nie ma się czym martwić. W interesach to się czasami zdarza.

Roześmiała się, choć była bliska płaczu. Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Cieszę się, że jesteś.

- Ja też, ale nie możemy tu dłużej stać. - Objął ramieniem i pociągnął w kierunku domu. - Musisz się spakować. Dziewczęta też - dodał, spoglądając na Cameron. - Chyba że nie jada...

- Jada.

- Muszę jak najszybciej dostać się do Waszyngtonu.

Cameron ze zdumieniem uniosła brwi, ale o nic nie zapytała. Wiedziała, że w odpowiedniej chwili Jackson sam opowie jej nieco więcej o swoich „interesach”.

- Najpierw powinnam coś zrobić. Potrzebuję twojej pomocy i...

- Mówię całkiem poważnie, Cam - przerwał jej ostrym tonem. - Tu jest zbyt niebezpiecznie. Jeśli myślisz, że zgodzę się na kolejny z twoich...

- Muszę pochować brata - wpadła mu w słowo. Jackson zatrzymał się jak wryty i złapał ją za rękę.

- Grant nie żyje?

- Usiłował mnie zabić. - Zacisnęła usta. - Taye go zastrzeliła. - Uniosła głowę. W jej oczach błyszczały łzy. - Przed śmiercią wyznał,

że zabił naszego ojca.

Jackson mocno przytulił ją do siebie.

- Ogromnie mi przykro.

- Z powodu Granta? - zapytała.

- Nie. Z powodu twojego ojca. - Odgarnął jej włosy z czoła. - Nie możesz o nic się obwiniać.

- Wiem.

- To bardzo dobrze. Porozmawiamy o tym trochę później. Co z Taye?

- Jest dużo silniejsza, niż przypuszczałam. Znalazłyśmy Naomi. Grant przykuł ją do łóżka.

- A to skończony drań! Dobrze, że nie trafił na mnie. Chodź, poszukamy jakiejś łopaty. Wykopię grób, a ty zajmij się dziewczętami.

- Nie - odparła. - To chyba ostatnia rzecz, jaką mogę zrobić dla papy.

Podczas gdy Jackson i Cameron kopali grób, Taye i Naomi szykowały bliźniaczki do długiej podróży na Północ. Postanowili sprzedać konia i wóz, a za uzyskane pieniądze kupić trochę jedzenia. Na Południu, gdzie ludziom brakowało żywności i amunicji, szmaragdy Taye nie miały żadnej wartości. Nie mogła ich sprzedać, więc na razie traktowała je niczym talizman, przypominający o cudownej tajemnicy.

Murzynki znalazły kilka worków. Spakowały koce i resztki jedzenia. Jackson oznajmił, że po zmroku wszyscy razem wyruszą do

Tennessee.

Naomi usmażyła placki z kukurydzianej mąki. Nie był to zbyt wystawny obiad, ale w gronie najbliższych przyjaciół smakował wszystkim niczym wykwinna potrawa. Rozłożyli serwetę na trawie i zjedli na dworze.

- Zatem jedziesz na Północ? - Taye zwróciła się i do Jacksona. - Nie wracasz na statek?

Jackson leżał oparty o pień drzewa, z twarzą ukrytą w cieniu.

- Muszę jak najszybciej znaleźć się w Waszyngtonie. Thomas dokończy nasze sprawy w Zatoce Meksykańskiej i popłynie do Baltimore. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jest szansa, że tam go spotkamy.

Łobuzersko mrugnął do Taye.

Zarumieniła się i oblała go resztką wody, którą miała w szklance. Dorcas i Efia wybałuszyły oczy ze zdumienia. Naomi z uciechą klasnęła w dłonie, a Cameron uśmiechnęła się wesoło.

- Cicho... - Uniosła rękę. Podniosła się i spojrzała na drogę. - Słyszycie?

Jackson poderwał się na równe nogi.

- Weź bagaże, Naomi - rozkazał i spojrzał na bliźniaczki. - Ani słowa. Nie chcemy tutaj powtórki z Biloxi.

Cameron nie spuszczała wzroku z drzew, rosnących przy głównej drodze.

- Kto to może być?

- Pewnie żołnierze.

Naomi i Taye chwyciły bagaże.

- Nasz wóz... - Cameron odwróciła się w kierunku stajni.

Jackson złapał ją za ramię.

- Trudno, słyszę konie. Nie wiem kto to, ale musimy natychmiast się stąd wynieść.

Taye wepchnęła w dłoń przyjaciółki rewolwer, z którego zastrzeliła Granta.

- Weź to - powiedziała cicho. - Ja nie mogę...

Cameron kiwnęła głową.

- Masz wszystko? - spytała znaczącym tonem. Taye pochyliła się w jej stronę.

- Na wszelki wypadek zaszyłam klejnoty w sukience - szepnęła jej do ucha.

Poprzedniego wieczoru ustaliły, że nikt nie powinien wiedzieć o szmaragdach. Ne chciały kusić losu. Cameron nie powiedziała o tym nawet Jacksonowi. Taye zarzuciła sobie bagaż na ramiona. Murzynki były gotowe do drogi. Kapitan chwycił dwie ostatnie torby.

- Ta jest moja - powiedziała Cameron i zabrała mu jedną sakwę.

Zaczęli biec przez pola kukurydzy w kierunku rzeki, jak najdalej od domu. Za sobą słyszeli odgłos końskich kopyt i ludzkie głosy.

- Jak przejdziemy przez rzekę? - zapytał Jackson, kiedy przebiegali obok dawnych chat niewolników.

- Nie wiem - odpowiedziała Cameron. - Poprzednio mieliśmy łódź.

- O tej porze roku jest mniej wody - wtrąciła Naomi. - Znam



bród.

Jackson puścił ją przodem.

- Prowadź. Ja będę osłaniał tyły.

Suche liście trzeszczały im pod nogami. Wyraźnie słyszeli męskie głosy. Oddział jeźdźców był coraz bliżej. Cameron spostrzegła między drzewami lśniąca taflę wody i w tej samej chwili poczuła dym.

- Podpalili coś - powiedziała, oglądając się przez ramię.

Jackson złapał ją za rękę.

- Biegnij dalej. Nie myśl o tym. Musimy zabrać stąd Murzynki. - Ściszył głos tak, żeby tylko ona go słyszała. - Nikt z nich na pewno nie uwierzy, że Taye jest wolna.

- Będą pytać o Granta - rozmyślała na głos. Jej brat był wprawdzie niebezpiecznym zabójcą, ale to Taye w oczach tutejszego prawa stała się przestępczynią.

- Tutaj! - zawołała Naomi. - Widzicie? Bardzo płytko!

Bez wahania weszła do wody.

Rzeka okazała się jednak głębsza, niż się spodziewali. W połowie drogi Dorcas i Efia musiały płynąć. Taye straciła grunt pod nogami, ale Jackson złapał ją i przeniósł w płytsze miejsce. Po dłuższej chwili wyszli na brzeg. Ciepły wiatr kołysał liśćmi na drzewach. Cameron pomyślała, że przy takiej pogodzie ich ubrania powinny wkrótce wyschnąć.

- Muszę odpocząć. - Efia rzuciła się na trawę. Jackson podszedł do niej.

- Odpoczywaj sobie, ile chcesz. My idziemy dalej.

Cameron rozejrzała się po okolicy. Nad drzewami zobaczyła ciemne smugi dymu. Tam stał jej dom...

- Spalili Elmwood - szepnęła z rozpaczą w głosie.

Jackson wziął ją za rękę.

- Mówiłem, żebyś tam nie patrzyła. Po wojnie zbudujemy nowy.

Chodź już.

- Jesteś pewien, że nic nam nie grozi? - zapytała.

- Niczego nie jestem pewien. Wiem tylko, że musimy kierować się w stronę Memphis. Tak mówiła Naomi.

Zmęczeni i mokrzy pobiegli wzdłuż brzegu rzeki. Efia płakała cicho. Dorcas niemal siłą ciągnęła ją za sobą. Minęli miejsce, w którym niewolnicy przepłynęli rzekę. Cameron mimo woli pomyślała o Sukey. Zobaczyła, że Taye także patrzy w tamtą stronę. Podbiegła do niej i objęła ją ramieniem.

- Nie myśl o tym - szepnęła.

Taye spojrzała na Cameron. Jej oczy były pełne łez.

- Moja mama jest teraz w dużo lepszym świecie. Myślę, że razem z tatą. Cameron usłyszała ujadanie psów i obejrzała się za siebie. Dobry Boże...

- Tam! Widzę ją! - ktoś krzyknął i zza drzew wyłoniło się kilku uzbrojonych mężczyzn. - A niech mnie diabli! Cała banda przeklętych czarnuchów!

- Stać, bo strzelam! - zawołał inny. Rozległo się kilka ostrzegawczych strzałów.

Jackson podbiegł do Cameron i popchnął Efię.

- W nogi! - wrzasnął. - Uciekamy!

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Cameron z trudem dotrzymywała kroku Jacksonowi.

- Jeśli przejdą przez rzekę, od razu nas dogonią - wykrztusiła.

Bolały ją nogi.

- Módlmy się więc, żeby nie znaleźli bródu. Popatrzyła przez ramię. Usłyszała plusk wody.

Jeden z tropicieli próbował pokonać rzekę wplaw, ale zawrócił.

- Musimy gdzieś się schować - zdecydował Jackson. - Dalej nie pobiegniemy. Dziewczeta są zbyt zmęczone. Znasz jakąś kryjówkę?

Cameron pokręciła głową.

- Tu są jedynie pola, bagna i rzeka...

- Pomyśl - nalegał Jackson. - Musi być jakieś odpowiednie miejsce. Może leśna chata albo stara stodoła.

- Młyn! - krzyknęła. - Stoi przy rozstajach. Od lat nikt go nie używał. Zawaliła się część zewnętrznej ściany.

- Jest tam jakaś kryjówka? Cameron kiwnęła głową.

- Piwnica. Nie można się do niej dostać od strony młyna, ale moglibyśmy... wejść od strony rzeki - wysapała.

- To świetnie. - Jackson uśmiechnął się i wziął ją pod ramię. - W pobliżu wody psy nas nie wytropią.

Zmusiła się, żeby podbiec do Taye.

- Młyn - powiedziała. - Biegnijcie na rozstaje. Mulatka spojrzała na nią z niepokojem.

- Jackson twierdzi, że to dobry pomysł.

- Ufasz mu? - szepnęła Taye.

- Bardziej niż sobie - odparła Cameron.

Przeprowadziła ich przez drogę i pomost, z którego kiedyś spadła Taye. Wtedy woda była tu znacznie głębsza niż teraz. Znów usłyszeli tętent.

- Znowu jada! - zawołała Taye, patrząc w kierunku drogi, prowadzącej do Elmwood.

- Przykro mi, ale wojsko otrzymało rozkaz. Palą wszystko, co mogłoby wpaść w ręce wroga - ponuro powiedział Jackson.

- Tędy - szepnęła Cameron, starając się nie myśleć o rodzinnej siedzibie. Wprawdzie kochała dom, który zbudował jej dziadek, ale jeszcze bardziej kochała przyrodnią siostrę.

Z młyna pozostały zaledwie ruiny. Kiedy Cameron miała dwanaście lat, wybuchł w nim pożar. Kilka lat później znaczna część ściany osunęła się podczas wichury. W gruncie rzeczy tylko piwnica pozostała nietknięta.

- Chodźmy - ponaglał Jackson. - Zbliżają się żołnierze.

Piwnica okazała się na tyle obszerna, żeby bez kłopotu pomieścić całą szóstkę. Chwilę później na górze rozległ się tętent kopyt. Efia jęknęła ze strachu.

Jackson rzucił jej przenikliwe spojrzenie. Dziewczyna zbladła i

zakryła usta dłonią. Cameron usiadła na swojej torbie i westchnęła ciężko.

- Myślisz, że tropiciele byli razem z żołnierzami? Pokręcił głową.

- Podejrzewam, że to jedynie zbieg okoliczności. Pewnie jakaś grupka chłopaków z Missisipi szuka zbiegłych Murzynów. Chcą sobie dorobić.

Gdy odgłosy ucichły, objął ją ramieniem.

- Wszystko w porządku?

Spojrzała w jego szare oczy i kiwnęła głową. Uśmiechnął się do niej.

- To dobrze, bo chyba nie po to wróciłem, żeby patrzeć, jak boisz się kilku psów gończych. Musimy szczerze porozmawiać - dodał cicho.

- Zamiast tutaj, już dawno powinienem być w drodze do Waszyngtonu.

Cameron odruchowo przycisnęła rękę do serca. Co prawda, Jackson tego nie powiedział wprost, ale wiedziała, że wrócił tylko dla niej. Może ją naprawdę kocha?

- Niezmiernie się cieszę, że jesteś z nami. Sama nie dałabym sobie rady.

- Nieprawda. - Poślinił palec i starł coś z jej policzka. -

Ubrudziłaś się.

Cameron uśmiechnęła się. Ujął ją tym prostym, a jednocześnie czułym gestem.

- Jak długo tu zostaniemy? - zapytała.

- Co najmniej do zmięzchu. Przez noc zrobimy kawał drogi.

- Jak daleko jest do Memphis?

Tam była najbliższa stacja „podziemnego pociągu”.  
- Ponad dwieście mil.  
- Piechotą... - Westchnęła, zdając sobie sprawę jak trudna będzie to podróż.

Do granicy z Tennessee szli ponad tydzień. Poruszali się nocą, a spali w dzień. Kiedy kobiety zasypiały, Jackson wymykał się do pobliskiego miasta. Prawdopodobnie szedł posłuchać najnowszych doniesień z frontu, ale nigdy nie dzielił się tymi wiadomościami. Cameron wiedziała, że często zostawiał je same, ale nie chciała o nic pytać. Postanowiła dać mu trochę czasu. Miała cichą nadzieję, że kiedyś powierzy jej swoją tajemnicę.

Rankiem dziewiątego dnia mozolnej wędrówki Cameron i Jackson zostawili dziewczęta w lesie i udali się do małego kościółka. Stał pośrodku polany na południowych przedmieściach Memphis.

- Co teraz? - zapytał Jackson, przyglądając się malowniczej budowli.

- Nie wiem - odparła Cameron. Strzepnęła kurz ze spodni i przyglądała włosy. - Wyglądam okropnie - oznajmiła. - Mam powiedzieć, że przysłał mnie pan James. - Podeszła do drzwi i otworzyła je energicznym ruchem.

Razem weszli do chłodnego kościoła i niemal natychmiast wyciągnęli broń, słysząc za sobą skrzyp desek. Zza dwóch rzędów ławek wyłoniła się stara Murzynka.

- W czym mogę pomóc? - zapytała. Cameron schowała rewolwer.

- Przysłał mnie pan James z Missisipi.

Kobieta podeszła bliżej, przyglądając im się uważnie. Była niska i otyła. Nosiła zieloną sukienkę w kwiaty i czerwone bambosze. Cameron nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nigdy wcześniej nie widziała czarnej kobiety w jedwabnych kapciach.

- Podobają ci się buty Elsie, co? - Kobieta pogroziła jej palcem. - Nic z tego, panienko, nie są na sprzedaż.

Cameron roześmiała się beztrósco. Kobieta nieufnie spojrzała na kapitana.

- Co właściwie chcecie od Elsie?

Cameron niepewnie zerknęła na Jacksona, a potem znów na kobietę.

- Musimy uciekać. James powiedział, że możesz nam pomóc. Elsie złapała się za brzuch i roześmiała głośno.

- Przykro mi, panienko, nie zajmujemy się przemytem białych. Cameron podeszła bliżej.

- Nie chodzi o mnie - szepnęła - tylko o moje przyjaciółki.

- Gdzie one są? - Murzynka ściszyła głos.

- W lesie.

- Wielkie nieba! Musicie je przyprowadzić, i to szybko. Zaraz całe Memphis ściągnie tu na mszę.

Cameron i Jackson zrobili dokładnie to, co im kazano. Elsie czekała na nich w zakrystii w towarzystwie starszej pani.

- Dzień dobry - odezwała się siwa kobieta, podając im rękę. - Jestem Matthews.

Cameron ostrożnie potrząsnęła jej wyciągniętą dłonią. Po tak długiej podróży czuła się wyjątkowo brudna.

- Cameron - przedstawiła się. - A to Jackson i moja siostra Taye.

Pani Matthews zmarszczyła czoło, ale nic nie powiedziała.

- To Naomi, Dorcas i Efia.

Trzy Murzynki dygnęły grzecznie.

- Rozumiem, że potrzebujecie naszej pomocy? - zapytała pani Matthews.

- Obiecałam im, że wyjedziemy razem - odparła Cameron. - Wybieramy się z Taye do Nowego Jorku, a Dorcas i Efia mają rodzinę w Delaware.

- Spojrzała na Naomi. - Matka Naomi przejeżdżała. tędy kilka tygodni temu. Mamy nadzieję, że uda się nam ją odnaleźć.

Pani Matthews pokiwała głową.

- Prowadzimy dokładną listę zbiegów. Powiem wam, czy była w naszym kościele. - Uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie. - Doprowadzę was do następnej stacji. - Rzuciła okiem na Jacksona. - Wszystkie oprócz niego.

Jackson podszedł bliżej.

- W takim razie nikt nie pojedzie - oznajmiła Cameron.

Pani Matthews popatrzyła na nią ze zdziwioną miną.

- Proszę - łagodniejszym tonem dodała Cameron. - Przebyliśmy razem długą drogę.

Pani Matthews uniosła rękę.

- Im mniej o was wiem, tym lepiej. - Spojrzała na resztę



dziewcząt. - Szczerze mówiąc, trochę to komplikuje sprawę, ale mam pewien pomysł. - Popatrzyła na Elsie, która przyniosła trochę chleba, sera i świeżej wody. - Śpiewamy w sobotę wieczorem?

- Jak zawsze, proszę pani - z dumą odrzekła Elsie. - Niektórzy mówią, że mamy najczystsze głosy w całym Tennessee.

Pani Matthews spojrzała na Cameron.

- Jeśli ten pan bez sprzeciwu zrobi to, o co go poproszę, udzielię wam pomocy.

Jackson poprawił słomkowy kapelusz.

- Uczynię wszystko, co trzeba.

- Nie!

Cameron zachichotała i włożyła na siebie jasną satynową sukienkę. Pod spodem miała czystą koszulę i bryczesy. Zorientowała się, że Elsie nie tylko sprzątała i szykowała posiłki, ale także robiła przyjezdnym pranie. Jackson ponurym wzrokiem patrzył na innych członków kościelnego chóru.

- Nie umiem śpiewać - mruknął. W ręce trzymał białą szatę, trochę przypominającą togę.

Cameron zakryła ręką usta, żeby się nie roześmiać.

- Nie musisz. Wystarczy, że będziesz udawał.

- To wcale nie jest śmieszne. Nie było próby. - Spojrzał na nią posepnie. - Nie włożę czegoś takiego.

Cameron wyszarpnęła mu togę z rąk.

- Nie zachowuj się jak dziecko. Stękał i kręcił głową, gdy go

ubierała.

- Mój Boże, czego to mężczyzna nie zrobi z miłości.

Cameron zadrżała mu w oczy.

- Co powiedziałeś? - Na pewno się nie przesłyszała.

- Nic takiego. Niech to jak najszybciej się skończy.

Przyglądała mu się bez słowa.

- Cameron?

Ktoś klepnął ją w ramię. Odwróciła głowę i zobaczyła duże brązowe oczy pani Matthews.

- Muszę być pewna, że dobrze zrozumiałaś wszystkie moje instrukcje. Nie możemy sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

Cameron kiwnęła głową.

- Wszystko jasne. Razem z chórem jedziemy do kościoła w Memphis. Po występie wsiadamy do wozu, który będzie wyglądał dokładnie tak samo jak ten, którym przyjechaliśmy.

- Będą w nim inni chórzyci - dodała pani Matthews.

- Woźnica zabierze nas do następnej stacji. Taye, Naomi, Efia i Dorcas będą bezpiecznie ukryte pod podłogą. - Cameron dopiero teraz w pełni zdała sobie sprawę, jak niebezpieczna jest dalsza podróż. - Nie mam przy sobie niczego, czym mogłabym się pani odwdzięczyć - powiedziała z uczuciem. - Obiecuję, że z Nowego Jorku przyślę pani pieniądze na dalszą działalność kościoła.

Pani Matthews ucałowała ją w policzek.

- Idźcie z Bogiem. Chór jest już prawie gotowy.

Cameron chrząknęła i zanuciła cicho kilka taktów. Uśmiechnęła

się wesoło i spojrzała na nadąsaną minę Jacksona.

Późnym wieczorem Cameron i Jackson leżeli na poddaszu stodoły w północnym Tennessee. W pomieszczeniu pachniało sianem i suszonym tytoniem. Byli bezpieczni i dobrze ukryci.

Drogę z kościoła baptystów pokonali bez przeszkód. Jackson tylko poruszał ustami do muzyki, a Cameron, która od dziecka znała większość psalmów, śpiewała razem z chórem. Po nabożeństwie wymknęli się tylnymi drzwiami i dołączyli do grupy przebranych kobiet i mężczyzn. Na miejsce dotarli po zmroku.

- Śpisz? - szepnął Jackson.

- Nie mogę.

Przekreślił się na bok i oparł na łokciu, żeby lepiej ją widzieć.

- Wiesz, dokąd jutro jedziemy?

- Chyba do Knoxville. Pogłaskał ją po głowie.

- Posłuchaj, wróciłem specjalnie po ciebie, ale teraz muszę jechać dalej.

Nie odpowiedziała. Nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa.

- Obiecuję, że się spotkamy. Załatwię wszystkie swoje sprawy i będziemy razem.

Znowu te same obietnice? Tym razem nawet go nie poprosiła, żeby został.

- Chcesz jechać szybciej? - zapytała.

Jackson przysunął się nieco bliżej. Leżeli w samym kącie obok śpiących kobiet, mężczyzn i dzieci. Na poddaszu ukrywało się ponad

dziesięcioro niewolników.

- Chyba tak, a poza tym... Do diabła, Cam. - Przesunął ręką po włosach. - Nie jesteś już całkiem sama. Kilka osób powinno wiedzieć, gdzie się znajduję. Muszę się z nimi skontaktować, ale nie mogę zrobić tego w Memphis.

- Nic więcej mi nie powiesz? - szepnęła. Zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie.

Uśmiechnął się.

- Myślę, że to rozumiesz. Cameron walczyła ze łzami. Chciała go zapytać, czy naprawdę chodzi tylko o interesy. A może przestraszył się tego, co powiedział w kościele? Może bał się miłości i dlatego chciał uciec?

- Muszę wyjechać. Może się spotkamy, na przykład, w Baltimore?

- Nie oczekuję od ciebie obietnic - wyszeptała.

- A jednak obiecuję - oznajmił stanowczo. Objęła go za szyję i pocałowała.

- Znajdę cię - oświadczył z mocą. - Musisz mi zaufać

Nie była pewna, czy spotkają się właśnie w Baltimore. Pozwoliła mu jednak odejść, choćby po to, żeby przekonać się o jego miłości.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

- Gdzie kapitan Logan?

Taye położyła dłoń na ramieniu Cameron, która stała przy klapie wiodącej na poddasze. Gospodarz otworzył ją dopiero w nocy, żeby wpuścić świeże powietrze. Cameron założyła ręce na piersiach, ale nie odwróciła się do przyjaciółki.

- Wyjechał.

- Wyjechał - powoli powtórzyła Taye. Nie była tym zaskoczona. - Spieszyło mu się. Musiał pędzić do Waszyngtonu.

Cameron spojrzała na nią ze źle skrywanym oburzeniem.

- Musiał? Co to znaczy? Wiesz coś więcej ode mnie?

- Nie. Thomas twierdzi, że im mniej będziemy wiedzieć, tym lepiej.

- Chcesz mi powiedzieć, że pan Logan nie jest przemytnikiem?

- Sądzę, że nie. - Taye wyglądała na szczerze rozbawioną. -

Gdyby tak było, twój ojciec nie gościłby go tak chętnie.

Racja, pomyślała Cameron. Jackson Logan nie był tym, za kogo się podawał. Pod maską podłego drania było uczciwe serce. Tego była zupełnie pewna. Popatrzyła na Taye.

- Znów mnie zostawił. Nic nie rozumiesz? Nigdy mnie nie kochał.

Taye delikatnie odgarnęła jej z twarzy niesforny kosmyk.

- Powiedział tak?

- Nie, ale jak mogłam być tak głupia...

- A co powiedział przed wyjazdem? Cameron spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Tylko tyle, że musi jechać do Waszyngtonu i że na pewno mnie odnajdzie. Chciał, żebym przyjechała do Baltimore. - Była bliska płaczu. - To śmieszne. Mam go szukać w porcie. Ale kiedy? Nawet nie wiem, jak długo będziemy jechać na Północ.

- Musisz mu wierzyć - podkreśliła Taye.

- Powtarzasz jego słowa. Gdzieś zapiał pierwszy kogut.

- Przede wszystkim posłuchaj głosu własnego serca. - Taye urwała nagle. - Myślisz, że cię kocha?

Cameron westchnęła. Pot spływał jej po plecach. Zapowiadał się kolejny upalny dzień.

- Sama nie wiem. Ratował cię ze względu na mnie. Teraz też nam pomógł...

- Wiele razy ryzykował życie - przypomniała Taye.

- Wiem. - Cameron nie potrafiła jasno myśleć. Była szczęśliwa, kiedy Jackson wrócił do Elmwood, ale teraz... - Może rzeczywiście to miłość - powiedziała w zadumie. - A jeśli się mylę? Nie chcę, żeby znów złamał mi serce.

Taye objęła ją ramieniem.

- A jeśli to naprawdę miłość? Może Jackson potrzebuje trochę czasu, żeby się z tym oswoić - szepnęła. - Chyba warto poczekać.

Cameron spojrzała w błękitne oczy Taye.

- Jesteś taka mądra.

Taye przytuliła się do siostry.

- Miałam wspaniałą nauczycielkę.

Kilka tygodni później maszerowali przez pola i łąki stanu Maryland. Pogoda była deszczowa i kilka osób w grupie zachorowało, więc na jakiś czas musieli zatrzymać się w starym spalonym domu.

Zbliżali się do celu, ale wciąż trzeba było zachowywać daleko idącą ostrożność. Mimo że Maryland nie dołączyło do Konfederacji, nadal pozostawało stanem niewolniczym. Taye i pozostali czarnoskórzy uciekinierzy mogli znaleźć tu zarówno przyjaciół, jak i wrogów.

Była bezksiężycowa noc. Na niebie blade połyskiwały gwiazdy. Nad polami wisiała mgła, a drzewa przypominały ponure widma. Zbliżała się północ. Nie mieli już jedzenia i pozostało im niewiele wody. Cameron była wycieńczona. Całkowicie zdarła buty i każdy krok sprawiał jej ogromny ból. Efia narzekała już. od dobrych kilku godzin, ale przewodniczka kazała im iść dalej.

- Już niedaleko - łagodnym głosem pocieszyła ich przewodniczka. Pierwszy raz odezwała się bezpośrednio do nich.

Cameron ze znużeniem spojrzała na Taye. Szła z opuszczoną głową, ale wciąż była uśmiechnięta. Zbliżali się do wolności.

Wkrótce dotarli do dębowego lasu.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła przewodniczka,

Cameron rozejrzała się otępiłym wzrokiem. Do tej pory nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest śpiąca. Przetarła ręką oczy.

Wreszcie zrobiło się trochę chłodniej.

- Jak to?

- Jesteście wolni - powtórzyła przewodniczka. Wzięła patyk i narysowała na ziemi długą linię. - Od tego miejsca nic wam nie grozi.

Naomi zapiszczała z radości i przebiegła przez kreskę.

Przeskakiwała przez nią w tę i z powrotem. Cieszyła się jak dziecko.

Rozległy się oklaski i okrzyki radości. Jeden za drugim niewolnicy przekraczali narysowaną granicę i ginęli w ciemnym lesie. Kobieta, która straciła dziecko w rzece Missisipi, zaczęła cicho płakać.

- Tutaj się rozstajemy, moi przyjaciele - oznajmiła przewodniczka, - Ci, którzy wybierają się do Delaware, mogą iść za człowiekiem w czarnym kapeluszu. - Wskazała na mężczyznę, który wyłonił się zza drzewa. - Reszta musi przejść jeszcze około ćwierć mili. Tam dotrzecie do drogi, wiodącej do Baltimore - wyjaśniła. - Idźcie z Bogiem - rzuciła na odchodnym.

Bliźniaczki popatrzyły za nią.

- Szybko! - popędziła je Taye. - Biegnijcie za tym panem.

Uścisnęły się na pożegnanie. Cameron była zaskoczona tym, jak bardzo zżyła się z dziewczętami, które jeszcze kilka tygodni temu były jej zupełnie obce.

- Prędszej - ponaglił je mężczyzna w kapeluszu. Wszyscy machali sobie na pożegnanie. Cameron obejrzała się w momencie, kiedy ich przewodniczka zniknęła za drzewami.

- Och, nie! - jęknęła z rozpaczą. - Nawet nie znamy jej imienia.

Jak później podziękujemy?



Taye wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą do lasu.

- Naprawdę nie wiesz, kto to był? - szepnęła. Cameron pokręciła głową.

- A skąd mam wiedzieć?

- Prawda. - Taye uśmiechnęła się, zadowolona z tego, że chociaż raz wie więcej od przyjaciółki. - To Harriet Tubman. Zyskała sporą sławę. Od lat pomaga niewolnikom walczącym o wolność. Cameron spojrzała przez ramię.

- Kiedy dotrzemy do Baltimore, najpierw wezmę gorącą kąpiel, potem coś zjem, a na koniec wyśpię się w wygodnym łóżku. Później opowiesz mi o Harriet.

- Zgoda - odparła Taye. - Chodźmy, szkoda czasu.

Pewien uprzejmy kwakier zabrał dziewczęta wozem do Baltimore. Wczesnym rankiem, brudne i przemoczone, ale uśmiechnięte, znalazły się na wybrzeżu. Cameron i Taye wysiadły z wozu, a Naomi przesiadła się na miejsce obok woźnicy.

- Czas się pożegnać - powiedziała. - Pan Jasper zawiezie mnie do Filadelfii. Nie mogę się doczekać spotkania z mamą.

Cameron uścisnęła przyjaciółkę.

- Powodzenia, dziękujemy za wszystko. Naomi otarła załzawione oczy.

- Dbajcie o siebie.

- Nic się nie martw - odparła Taye.

Po chwili wóz kwakra zaskrzypiał, ruszając z miejsca. Cameron i

Taye pomachały im na pożegnanie. Zostały same na ulicy, wśród szumu fal i krzyku mew. W powietrzu unosiła się woń ryb, słonej wody i glonów.

- Co dalej? - spytała Taye. - Poszukamy Jacksona?

Cameron skrzyżowała ręce na piersiach.

- Jak mam go znaleźć? Nawet nie wiemy, czy „Inverness” przybił do nabrzeża.

- Spytamy kogoś.

Cameron pokręciła głową. Była zmęczona i śpiąca. Najpierw jednak musiały znaleźć kogoś, kto zechciałby kupić od nich jeden ze szmaragdów. Za te pieniądze mogły wynająć pokój i najeść się do syta. Nie miały czasu na poszukiwanie nieuchwytnego kapitana Logana.

Cameron przysiadła na małej, stojącej w porcie beczce.

- To niemądry pomysł.

- Nieprawda - sprzeciwiła się Taye. - Jeśli jesteś taka zmęczona, to posiedź tutaj, a ja się rozejrzę.

Nie było jej przez dłuższą chwilę. Cameron obserwowała nadpływające łodzie i schodzących ze statków marynarzy. Przez moment przyglądała się jakiejś damie w pięknej zielonej sukni, z parasolką w ręku. Ze smutkiem zdała sobie sprawę, że wiele jej wspaniałych rzeczy przepadło na zawsze. Śliczne suknie, czepki i kapelusze... Rozejrzała się, szukając Taye. Właśnie szła w jej stronę.

- Jest! - zawołała podekscytowana. Wprawdzie Cameron zaryzykowała podróż do

Baltimore, ale wciąż bała się rozczarowania. Jak to możliwe?

Jackson tutaj? Przecież powinien być w Waszyngtonie, do którego tak było mu spieszno.

- Słyszałaś? - Taye podbiegła bliżej. Miała zaczerwienione policzki. - Rozmawiałam z jakimś uprzejmym szyprem. Poinformował mnie, że Jackson Logan zatrzymał się w Baltimore. Cameron poczuła szybsze bicie serca.

- I wiesz, co jeszcze mi powiedział? - gorączkowo spytała Taye. Cameron niecierpliwie pokręciła głową.

- „Inverness” za dzień lub dwa będzie w Baltimore!

- Jak to możliwe? Przecież popłynął na Bahamy.

- Och, nie wiem, ale...

- Czekasz na Thomasa, prawda? Taye oblała się rumieńcem.

- Są też inne, gorsze wieści. - Nagle spuściła głowę. - Kongres powołał kolejnych pięć tysięcy żołnierzy. Będą walczyć głównie w Wirginii. Dwa dni temu stoczono bitwę pod Bull Run. - Błękitne oczy Taye zaszyły łzami. - Unia przegrała. Wszyscy mówią, że generał McDowell za wcześnie pchnął swoje oddziały do ataku. To klęska.

- Nie mów tak. Na pewno wszystko będzie dobrze.

Cameron kątem oka spostrzegła, że ktoś jedzie konno w ich stronę. Ów dżentelmen siedział na arabskiej klaczy, która wydawała jej się znajoma. Drugi raz spojrzała na tajemniczego mężczyznę i poczuła, że miękną jej kolana.

Jeździec był ubrany w ciemnoniebieski surdut, bryczesy i białą koszulę. Na widok kobiet uchylił kapelusza.

- Dzień dobry, miłe panie. Taye aż westchnęła z zachwytem.

Cameron nie mogła oderwać wzroku od Jacksona. Zsiadł z konia i oddał wodze Taye, która natychmiast dyskretnie odeszła na bok.

- Wiedziałem, że tu będziesz - powiedział do Cameron.

- Bałam się, że nie przyjdiesz - odparła drżącym głosem. Nagle zaschło jej w ustach i przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- Zapłaciłem pewnemu chłopcu, żeby was wypatrywał - wyjaśnił Jackson. Porwał ją w ramiona.

- Cieszę się, że cię widzę - szepnął.

Cameron zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się przytuliła.

- Przyprowadziłeś moją klacz. Jak ją znalazłeś?

- A pamiętasz tę bójkę, o której ci mówiłem po powrocie do Elmwood?

Pokiwała głową.

- Biłem się właśnie o klacz. To miała być nagroda w pojedynku na gołe pięści. Potem zapłaciłem pewnemu człowiekowi, żeby doprowadził ją do Baltimore.

Cameron nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Próbowwała powstrzymać łzy. Jackson pocałował ją w policzek.

- Tak mi przykro, że musiałem cię tam zostawić.

- Spojrzał jej prosto w oczy. - Muszę ci coś obiecać.

Potrząsnęła głową. Nie miała siły na poważne rozmowy.

- Nie teraz - szepnęła. - Pomóż mi wsiąść na Roxy i zabierz mnie tam, gdzie mogłabym jak najszybciej się wykąpać.

- Doskonały pomysł. Wieczorem pójdziemy na pewne spotkanie. Zabierzemy ze sobą Taye. Kupiłem wam nowe suknie i wszystkie

potrzebne dodatki. Nie wiedziałem tylko, czy zdążycie. - Chwycił ją wpół i lekko posadził na koniu. - Obawiałem się, że będę musiał iść sam.

Cameron nic z tego nie zrozumiała.

- Jakie spotkanie? Gdzie? - zapytała.

- Gdzie? - powtórzył.

Złapał Taye i posadził ją tuż za siostrą.

- Rzecz jasna, w Białym Domu.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI**

Cameron nie czuła się na siłach, żeby pojechać pociągiem z Baltimore do Waszyngtonu. Była pewna, że przez dwa dni będzie wyłącznie odpoczywać. Miała ochotę wypaść się za wszystkie czasy.

Jednak entuzjazm Jacksona był zaraźliwy. Dziewczęta najpierw trafiły na przedmieścia Baltimore, do dużego domu w stylu georgiańskim. Tam już czekały na nie dwie wanny z gorącą wodą, taca pełna smakołyków i butelka dobrego wina. Po kąpieli dwie nieśmiałe służące przyniosły im pudełka z koronkową bielizną, jedwabnymi pończochami i halkami. Cameron i Taye nie mogły wyjść z podziwu nad poczuciem smaku kapitana Logana.

Dla Taye przygotował jasnoniebieską suknię z białą lamówką, okrągłym dekoltem i krótkimi bufiastymi rękawami. Piękna Mulatka

wyglądała w niej jak księżniczka.

- Teraz twoja kolej - powiedziała do Cameron, poruszając się bardzo powoli, jakby w obawie, że pogniecie suknię.

Cameron właśnie włożyła żółtą krynolinę. Uniosła ręce, aby nie popsuć fryzury. Taye ciężko się napracowała, żeby doprowadzić do ładu jej rude loki.

- To najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek widziałam.

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili do pokoju wszedł Jackson w gustownym czarnym ubraniu. Pod pachą trzymał kapelusz.

- A to najpiękniejsza kobieta na świecie - rzekł, najwyraźniej słysząc ostatnie słowa Taye. Wziął Cameron za rękę i obszedł ją dokoła, żeby się lepiej przyjrzeć. - Śliczna jesteś, ale muszę przyznać, że najbardziej lubię cię w koszuli i bryczesach.

Cameron i Taye spojrzały na siebie i się roześmiały. Jackson pokręcił głową.

- Idziemy, moje panie?

Podróż z Baltimore do Waszyngtonu minęła im nadspodziewanie szybko. Cameron miała wrażenie, że śni. Zanim się obejrzała, już wchodzili po schodach do Białego Domu. Byli tam inni goście prezydenta Lincolna i pierwsza dama Stanów Zjednoczonych, Mary Todd Lincoln.

- Jutro rano przybędzie „Inverness”. - Jackson zwrócił się do Taye. - Domyślam się, że na pokładzie jest mężczyzna, który bardzo chce cię zobaczyć.

Taye natychmiast ukryła twarz za wachlarzem.

- Zawstydz mnie pan, kapitanie. Cameron z ukosa spojrzała na Jacksona.

- A już myślałam, że przemycasz terpentynę na Bahamy.

Taye rozejrzała się w obawie, że ktoś może ich usłyszeć.

Jackson roześmiał się, nie zwracając uwagi na złośliwość Cameron.

- Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, „Inverness” wpadł w ręce celników w Zatoce Meksykańskiej i większość terpentyny została skonfiskowana.

Służba zaprowadziła ich do Czerwonego Pokoju, w którym prezydent przyjmował gości. Cameron podejrzliwie zmrużyła oczy.

- A teraz wraca do Baltimore?

- Owszem.

Uśmiechnął się i unióś głowę, żeby przywitać się z jakimś mężczyzną.

- Dobry wieczór panu - powiedział. Cameron była zaskoczona jego zachowaniem.

- Dobrze cię widzieć w jednym kawałku, Jacksonie. - Wąsaty mężczyzna entuzjastycznie poklepał go po ramieniu. - Słyszałem, że miałeś kłopoty w Tennessee.

Cameron patrzyła na nich ze zdumieniem.

- Niektóre opowieści mają niewiele wspólnego z prawdą.

Senatorze, chciałbym przedstawić panu moją przyjaciółkę. To panna Cameron Campbell, córka senatora Davida Campbella.

- Panno Campbell. - Senator wziął jej dłoń w swoje dłonie. - To dla mnie prawdziwy zaszczyt. Znałem pani ojca.

Przez następną godzinę Cameron miała wrażenie, że jej sen będzie trwał bez końca. Atmosfera panująca w Białym Domu przyprawiała ją o zawrót głowy. Jeszcze jako mała dziewczynka była tu z ojcem. Teraz okazało się, że wszyscy goście znali senatora Campbella i chcieli złożyć jej jak najszczerze kondolencje.

Jedzenie było wyśmienite, a francuski szampan smakował lepiej niż kiedykolwiek. Potem zagrała muzyka i panowie poprosili panie do tańca. Cameron większość wieczoru spędziła na parkiecie. Dochodziła północ, gdy zdała sobie sprawę, że jest bardzo zmęczona. Jackson natychmiast to zauważył.

- Wracamy? - spytał.

- Nie mam ochoty stąd wychodzić - oznajmiła Taya. - To najpiękniejsza noc w moim życiu, panie kapitanie. Widzę jednak, że Cameron chciałaby się położyć.

- Zanim wyjdziemy, jest jeszcze ktoś, kto bardzo chce was poznać - tajemniczo oświadczył Jackson. - Tędy, drogie panie.

Zaprowadził je do niewielkiej sali w głębi korytarza.

- O, już idzie - mruknął. Cameron odwróciła się i spojrzała na wysokiego, szczupłego mężczyznę, który w pewien sposób przypominał jej ojca.

- Prezydent Lincoln - szepnęła z niedowierzaniem. - Prezydent chce mnie poznać?

- Panie prezydencie - odezwał się Jackson.



- Kapitanie. - Lincoln podał mu rękę. - Miałem szczerą nadzieję, że dzisiaj się spotkamy. Rozmawiałem z panem Sewardem. - Ściszył głos, żeby nikt inny go nie słyszał. - W pełni doceniam wartość informacji, które nam pan przekazał. Dzięki temu ocaliliśmy setki ludzkich istnień. - Lincoln nie należał do najprzystojniejszych mężczyzn, ale gdy się uśmiechał, w jego oczach było coś fascynującego. - To musi być panna Cameron, córka senatora Campbella.

Cameron poczuła się zakłopotana. Nie miała pojęcia, co miał na myśli Lincoln, mówiąc o setkach istnień. A może pomylił Jacksona z kim innym? - przemknęło jej przez głowę. Minęła chwila, zanim zdała sobie sprawę, że właśnie została przedstawiona prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Pochyliła głowę w niskim ukłonie.

- To dla mnie zaszczyt, panie prezydencie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- A to - powiedział Jackson - Taye Campbell, młodsza córka senatora.

Taye ukloniła się najpiękniej, jak umiała.

- Panie prezydencie.

- Miło mi panią poznać - Prezydent pokiwał głową, przyglądając jej się uważnie. - Niezwykle podobieństwo...

Taye zarumieniła się i energicznie zatrzepotała wachlarzem.

- Panie prezydencie! - zawołał jakiś człowiek. - Co z generałem McDowellem?

Lincoln westchnął.

- Wolałbym zostać z wami, miłe panie, ale cóż, obowiązki wzywają mnie gdzie indziej. Dziękuję. - Spojrzał na Jacksona. - Rozumiem, że wkrótce będziemy mogli porozmawiać. Jeszcze raz dziękuję.

Jackson skłonił się oficjalnie. Cameron jeszcze przez chwilę stała jak słup soli.

- Poznałam prezydenta - powiedziała cicho.

- Dość wrażeń na dzisiaj - uznał Jackson.

Cameron zmarszczyła brwi.

- Ma pan zupełną rację, panie kapitanie - powiedziała nieswoim głosem. - A poza tym należą mi się pewne wyjaśnienia.

Kapitan uśmiechnął się niewinnie i wziął ją pod ramię.

- Idziemy, moje panie?

Hotel był elegancki, wręcz luksusowy. W korytarzu wisiały kryształowe żyrandole, a w pokojach stały ogromne łóżka.

Taye pożegnała się z Cameron przed drzwiami jej sypialni. W pokoju czekała już na nią służąca.

- Mam przygotować panienkę do spania, panie kapitanie? - zapytała młoda Murzynka.

- To nie będzie konieczne, Lizo. Dobranoc.

- Dobranoc! - z korytarza zawołała Taye. - Dziękuję, kapitanie.

Jackson uśmiechnął się.

- Może od dzisiaj zaczniesz mówić mi po imieniu?

Taye zrobiła wielkie oczy i bezradnie spojrzała na siostrę.

- Chodźmy już - powiedziała Cameron do Jacksona. - Jestem zmęczona, a przecież czeka nas nader poważna rozmowa.

Jackson zaprowadził ją do pokoju wielkości dwóch sypialni w Elmwood. Przy kominku stało kilka bogato zdobionych krzeseł. W sześciu wielkich oknach wisiały drapowane zasłony. Na podłodze leżał perski dywan, a w kryształowych kandelabrach płonęły grube świece. Cameron aż zaniemówiła z wrażenia. Do tej pory w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że Jackson jest tak bogaty. Rzuciła rękawiczki na szerokie łóżko przykryte jedwabną narzutą.

- No dobrze - zaczęła wyczekującym tonem. - O co w tym wszystkim chodzi?

Jackson zamknął drzwi i odłożył kapelusz na łóżko, tuż obok jej rękawiczek. Zdjął surdut, powiesił go na krześle i podszedł do barku.

- Szampana? - zapytał i nalał sobie brandy.  
- Brandy. Czekam na wyjaśnienia.  
- Brandy. Doskonały wybór. Nalał jej pełną szklaneczkę.  
- Od czego by tu zacząć? - rzekł. Cameron skrzyżowała ręce na piersiach.

- Kim jesteś? O czym mówił prezydent Lincoln?  
- Ach - lekceważąco machnął ręką - to nic takiego.  
- Jacksonie! Pokręcił głową.  
- No dobrze... Wiedziałem, że do tego dojdzie. - Podał jej szklaneczkę. - Na początek muszę ci powiedzieć, że nigdy nie zamierzałem kłamać. Chciałem cię chronić. Tylko kilka osób w tym kraju wie, kim naprawdę jestem.

- Papa wiedział - zauważyła Cameron, patrząc na niego z nadkrawędzi szklaneczki.

Jackson pokiwał głową.

- Jesteś przemytnikiem?

- Na pozór tak, ale w rzeczywistości pracuję dla departamentu obrony.

Cameron była przerażona tym, co usłyszała. Do tej pory myślała, że ma do czynienia z łotrem o złotym sercu, tymczasem prawda okazała się jeszcze gorsza.

- Jesteś szpiegiem?

- To już trochę przesada.

- Jak to ukrywasz? Przecież przed chwilą powiedziałeś, że skonfiskowano ci transport terpentyny. Dla przemytnika to klęska.

Jackson roześmiał się i posadził ją na łóżku.

- Nauczyłem się kilku sztuczek. Teraz przewożę bandaż, lekarstwa i tak dalej... „Inverness” przerwie blokadę w pobliżu Karoliny i bezpiecznie dopłynie do portu w Charlestonie.

- Od kwietnia nie miałeś żadnej przerwy.

- Miałem nadzieję, że uda się zapobiec wojnie. Położyła mu rękę na kolanie.

- Zupełnie nie wiem, co powiedzieć... Wzruszył ramionami.

- Nic. Wciąż jestem tym samym Jacksonem, co dawniej. -

Spojrzał jej prosto w oczy. - Czasem złym, a czasem dobrym.

Cameron wyciągnęła do niego rękę.

- Zgoda? - spytała.

Uśmiechnął się, ale za chwilę jego twarz spochmurniała.

- Przykro mi, że wcześniej nie mogłem ci. niczego wyjawić.

Chodziło o twoje życie. Twoje i Taye.

Cameron była zmęczona i trochę zdenerwowana tym, co usłyszała. Teraz była zupełnie pewna, że go naprawdę kocha.

- Posłuchaj - wziął ją za rękę - w Waszyngtonie miałem wystarczająco dużo czasu, żeby pomyśleć o tym wszystkim. Jestem zupełnie gotów.

Nie odrywała od niego wzroku.

- Ale na co?

Kłęknął przed nią, ciągle trzymając ją za rękę.

- Długo się nad tym zastanawiałem. Szaleję na twoim punkcie, Cameron. Nie umiem żyć bez ciebie.

- To oświadczyny?

Zmieszał się.

- Myślę, że tak. Panno Cameron Elise Campbell, czy chcesz zostać żoną domniemanego przemytnika i łotra, który ciągle łudzi się nadzieją, że wreszcie zrobi coś dobrego dla tego kraju?

Cameron zamarła. Słowa Jacksona z trudem docierały do jej uszu.

- Najpierw zostawiłeś mnie w obskurnej stodole w Tennessee, a teraz chcesz mówić o ślubie?

- Przecież wiesz, że musiałem tak postąpić. Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Ta oferta jest ważna tylko dzisiejszej nocy - oznajmił Jackson. -

Nic więcej nie mogę ci obiecać. Będę działał do końca wojny. Zapewne nigdzie nie zagrzeję miejsca i nie wiem, co przyniesie jutro. Musisz być samodzielna, mieć własne życie i swoje sprawy.

- Na przykład konie? - zapytała z przekąsem. Jackson z powagą pokiwał głową.

- Niewiele mogę ci obiecać, lecz jedno na pewno: masz moją miłość. Będę ci zawsze wierny.

- Kochasz mnie? - wyszeptała. Był zaskoczony jej pytaniem.

- Oczywiście!

- Chcę to usłyszeć - zażądała.

- Kocham cię, Cameron. Wstała, a on wziął ją w ramiona.

- Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że ty też mnie kochasz - szepnął jej do ucha.

- Och - westchnęła, bojąc się, żeby to nie był sen. - Ja też cię kocham i z radością zostanę twoją żoną. Kocham cię od chwili, w której cię poznałam.

- A mnie się wydaje, że kocham cię od urodzenia. - Uśmiechnął się do niej szeroko. - Tylko nie zawsze o tym wiedziałem.

- Och, Jacksonie...

Wplótł palce we włosy ukochanej i wycisnął na jej ustach namiętny pocałunek.